

Garret 04 Stare cynowe smutki

Garret 04 Stare cynowe smutki

Garret 04 Stare cynowe smutki

Glen Cook

Stare Cynowe Smutki

Tytuł oryginału: Old Tinny Sadnesses

Przełożyła Aleksandra Jagiełłowicz

Garret 04 Stare cynowe smutki

I

D

okładnie w chwili, kiedy wyda ci się, że masz wszystko uporządkowane i zaczynasz wychodzić na swoje, staruszek Los przegalopuje ci po grzbiecie i nawet się nie zatrzyma, żeby powiedzieć „przepraszam”. A jeśli nazywasz się Garrett, zdarza ci się to co chwila. Możesz napisać o tym książkę.

Nazywam się Garrett. Cokolwiek po trzydziestce, sześć stóp wzrostu, ciemne włosy, dwieście funtów wagi z okładem... no, może niedługo będzie więcej, bo moją ulubioną potrawą jest pi-wo. Mój charakter można opisać na wiele sposobów: ponury, skwaszony, sarkastyczny lub cyniczny. Co chcesz, byle dosadnie. Wrogowie twierdzą, że jestem podstępny i złośliwy. Ale, do licha, tak naprawdę jestem słodki. Duży, puszysty i mięciutki pluszowy miś o miłym uśmiechu i uduchowionych oczkach.

Nie wiercie we wszystko, co wam mówią. Jestem po prostu realistą, który cierpi na nieuleczalny wrzód pragmatycznego romantyzmu. Kiedyś byłem naprawdę romantyczny, a potem odpracowałem moją piątkę we flocie Marines. To prawie załatwiło sprawę.

Pamiętam dobrze czasy Korpusu. Muszę je pamiętać, bo gdyby nie one, to nigdy by się nie zdarzyło.

Morley mówi, że jestem śmierdzący leń, ale czego można się spodziewać po osobniku, który nie ma dość hartu ducha, aby przez pięć minut usiedzieć na miejscu. Wcale nie jestem leniwy — po prostu nie czuję potrzeby pracy, jeśli nie odczuwam braku pieniędzy. Gdy to następuje, pracuję jako tajny agent, co oznacza, że spędzam mnóstwo czasu wśród ludzi ze specyficznego środowiska. Takich, których raczej nie zaprasza się do domu na kolację - porywaczy, szantażystów, łotrów, złodziei i morderców.

Ech, co to nie wyrasta z tych dzieciaków...

Nie jest to szczególnie wspaniałe życie. Nie upamiętnią mnie w żadnych książkach historycznych, ale przynajmniej jestem swoim własnym szefem, ustalą moje własne zasady i sam wybieram sobie robotę, dzięki czemu mam znacznie mniej problemów i znacznie rzadziej muszę chodzić na kompromis z własnym sumieniem.

Unikanie pracy, gdy nie potrzebuję pieniędzy, oznacza, że kiedy ktoś stuka do drzwi mojego domu przy ulicy Macunado, najpierw uważnie obserwuję go przez judasza, a jeśli wygląda jak potencjalny klient, po prostu nie otwieram drzwi.

Był wczesnowiosenny dzień, wyjątkowo wcześnie jak na tę porę roku. Właściwie miała być zima, ale ktoś na górze przysnął. Śnieg zaczął topnieć. Po sześciu dniach nienaturalnego ciepła i słońca drzewa dały się nabrać i zaczęły wypuszczać pączki. Jeszcze tego pożąają.

Od początku roztopów nie wystawiłem nosa z domu. Siedziałem przy biurku i rozliczałem kilka drobnych fuch, które zleciłem, planując niewielki spacer, zanim dostanę klaustrofobii. I właśnie wtedy ktoś zapukał.

Dean miał akurat dzień wolny, więc musiałem się pofatygować osobiście. Powlokłem się do drzwi i wyjrzałem. Dałem się zaskoczyć. I, bracie, dałem się zrobić.

Z reguły zwiastun większych kłopotów zawsze nosi spódniczkę i patrząc na niego, masz

wrażenie, że takie istoty przechadzają się wyłącznie w twoich snach. Jeśli ktoś uważa, że to za delikatne stwierdzenie, powiem inaczej: lubię dojrzałe jabłuszka, ale pracuję nad sobą. Dajcie mi z tysiąc lat, a wtedy może...

Tym razem to nie było jabłuszko. Był to facet, którego znałem dawno temu i nie spodziewałem się ujrzeć nigdy więcej. Stał tam i wyglądał raczej na zakłopotanego niż mającego kłopoty. Otworzyłem.

I to był mój pierwszy błąd.

— Sierzancie! Co pan tu robi? I jak się pan ma? — Zafundowałem mu grabę. Kiedy go widziałem ostatnio, raczej nie miałbym na to odwagi.

Był o dwadzieścia lat starszy ode mnie, wzrost ten sam, ale dziesięć kilogramów wagi mniej. Skóra jak dobrze wyprawiony rzemień, wielkie uszy dziarsko rozpostarte na wiatr, zmarszczki, małe czarne oczka, ciemne włosy z dużą ilością siwizny, której wcześniej tam nie było. Nie wiem, na czym to polegało, ale był najbrzydszym facetem, jakiego znam. Wydawał się choler-nie wysportowany, ale tacy jak on nie zmieniają się nawet powyżej setki. Stał wyprostowany, jakby ktoś przybił mu sztchetę do kręgosłupa.

- Dzięki, w porządku - odparł, ujął moją dłoń i szczerze ją uścisnął. Małe, paciorkowate oczka wwierały się we mnie, jakby mógł widzieć przeze mnie na wylot. Zawsze to potrafił. - Przybrałeś kilka kilo.

- Trochę więcej w pasie, trochę mniej na głowie. — Poklepałem się po czuprynie. Do tej pory nie zauważał tego nikt oprócz mnie. - Ale co pan robi tutaj, w TunFaire? Proszę, niechże pan wchodzi.

- Jestem na emeryturze, odszedłem z Korpusu. Słyszałem o tobie parę ciekawych rzeczy. Dość ekscytujących, jeśli mam być szczerzy. Obracałem się w okolicy i pomyślałem, że zajrzę. Oczywiście, jeśli nie jesteś zajęty.

- Ani trochę. Piwa? Chodźmy do kuchni. — Poprowadziłem go wprost do królestwa Deana. Staruszek był za daleko, żeby go bronić. - Kiedy pan wyszedł?

- Już ze trzy lata temu, Garrett.

- Naprawdę? A ja myślałem, że w wieku stu pięćdziesięciu lat umrze pan w kieracie.

Nazywał się Blake Peters, ale chłopcy mówili na niego Czarny Pietrek. Był dla nas najbliższym z możliwych wcieleniem Boga lub szatana, jakie znaliśmy, zawodowym żołnierzem, bez którego mundur nie mógł istnieć. Nie potrafiłem go sobie wyobrazić jako cywila. Trzy lata? Wyglądał jak sierżant Marines w przebraniu.

- Wszyscy się zmieniamy. Zacząłem myśleć, zamiast robić to, co mi każą. Niezłe piwo.

Pewnie, że niezłe. Weider, piwowar, przesłał mi baryłkę w podziękowaniu za dawną przysługę i żeby mi przypomnieć, iż wciąż dla niego pracuję. Przez chwilę nie było mnie w domu i biedak obawiał się, że jego pracownicy znów mogą ruszyć na fuchę.

— I co pan teraz porabia? - Czułem się nieco zakłopotany. Nigdy sam tego nie doświadczyłem — mój ojciec zginął w bitwie w Kantardzie, gdy miałem cztery lata - ale chłopaki opowiadali, że dziwnie się czuli, gdy po raz pierwszy spotykali się twarzą w twarz z ojcami. Czarny Pietrek nie był nawet przyjacielem. Był sierżantem. Teraz już nie, ale i tak nie znałem go z innej strony.

— Pracuję dla generała Stantnora. Należałem do jego sztabu. Kiedy poszedł na emeryturę, poprosił, żebym poszedł z nim. No i poszedłem.

Westchnąłem. Za moich czasów Stantnor był pułkownikiem i szefem wszystkich Marines działających z Full Harbor, to znaczy około dwóch tysięcy ludzi. Nigdy go nie spotkałem, ale w czasie służby miałem niejedną okazję, by się na jego temat wypowiadać. Nie zawsze były to komplementy. Mniej więcej w tym samym czasie, gdy wychodziłem, został komendantem korpusu i

przeniósł się do Leifmold, do kwatery głównej marynarki Karenty i Marines.

- Robota prawie taka sama jak przedtem, ale lepiej płatna - opowiadał Peters. - Wygląda, że nieźle ci się wiedzie. Słyszałem, że to twój dom.

I wtedy zacząłem nabierać podejrzeń. Taki mały, dokuczliwy robaczek, taki szepczak. Widać popracował sobie, zanim przyszedł. Co oznaczało, że to nie wspomnienia go tu sprowadziły.

- Nie chodzę głodny - przyznałem. — Ale martwię się jutrem. Jak długo będę miał refleks i czujny umysł. I nogi już nie te co kiedyś.

- Musisz trochę więcej poćwiczyć. Nie dbasz o siebie: To widać. Parsknąłem. Kolejny Morley Dotes?

- Tylko ani słowa o zielonych listkach i czerwonym mięsie. Już mam takiego elfiego ojca chrzestnego, który mnie tym nęka.

Popatrzył na mnie, zaskoczony. Niezły widok na takiej facjacie.

- Przepraszam. To taki żarcik. No to teraz sobie pan trochę popuścił, co? - Nieczęsto słyszałem nazwisko Stantnora, odkąd poszedłem do cywila. Wiem, że wrócił do domu w TunFaire, do posiadłości rodzinnej na południe od miasta, ale to by było wszystko. Stał się samotnikiem, ignorującym politykę i interesy, dwa najważniejsze cele, do których dążyli zwykle ci, którzy żywi wyszli z wiecznie niedokończony wojny kantardzkiej.

- Nie mieliśmy dużego wyboru. - Przez chwilę miał kwaśną minę i wyglądał na zdenerwowanego. - Planował zająć się dostawą materiałów, ale zachorował. Pewnie coś złapał na wyspach. Wszystko z niego uszło. Prawie cały czas leży w łóżku.

Szkoda. Na plus należy Stantnorowi przyznać, że nigdy nie siedział na tyłku w kwaterze w Full Harbor, przedstawiając żołnierzy jak pionki na szachownicy. W czasie największego zamętu był z nami i nadstawiał tyłka tak samo jak my.

- Szkoda. Wcale nie ukrywałem, że jest mi przykro.

- Może bardziej niż szkoda, Garrett. Coraz gorzej z nim. Myślę, że umiera. I obawiam się, że ktoś mu w tym pomaga.

Podejrzanie zmieniło się w pewność.

- Pan chyba nie przypadkiem się tu zabłąkał. Nie owijał w bawełnę.

- Nie. Przychodzę odebrać dług. Nie musiał nic wyjaśniać.

Pewnego razu dorwali nas ze spuszczonej portkami na jednej z wysp. Niespodziewany atak Venageti prawie wtarł nas w ziemię. Ci, którzy przeżyli, zwiiali na bagna i żyli tym, co nie zdołało ich zjeść, wciąż dręcząc Venagetic. Sierżant Peters przeprowadził nas przez to piekło. Tyle mu zawdzięczaliśmy.

Ale ja zawdzięczałem mu jeszcze więcej. Wyniósł mnie, kiedy zostałem ranny. Wcale nie musiał tego robić. A ja mogłem tam sobie leżeć i czekać, aż Venageti przyjdą i mnie dobiją.

- Ten stary człowiek dużo dla mnie znaczy, Garrett. Jest jedyną rodziną, jaką mam. Ktoś go pomału zabija, a ja nie wiem kto i jak. Nie potrafię tego powstrzymać. Nigdy nie czułem się tak bezradny. Dlatego zjawiłem się u człowieka, który ma opinię, że rozwiązuje sprawy nierozwiązywalne.

Nie chciało mi się pracować, ale Garrett zawsze spłaca długi. Pociągnąłem długi łyk piwa, potem głęboko zaczerpnąłem tchu i zakląłem pod nosem.

- Opowiadaj pan. Peters potrząsnął głową.

- Nie będę ci opowiadał tego, w co sam nie wierzę.

- Cholera, sierżancie...

- Garrett! - wciąż miał ten sam głos, zmuszający do słuchania, choć go nawet nie podniósł.

- Dobra, słucham...

- Ma inne problemy. Wmówiłem mu, że należy wynająć specjalistę, który się nimi zajmie. Wmówiłem mu, jaką masz reputację, i przekazałem wszystkie moje wspomnienia o tobie z cza-sów Korpusu. Porozmawia z tobą jutro rano. Jeśli będziesz pamiętał, żeby wytrzeć końskie gówna z butów, zanim wejdiesz do domu, na pewno cię wynajmie. Rób, co ci każe. A przy okazji wykonaj właściwie zadanie. Dotarło?

Kiwnąłem głową. Zwariowany pomysł, ale cóż, tacy już są klienci. Zawsze podchodzą do sprawy od kuchni.

- Dla wszystkich innych będziesz tylko wynajętym pomocnikiem, bliżej nieznanego pochodzenia. Musisz mieć jakieś inne nazwisko. Jesteś dość znany w pewnych kręgach. Nazwisko Garrett może komuś coś mówić.

Westchnąłem.

- Coś mi to tak wygląda, jakbym miał tam spędzić sporo czasu.

- Powinieneś zostać, dopóki nie wykonasz zadania. Muszę wiedzieć, jakiego nazwiska będziesz używał, zanim wyjdę, albo nie wyściubisz nosa nawet za drzwi frontowe.

- Mike Sexton - palnąłem pierwsze nazwisko, jakie przyszło mi do głowy. Musiało to być boskie natchnienie, choć ciut niebezpieczne.

Mike Sexton był pierwszym zwiadowcą naszej kompanii. Nie wrócił z wysp. Peters wysłał go na zwiad przed nocnym wypadem i chłop przepadł. Był podwładnym Czarnego Pietrka, jego jedynym i najlepszym przyjacielem.

Wyraz twarzy Petersa stał się nagle zimny i twardy. Oczy zwężyły mu się niebezpiecznie. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale sierżant nigdy nie kłapał gębą bezmyślnie.

- Ujdzie — burknął. — Słyszeli, jak wspominam to nazwisko. Wyjaśnię, skąd się znamy. Chyba nikomu nie mówiłem, że przepadł.

Na pewno nie. Nie pyszczył na prawo i lewo o swoich błędach, nawet przed samym sobą. Założę się, że wciąż jeszcze skrycie wierzy, że Mike się zamelduje.

- Tak mi się wydaje. Wlał w siebie resztkę piwa.

- Zrobisz to?

- Wiedziałeś, że to zrobię, zanim zastukałeś w te drzwi. Nie mam wyboru.

Uśmiechnął się. Głupio to wyglądało na tym paskudnym cyferblacie.

— Nie miałem pewności. Zawsze byłeś upartym sukinsynem. - Wyciągnął wytartą sukienną sakiewkę, tę samą, którą miał niegdyś, ale bardziej spasioną. Odliczył pięćdziesiąt marek. W srebrze. Co było samo z siebie pewnym stwierdzeniem. Ceny srebra poszły w niebo jak ptaszki, odkąd Glory Mooncalled wykpił wszystkich i stwierdził, że cały Kantard jest niezależną republiką, gdzie nie ma miejsca dla Karentyńczyków, Venageti i innej hałasty.

Srebro jest paliwem, które kręci czarami. Karenta i Venageta tańczą, jak im zagrają czarownicy. Największe, najbardziej produktywne kopalnie srebra na świecie leżą w Kantardzie, dlatego właśnie te rządzące bandy tłuką się o nie od czasów, gdy mój dziadek był bobasem. Aż wreszcie najemnik Glory Mooncalled wywinął swój sławetny numer.

I do tej pory to działa. Ale zdziwiłbym się, gdyby szło mu tak dalej. Wszystkim dał popalić, a sam siedzi w środku.

Nie potrwa długo, jak znów się zaczną naparzać.

Już otwarłem dziób, by powiedzieć Petersowi, że wcale nie musi mi płacić. Miałem wobec niego dług. Ale zorientowałem się, że to nie tak. Musiał zapłacić. Powoływał się na dług życia, ale nie za darmo. Nie oczekiwał, że będę robił za frajer. Chciał tylko, żebym robił. A może i generałowi coś

spłacał, biorąc na siebie ten rachunek.

- Osiem na dzień plus wydatki - powiedziałem. - Zniżka dla starego przyjaciela. Jeśli się okaże za dużo, zwrócę, a w razie potrzeby upomnę się o więcej. - Zaniósłem forszę do pokoju Truposza, do depozytu. Truposz był mocno zajęty tym, co mu wychodziło najlepiej, to znaczy chrapaniem. Wszystkie sto osiemdziesiąt kilo z okładem. Już tak długo w tym siedział, że prawie się za nim stęskniłem.

I wtedy stwierdziłem, że najwyższy czas wziąć się za robotę. Tęsknić za kompanią Truposza to w zasadzie to samo co wzdychać do towarzystwa inkwizytora.

Gdy wróciłem, Peters był gotów do wyjścia.

- Zobaczymy się rano? - zapytał. W jego słowach krył się cień desperacji.

- Będę tam. Słowo.

Garret 04 Stare cynowe smutki

II

B

yla jedenasta rano. Ktoś wytapetował niebo ołowianymi płytami. Szedłem pieszo, choć dom generała był o sześć kilometrów od Południowej Bramy. Jakoś nie umiem dogadać się z końmi.

Chyba jednak powinienem był zaryzykować. Nogi podpowiadały mi, że za dużo czasu spędziłem, siedząc na miejscu, w którym się kończą. A potem wielkie, spalone krople deszczu zaczęły pstrzyć drogę plamami wielkości monety. Snułem pobożne życzenia. Jeśli nie dogadamy się ze staruszką i będę musiał wracać, zmoknę jak diabli.

Przerzuciłem plecak przez drugie ramię i spróbowałem przyspieszyć. Skutek był taki jak zwykle.

Wykąpałem się, ogoliłem i przyczesalem włosy. Włożyłem najlepsze ubranie „na spotkanie z nadzianymi”. Miałem nadzieję, że wezmą to pod uwagę i nie wykopią mnie od razu za drzwi, zanim zdążę się przedstawić. Wierzyłem, że Czarny Piotruś stanie na wysokości zadania i przynajmniej poda im moje nazwisko.

Siedziba Stantnora nie była tak całkiem rozwaloną chatynką. Ta kupa cegieł i drewna mogła być na oko warta z milion marek, a tereny bez trudu pomieściłyby Zaginiony Batalion.

Nie potrzebowałem mapy, żeby znaleźć dom, ale i tak miałem szczęście. Generał zapewnił mi prywatną brukowaną drogę pod same drzwi.

Ruderę zbudowano z cegły i drewnianych bali, miała cztery piętra wysokości na skrzydłach i pięć pośrodku, a frontowa ściana była tak długa, że nie dorzuciłbym kamieniem z jednego jej rogu na drugi. Spróbowałem to zrobić. Rzut był dobry, ale kamień nie doleciał nawet do połowy.

Ogromna kropla deszczu spadła mi wprost na kark. Pokonałem dwanaście kamiennych schodków prowadzących na ganek. Około minuty pracowałem nad wyrazem twarzy, żeby nie wyglądać na kogoś pod wrażeniem. Jeśli chcesz zadawać się z nadzianymi, musisz przezwyciężyć onieśmielający czynnik, jakim jest szmal.

Drzwi - które równie dobrze mogłyby służyć jako most zwodzony - bezszelestnie otwały się do wewnątrz na szerokość około stopy. Ze szczeliny wyjrzał jakiś facet. Widziałem tylko jego twarz. Omal nie spytałem, ile kosztuje uciszenie tych potwornych zawiasów.

- Tak?

- Mike Sexton. Byłem umówiony.

- Tak. - Gęba skrzywiła się lekko. Skąd oni biorą cytryny o tej porze roku? j

Może i nie był zachwycony moim widokiem, ale otworzył drzwi i poprowadził mnie do holu, gdzie można by zaparkować stado mamutów, gdyby się nie chciało zostawiać ich na deszczu.

— Poinformuję generała, że pan przyszedł, sir - oznajmił i odszedł w rytm werbla, który tylko on słyszał, i tak sztywno, jakby miał topór w plecach. Pewnie też stary Marine, jak Czarny Piotruś.

Nie było go przez dłuższą chwilę. Zabawiałem się wędrownką po holu. Przedstawiłem się przodkom Stantnora, których buźki na portretach wykrzywiały się do mnie ze ścian. Malarzy dobrano tak, by umieli pokazać prywatne piekło każdej z osób, bo każdy z dziadków wyglądał tak, jakby miał świeże wrzody na żołądku.

Naliczyłem trzy brody, trzy pary wąsów i sześć gładko wygolonych gęb. Krew Stantnorów jest bardzo silna. Gdyby nie to, że reprezentowali pokolenia od zarania Państwa Karentyńskiego,

wyglądaliby jak bracia. Można ich było zidentyfikować jedynie po mundurach. .

Wszyscy byli w mundurach lub zbrojach. Stantnorowie zawsze byli zawodowymi wojskowymi, marynarzami, Marines. Prawo rodowe. A może obowiązek, chcesz czy nie. To by tłumaczyło powszechną nadkwasotę.

Ostatni portret po prawej przedstawiał samego generała w mundurze komendanta Korpusu. Miał ogromne, wściekle nastroszone siwe wąsiska i nieobecny wzrok, jakby stał na czele oddziału, wpatrując się w coś poza horyzontem. Tylko ten portret nie był namalowany tak, jakby wodził za tobą oczami. Czuję się trochę niepewnie, kiedy ta banda staruchów łypała na mnie z góry. Może portrety były pomyślane właśnie tak, by onieśmielać wieśniaków takich jak ja.

Naprzeciwno generała wisiał jedyny portret przedstawiający młodego człowieka, jego syna, porucznika Marines, który jeszcze nie dorobił się rodzinnego grymasu. Nie pamiętałem jego nazwiska, ale wiem, że został zabity na wyspach, kiedy jeszcze pozostawałem w służbie czynnej. Był jedynym męskim potomkiem staruszka. Nie będzie więcej portretów, które można by powiesić na ciemnych panelach ścian.

Hol kończył się witrażem, wznoszącym się prawie na wysokość dwóch pięter, ukazującym mozaikę scen z mitów i legend, przedstawionych z odpowiednią krwiożerczością: herosi mordujący smoki, obalający gigantów, upozowani na stosach elfich trupów w oczekiwaniu na kolejny atak. Wszystko to działo się dawno temu, kiedy jeszcze ludzie nie dogadywali się z innymi rasami.

Drzwi w tej ścianie miały normalny rozmiar i również wykonane były z witrażu tej samej szkoły. Lokaj, albo kimkolwiek był ten facet, pozostawił je uchylone. Uznałem to za zaproszenie.

Hol, który był za nimi, mógł równie dobrze znajdować się w jakiejś katedrze. Wielki jak plac apelowy, wysoki na cztery piętra, cały z kamienia, głównie barwy brunatnej, przechodzącej w rdzawy i kremowy. Ściany ozdabiały trofea zdobyte przez Stantnorów w walce. Bronie i sztandarów wystarczyłoby na wyposażenie całego batalionu.

Podłoga była szachownicą z białego i zielonkawego marmuru. Pośrodku znajdowała się fontanna, przedstawiająca herosa na spienionym rumaku, który wbija lance w serce okrutnego smoka, dziwnie podobnego do większego latającego gromojaszczura. Obaj wyglądali, jakby woleli być o sto mil stąd. Nie mogę powiedzieć, że ich nie rozumiałem. Żaden nie mógł wyjść z tego żywy. Heros był o ułamek sekundy od zsunęcia się z konia wprost w pazury smoka. Rzeźbiarz zawarł w tym dziele myśl, której bez wątpienia nikt nie zrozumiał.

- Hej, jeśli chcecie się załapać na dziewczicę, musicie się jakoś dogadać - powiedziałem do nich.

Stukając obcasami po posadzce, podszedłem bliżej fontanny, budząc echa. Obszedłem ją kilka razy, chłonąc widoki. Od głównego holu do wszystkich skrzydeł odchodziły korytarze. Schody wiodły na balkony na każdym z pięter. Wszędzie pełno było okrągłych, polerowanych filarów i legionów echa. To miejsce nie nadawało się na dom. Raz w życiu widziałem coś podobnego i było to muzeum. Zastanawiałem się, co miał w głowie facet, który zbudował coś takiego po to, żeby tu mieszkać.

Zimno było niemal tak jak na zewnątrz. Zadrzałem, przyjrzałem się fontannie. Nie działała, szkoda, bo miałbym do towarzystwa przynajmniej jej szepty. Dźwięk ogólnie poprawiłby atmosferę pomieszczenia. Może włączali ją tylko z okazji jakichś przyjęć?

Zawsze miałem słabość do myśli, że mógłbym być bogaty. Jak chyba większość ludzi. Ale jeśli właśnie tak żyją bogacze, to zgodziłbym się na znacznie mniej.

Odwiedzałem już wielkie domostwa i w każdym z nich wyczuwałem jakiś dziwny chłód. Najsympatyczniejszy należy do Chodo Contague'a, imperatora półświatka TunFaire. Groteskowy, czarny charakter, ale w jego domu można przynajmniej wyczuć ciepło i życie. A jego dekorator ma

swoiste priorytety. Pewnego dnia zastałem cały dom zapchany nagimi ślicznotkami. To mi dopiero umebrowanie! O wiele weselsze niż cały wagon broni i machin wojennych.

Rzuciłem plecak, wsparłem stopę na cembrowinie fontanny, a łokcie na kolanie.

- Nie przeszkadzajcie sobie, chłopaki. Postaram się być cicho - powiedziałem pod adresem herosa i smoka. Byli zbyt zajęci sobą, żeby odpowiedzieć.

Rozejrzałem się dokoła. Gdzie się wszyscy podziali? Takie domiszcze powinno mieścić batalion służby. Widziałem już bardziej tętniące życiem muzea, nawet o północy. No cóż...

Nie wszystko było stracone. A właściwie sprawy nagle przybrały zdecydowanie lepszy obrót.

Zauważyłem czyjąś twarz. Ktoś spoglądał na mnie spoza filaru podtrzymującego balkony po mojej lewej ręce. Zachodnie skrzydło. Kobieta - była prześliczna i znajdowała się zbyt daleko, żeby powiedzieć o niej coś więcej, ale to wystarczyło, by krew znów zaczęła żywiej krążyć mi w żyłach. Była płochliwa jak driada. Oskoczyła w cień, w sekundę po tym, jak nasze oczy się spotkały.

Słabsza część mojego mózgu zaczęła się zastanawiać, czy zobaczę coś więcej. Widziałem ją tylko przelotnie i już za nią tęskniłem. Warta była drugiego spojrzenia, a potem może nawet trzeciego i czwartego. Długowłosa, smukła blondynka ubrana w coś białego, ściągniętego w talii czerwonym gorsecikiem. Około dwudziestki, plus minus parę lat, i tak kształtna, że moje oblicze przyodziało się w wielki, obleśny uśmiech.

Już ja ją sobie przypilnuję.

No, chyba że jest duchem. Zniknęła bezszelestnie. Cóż, będzie mnie nawiedzać tak długo, aż się jej przyjrę.

Czyżby dom był nawiedzony? Wydawał się dość straszny, trochę chłodny... nagle zdałem sobie sprawę, że to moje wymysły. Komuś innemu chłód mógł w ogóle nie przeszkadzać. Rozejrzałem się i usłyszałem brzęk stali i jęki tych, którzy zginęli, by dostarczyć kolejnych dowodów chwały Stantnorów. Nosilem w sobie własne upiory i pozwalałem, by mnie tu straszły.

Próbowałem otrząsnąć się z ponurego nastroju. Takie miejsca zdecydowanie psują człowiekowi humor.

W ślad za zniknięciem dziewczyny pojawił się gość od frontowych drzwi. Stukając obcasami, zatrzymał się o dwa metry przede mną, w idealnej pozycji na bacność. Zmierzyłem go wzrokiem. Miał jakiś metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, około siedemdziesięciu siedmiu kilogramów wagi, pod pięćdziesiątkę, ale wyglądał młodziej. Włosy czarne, kręcone, wygładzone brylantyną, która nie była w stanie rozprostować loków. Jeśli nawet posiwiiał, dobrze to ukrywał, a poza tym od dwudziestego roku życia nie stracił ani włoska: Oczy miał zimne, paciorkowate. Od tego spojrzenia można było dostać odmrożeń. Zabiłby cię, nawet się nie zastanawiając, czy nie osierocisz dzieci.

- Generał przyjmie pana, sir. - Odwrócił się i odmaszerował.

Ruszyłem za nim. Przyłapałem się na tym, że idę w nogę, zatrzymałem się, żeby wypaść z rytmu, ale po minucie znów tak szedłem. Poddałem się. Dobrze mi to wbili w łeb. Ciało pamięta i nie słucha buntu umysłu.

- Masz jakieś imię? - zapytałem.

- Dellwood, sir.

- Co robiłeś, zanim wyszedłeś?

- Byłem w sztabie generała, sir. Co nie oznaczało kompletnie nic.

- Zawodowy? - Głupie pytanie, Garrett. Mógłbym się założyć o rodzinną farmę, że byłem jedynym cywilem w tym domu, z wyjątkiem dziewczyny... być może. Generał nie otaczałby się niższym gatunkiem ludzi, jakim są cywile.

- Trzydzieści dwa lata, sir. - Sam nie zadał żadnego pytania. Nie mamy ochoty na pogawędkę?

Nie. Po prostu go to nie obchodziło, bo byłem jednym z „tamtych”.

- Może powinienem był zgłosić się przy wejściu dla dostawców. Burknął coś pod nosem.

- Ciężka sprawa. - Szanowałem generała za to, czego dokonał, a nie za miejsce urodzenia.

Dellwood był ode mnie starszy o dwadzieścia lat, ale gdy znaleźliśmy się na czwartym piętrze, to mnie zabrakło pary. Przez mój domniemany organ myślowy przemknęło co najmniej sześć cwanych uwag, ale nie byłem w stanie ich wygłosić. Dellwood obdarzył mnie zagadkowym spojrzeniem, prawdopodobnie na znak pogardy dla miękkich cywilów. Przez chwilę zipałem w milczeniu, po czym rzuciłem:

- Czekaając w holu, widziałem jakąś kobietę. Podglądała mnie. Nieśmiała jak myszka.

- To była panna Jennifer, sir. Córka generała.

Wyglądał, jakby uznał, że powiedział za dużo. Już więcej się nie odezwał. Należał chyba do tych facetów, z których torturami nie wyciśniesz tego, co ich zdaniem nie jest twoją sprawą. Czy cała służba wyszła spod tej samej sztancy? No to po co byłem potrzebny Petersowi? Przecież oni poradzą sobie ze wszystkim.

Dellwood podszedł do dębowych, drzwi zajmujących pół korytarza na najwyższym piętrze zachodniego skrzydła. Pchnął drzwi i zaanonsował mnie.

- Pan Mike Sexton.

Przepchnąłem się obok niego i od razu uderzyła we mnie ściana gorąca.

Nie miewam uprzedzeń, ale mimo to byłem zaskoczony - choć generał Stantnor lubił spartańskie warunki, poza wielkością pomieszczenia, nic nie sugerowało, że śpi na forsie.

Nie było dywanów, tylko kilka prostych drewnianych krzeseł, wszechobecne wojskowe sprzęty, dwa drewniane biurka stojące nos w nos, jedno większe, pewnie dla generała, a drugie dla tego, kto rzeczywiście zajmował się pisaniem. Pokój wyglądał prawie jak mauzoleum. Upał pochodził z paleniska zaprojektowanego tak, by piec na nim kilka wołów naraz. Kolejny typ ze sztachetą zamiast kręgosłupa dorzucał do ognia polana z ogromnego stosu. Spojrzał na mnie, potem na mężczyznę za wielkim biurkiem. Stary kiwnął głową. Palacz wyszedł. Będzie teraz zabijał czas musztrą z Dellwoodem.

Po dokładnym zapoznaniu się z otoczeniem wzięłem na cel środek pokoju.

Teraz już wiedziałem, co obudziło podejrzenia Czarnego Piotrusia. Niewiele zostało z generała Stantnora. Nie wyglądał ani trochę na faceta z portretu w holu. Na oko mógł ważyć tyle co przeciętna mumia, choć większość jego ciała ukryta była pod pledami. Dziesięć lat temu miał mój wzrost i czternaście kilogramów więcej.

Jego skóra przybrała żółtawy odcień i była lekko prześwitująca. Żrenice miał zamglone od katarakty. Włosy wypadły mu prawie doszczętnie, poza kilkoma kępkami, i nie były siwe ani białe, lecz przyjęły błękitnawy, trupi odcień. Kiedyś miał plamy

starcze, ale i one wyblakły. Na wargach nie pozostał nawet odcień koloru, z wyjątkiem jadowitego, szaroniebieskiego cienia. Nie wiem, ile widział przez zaćmę, ale spojrzenie miał bystre i twarde. Nie drżał.

- Mike Sexton, sir. Sierżant Peters poprosił, żebym się z panem spotkał.

- Weź sobie krzesło. Postaw je tu, naprzeciwko mnie. Nie lubię patrzeć w górę, kiedy z kimś rozmawiam.

Głos miał mocny, choć nie wiem, skąd brał energię. Wyobrażałem sobie, że będzie przemawiał szeptem pijanego grabarza. Usadawiłem się naprzeciw niego.

- W tej chwili jestem pewien, że nas nie podsłuchują, panie Garrett - powiedział. - Tak. Wiem, kim jesteś. Peters przedstawił mi pełny raport, zanim zdecydowałem się na wprowadzenie cię do

sprawy.

Patrzył tak, jakby sądził, że przebiję katarakty samą siłą woli.

- W przyszłości jednak będziemy się trzymać wersji Mike'a Sextona. Oczywiście, o ile teraz dojdziemy do porozumienia.

Siedziałem dość blisko, żeby docierała do mnie jego woń, i nie był to miły zapach. Dziwne, że cały pokój nie śmierdział. Widocznie przynieśli go tu skądś.

- Peters nie powiedział, o co chodzi, sir. Powołał się tylko na starą znajomość, żeby mnie tu sprowadzić. - Łypnąłem w stronę kominka. Niedługo będzie można piec tu chleb.

- Muszę mieć bardzo dużo ciepła, żeby funkcjonować, panie Garrett. Przepraszam za dyskomfort. Postaram się mówić krótko. Jestem jak gromojaszczur, nie wytwarzam własnego ciepła.

Czekałem, aż przejdzie do rzeczy, i pocilem się jak ruda mysz.

- Wierzę Petersowi na słowo, że byłeś dobrym Marine. - Tutaj na pewno było to bardzo ważne. - Ręczy też za twój charakter, znając cię z tamtych czasów. Ale ludzie się zmieniają. Co się z tobą działo?

- Z zaciągowego zbira stałem się zбирem niezrzeszonym, generale. A pan potrzebuje kogoś takiego, bo inaczej by mnie tu nie było.

Wydał z siebie dźwięk, który mógł być chichotem.

- Ach tak, Garrett, słyszałem, że masz cięty język. To ja powinienem się niecierpliwić, nie ty. Zostało mi już tak mało czasu. Tak. Peters ręczy za ciebie także i dziś. W niektórych kręgach mówią o tobie jako o uczciwym, choć upartym i chętnym do działania jedynie na własnych zasadach. Powiadają, że jesteś sentymentalny. To nam nie powinno przeszkadzać. Powiadają, że masz słabość do kobiet. Myślę, że moja córka sprawi ci więcej kłopotów, niż jest tego warta. I powiadają, że chętnie osądzasz dziwactwa i grzeszki mojej klasy.

Ciekawe, czy wie, jak często zmieniam majtki? Po co mu detektyw? Niech wykorzystają tego, kto badał moją osobę. Znow ten ponury śmieszek.

- Wiem, wiem, co myślisz. Wszystko to jest publiczną tajemnicą. Twoja sława cię wyprzedza. - Na jego ustach dostrzegłem coś, co w lepszych czasach mogło być uśmiechem. - Udało ci się uczynić dużo dobrego przez te lata, Garrett, ale po drodze nadepnałeś na wiele odcisków.

- Jestem tylko niezdatnym gówniarzem, generale. Poprawię się z wiekiem.

- Wątpię. Nie wyglądasz na onieśmielonego.

- Nie jestem. - Rzeczywiście nie byłem. Spotkałem zbyt wielu gości, którzy naprawdę byli onieśmielający.

- Dziesięć lat temu byłbyś.

- Inne okoliczności.

- W istocie. Dobrze. Potrzebuję kogoś, kto się nie da onieśmielić. Zwłaszcza przeze mnie. Ponieważ obawiam się, że jeśli dobrze wykonasz swoją robotę, możesz natrafić na prawdy, których nie będę chciał wysłuchać. Prawdy tak brutalne, że każę ci się wycofać. Nie zrobisz tego?

Udało mu się zamieszać mi w głowie.

- Jestem dezorientowany.

- To normalny stan świata, Garrett. Chcę powiedzieć, że jeśli cię wynajmę, o ile cię wynajmę, a ty zgodzisz się wykonać zadanie, twoim obowiązkiem będzie doprowadzić je do końca. Niezależnie od tego, co powiem później. Zajmę się tym, żeby zapłacili ci z góry. Nie będziesz miał tendencji do ustępowania mi, aby nie stracić wynagrodzenia.

- Wciąż nie rozumiem.

- Szczycę się tym, że potrafię stawić czoło nawet najgorszej prawdzie. W tym przypadku jednak

chcę to załatwić tak, żeby nie mieć wyboru, choćbym się nie wiem jak wykręcał i cierpiał. Potrafisz to pojąć?

- Tak. - Jedyne w dosłownym sensie. Nie rozumiałem dlaczego. Wszyscy mamimy się przez większość czasu, a już jego klasa w tym celuje... choć akurat on cieszył się opinią osoby, która stoi obiema nogami twardo na ziemi. Nie raz odmówił wykonania rozkazu lub wykonał go po swojemu, ponieważ uważał go za pobożne życzenie zwierzchników, którzy nigdy nie zbliżyli się do pola bitwy na osiemset kilometrów. I za każdym razem okoliczności oszczędzały mu zakłopotania, udowadniając, że to on ma rację.

Nie miał wielu przyjaciół.

- Zanim podejmę jakiekolwiek zobowiązania, muszę wiedzieć, co mam zrobić.

- W moim domu jest złodziej, panie Garrett.

Urwał, gdyż wstrząsnęło nim coś w rodzaju spazmu. Myślałem, że ma atak serca. Poderwałem się i ruszyłem w stronę drzwi.

- Czekał - wyrzucił. - To zaraz przejdzie.

Zatrzymałem się w połowie drogi do drzwi. Spazm rzeczywiście przechodził. Już po chwili ustąpił zupełnie. Z powrotem przysiadłem na krześle.

- Złodziej w moim domu. A przecież nie ma tu nikogo, kto nie mieszkałby ze mną od trzydziestu lat, komu wiele razy nie powierzyłbym własnego życia.

To musi być dziwne uczucie: wiedzieć, że możesz komuś zawierzyć życie, ale nie majątek.

Wreszcie zaświtało mi, po co potrzebuje kogoś z zewnątrz. Czarna owca wśród dawnych kumpli. Mogą się kryć, udawać ślepych albo... kto wie? Marines nie myślą jak zwykli ludzie.

- Rozumiem. Proszę mówić dalej.

- Moja choroba dopadła mnie wkrótce po powrocie do domu. Wydaje się, że to jakieś postępujące wyniszczenie organizmu, ale powolne. Teraz rzadko opuszczam mój pokój. Ale zauważyłem, że w ciągu ostatniego roku zniknęło kilka przedmiotów, które znajdowały się w posiadaniu rodziny od setek lat. Nic wielkiego, błyszczącego, co byłoby dla każdego oczywiste. Jakieś drobiazgi, często bardziej wartościowe jako pamiątki niż klejnoty. Do tej pory jednak suma ich wartości urosła do znacznej kwoty.

- Teraz rozumiem. - Spojrzałem w ogień. Najwyższy czas obrócić się na drugi bok, żebym był równo dopieczony.

- Garrett, wytrzymaj jeszcze przez kilka minut.

- Tak jest, sir. Czy w domu byli ostatnio jacyś obcy? Jacyś goście?

- Garstka. Kilka osób ze Wzgórza. Raczej nie mają lepkich palców.

Nie powiedziałem tego, ale moim zdaniem najgorsi kryminaliści pochodzą właśnie ze Wzgórza. Nasza szlachta kradłaby monety z oczu umarłych, ale generał miał rację - nie kradliby własnymi rękami. Zapłaciliby za to komuś innemu.

- Ma pan spis tego, co zginęło?

- A przydałby się na coś?

- Może. Ktoś coś kradnie, może będzie chciał to potem sprzedać. Mam rację? Znam kilku detalistów zaopatrujących się u hurtowników o lepkich palcach. Chce pan odzyskać skradzione przedmioty czy tylko się dowiedzieć, kto je doprowadza?

- Najpierw to ostatnie, panie Garrett. Potem zastanowimy się nad ich odzyskaniem. - Nagle, niczym błyskawica, przeszył go kolejny spazm. Byłem bezradny, gotów zrobić dla niego wszystko. To nie było przyjemne uczucie.

Przyszedł do siebie, ale tym razem był już słabszy.

- Muszę to szybko zamknąć, Garrett. Potrzebuję wypoczynku. Albo kolejny atak będzie ostatnim. - Uśmiechnął się. W uśmiechu brakowało kilku zębów. - To jeszcze jeden powód, żeby zapłacić ci z góry. Moi spadkobiercy mogą nie uznać za stosowne, żeby ci płacić.

Chciałem powiedzieć coś krzepiącego, jak to, że pewnie przeżyje i mnie, ale uznałem, że taki kit byłby zbyt cyniczny. Trzymałem zatem język za zębami. Nieraz mi się to udaje, choć często całkiem nie w porę.

- Chciałbym poznać cię lepiej, Garrett, ale natura ma swoje własne priorytety. Wezmę cię, jeśli zechcesz mieć we mnie klienta. Znajdziesz dla mnie tego złodzieja? Na moich warunkach?

- Żadnych ustępstw? Żadnej rezygnacji?

- Właśnie.

- Tak, sir - zmusiłem się, żeby to powiedzieć. Rozbierało mnie coraz bardziej. - Już się za to zabieram.

- Dobrze. Dobrze. Dellwood jest chyba na zewnątrz. Powiedz mu, żeby mi przysłał Petersa.

Wstałem.

- Pan pozwoli, generale. - Wycofałem się w stronę drzwi. Nawet w tym stanie starzec zachował cześć magnetyzmu, który czynił z niego charyzmatycznego przywódcę. Nie chciałem się nad nim litować. Chciałem mu naprawdę pomóc. Muszę znaleźć tego drania, który zdaniem Czarnego Piotrusia próbuje go zabić.

Garret 04 Stare cynowe smutki

III

C

hłód w holu wydał mi się lodowaty niczym środek zimy na Arktyce. Przez moment bałem się, że dostanę odmrożeń.

Generał miał rację. Dellwood czekał za drzwiami. Stał tak, żeby nie było najmniejszej wątpliwości, iż stara się przebywać jak najdalej i nie podsłuchiwać. Co prawda, przez te drzwi chyba nawet eksplozje byłyby słabo słyszalne. Uznałem, że pomimo sztywnego kręgosłupa chyba polubię tego faceta.

- Generał powiedział, że chce widzieć się z Petersem.

- Bardzo dobrze, sir. Zaraz się tym zajmę. Czy może pan wrócić do fontanny i zaczekać?

- Jasne, ale jeszcze moment. Co się z nim dzieje? Kiedy tam byłem, miał dwa dość nieprzyjemne ataki.

To go zatrzymało na dobre. Spojrzał na mnie, choć raz nie kryjąc uczuć. Kochał staruszka i był wyraźnie zatroskany.

- Paskudne spazmy, sir?

- Właśnie tak mi się zdawało. Ale nie jestem lekarzem. Przerwał rozmowę, gdyż obawiał się, że następny atak może być dla niego zbyt poważny.

- Lepiej pójdę tam i sprawdzę, zanim zrobię cokolwiek innego.

- Co się z nim dzieje?

- Nie wiem, sir. Próbowaliśmy sprowadzać do niego lekarzy, ale wyrzuca ich za drzwi, skoro tylko zorientuje się, kim są. Śmiertelnie boi się doktora. Z tego, co mówili, zrozumiałem, że opieka lekarska wcale mu nie pomoże. Oni się tylko drapią po głowach i twierdzą, że nic nie rozumieją.

- Dobrze wiedzieć, że umiesz mówić, Dellwood.

- Sądzę, że generał wprowadził pana na pokład, sir. Należy pan teraz do rodziny.

Podobała mi się taka postawa. Większość ludzi, których znam, albo milczy, albo kłamie.

- Miałbym ochotę porozmawiać z tobą, kiedy będziesz miał trochę czasu.

- Tak jest, sir. - Przepisnął się przez drzwi do generała.

Odnalazłem drogę prowadzącą do fontanny. To nic trudnego. Po zniknięciu Sextona zostałem jednym ze zwiadowców kompanii. Byłem wysoce wyspecjalizowanym poszukiwaczem dróg. Peters często przypominał mi, ile Korona we mnie zainwestowała.

Zostawiłem plecak oparty o fontannę, bo nie chciałem taszczyć go ze sobą, dopóki nie będę pewien, że dostanę tę robotę. Myślałem, że będzie tam całkiem bezpieczny. W końcu to miejsce było takie spokojne... chciałem powiedzieć, że znałem ruiny, które były bardziej zaludnione.

Kiedy dotarłem do tej świątyni grubo przesadzonego militarysty, ktoś kopał w nim w najlepsze.

Była do mnie zwrócona plecami i bardzo foremny tyłeczkiem. Wysoka, smukła brunetka. Miała na sobie prostą, beżową koszulę udającą wiejskie odzienie. Pewnie kosztowała kogoś więcej, niż wieśniak widział przez pięć lat. Grzebała w najlepsze, rozkosznie wywijając zadkiem. Wydawało się, że dopiero co zaczęła.

Lekkim kroczkiem zwiadowcy podszedłem i zatrzymałem się o metr od niej. Z szacunkiem skinąłem głową jej pupce i odezwałem się:

— Znalazłaś coś ciekawego?

Obróciła się błyskawicznie.

Podskoczyłem. Była to ta sama twarz, którą widziałem wcześniej, ale tym razem nie nosiła nawet śladów nieśmiałości. Miała za to więcej charakteru, więcej światowości. Na tamtej, pod płaszczkiem nieśmiałości, dostrzegłem jeszcze prostotę, jaką widywałem wyłącznie u zakonnicy.

Oczy jej zabłyśły.

- Kim jesteś? - zapytała, chyba w ogóle nie poczuwając się do winy. Lubię, kiedy moje panie nie poczuwają się do winy, ale to nie dotyczy grzebania w moich rzeczach.

- Sexton. A ty kto? Dlaczego grzebiez w moich rzeczach?

- Dlaczego masz przy sobie przenośny arsenał?

- Potrzebuję go do pracy. No, odpowiedziałem na pytanie. Twoja kolej.

Zmierzyła mnie wzrokiem od góry do dołu, uniosła brew, jakby sama nie wiedziała, czy jej się podobam, czy nie. Zraniła mnie do głębi! Wreszcie prychnęła i odpłynęła. Nie jestem najprzystojniejszym facetem w mieście, ale panie z reguły nie reagują na mnie w ten sposób. Pewnie to część planu.

Popatrzyłem w ślad za nią. Ładnie się ruszała. Trochę przesadzała, bo czuła, że jest obserwowana. Zniknęła w cieniu pod zachodnim balkonem.

- Oj, chyba sporo tu dziwadeł - mruknąłem do siebie. Sprawdziłem plecak. Zrobiła bałagan, ale niczego nie brakowało. Zdążyłem na czas, by obronić przed nią małe wyściełane pudełko z buteleczkami w środku. Na wszelki wypadek jednak otworzyłem je i jeszcze raz sprawdziłem.

Zawierało trzy buteleczki, niebieską, szmaragdową i rubinową. Każda ważyła pewnie ze dwie uncje. Były zdobyczą w jednej z poprzednich spraw. Ich zawartość wykombinował pewien czarownik i w ciężkich chwilach naprawdę się przydawały. Miałem nadzieję, że nie będę musiał ich użyć.

Przywiozłem ze sobą więcej sprzętu na ciężkie chwile niż odzieży. Ubrania zawsze można wyprać.

Czekając na Dellwooda, włóczyłem się po holu. Czułem się, jakbym zwiedzał muzeum. Jednak nic z tych rzeczy do mnie nie przemawiało. Pewnie, były ciężkie od historii, ale nigdy nie należałem do ludzi, których podnieca wartość historyczna.

Dellwood się nie spieszył. Po półgodzinie zacząłem się rozglądać za starym piernikiem, ciekaw, co by się stało, gdybym zaczął wołać. I wtedy znów zobaczyłem blondaskę, przyglądającą mi się z tak daleka, jak tylko mogła, żeby nie znaleźć się poza holem. Pomachałem jej ręką. Przyjazny ze mnie gość.

Uchyliła się i związała. Ale myszka!

Wreszcie zmaterializował się Dellwood.

- Z generałem w porządku? - zapytałem.

- Odpoczywa, sir. Będzie dobrze. - Nie wyglądał na całkiem przekonanego. - Sierżant Peters zajmie się pańskimi życzeniami. A właściwie skąd się pan tu wziął?

- Generał posłał po mnie.

Przyglądał mi się przez chwilę, po czym mruknął:

- Jeśli pójdzie pan ze mną, pokażę panu kwaterę.

Kiedy już wspięliśmy się na trzecie piętro i kiedy znowu doprowadził mnie do zadyszki, spróbował kolejnego podejścia:

- Długo pan tu zostanie?

- Nie wiem. - Miałem nadzieję, że nie. To miejsce już mnie denerwowało. Za bardzo

przypominało grobowiec. W drugim skrzydle umierał jego pan i cały dom zdawał się umierać wraz z nim.

- A co się stanie, jeśli generał odejdzie? — zapytałem, kiedy Dellwood otwierał drzwi.

- Nie myślałem o tym jeszcze, sir. Nie spodziewam się, by nastąpiło to szybko. Wyzdrowieje.

Jego wszyscy przodkowie dożywali osiemdziesiątki albo i dziewięćdziesiątki.

Wołanie na puszczy. Nie miał przed sobą żadnej przyszłości. Świat nie oferuje zbyt wiele miejsca dla zawodowych żołnierzy, którzy przeżyli już swoje najlepsze lata.

I to znowu sprawiło, że zacząłem się zastanawiać, komu w tym domu mogłoby zależeć na wcześniejszym zejściu generała z tego padółu łez. Logicznie rzecz biorąc, podejrzenia Czarnego Pietrka wydawały się bezpodstawne.

Niestety, kiedy ludzie zaczynają myśleć o zabijaniu innych ludzi, logika przestaje działać.

Jeszcze się wszystkiemu nie przyjrzałem. Dopóki trochę nie powęszę, popytam, a wręcz popodsłuchuję, muszę zachować otwarty umysł.

- A jak jest z posiłkami, Dellwood? Nie jestem przygotowany na uroczyste kolacje.

- Nie urządzaliśmy ich od czasu, gdy generał zachorował, sir. Śniadanie jest o szóstej, lunch o jedenastej, w kuchni. Kolacja o piątej, w jadalni, ale nieformalnie. Goście siadają razem ze służbą. Czy to problem.

- Nie dla mnie. Jestem egalitarystą. Uważam, że jestem taki sam jak ty. Przegapiłem lunch, co? - Nie będę tu zbyt szczęśliwy, jeśli każą mi działać według lokalnego harmonogramu. Szóstą rano oglądam tylko w sytuacjach, kiedy jeszcze nie zdążę dotrzeć do łóżka. Problem z porankami jest taki, że występują wcześniej rano.

- Myślę, że ten jeden raz będzie można coś załatwić. Powiem kucharce, że mamy gości.

- Dzięki. Potrzebuję chwili, żeby się rozpakować, a potem zejść.

- Doskonale, sir. Jeśli będzie pan czegoś potrzebował, proszę mi tylko powiedzieć. Dopilnuję, żeby nie miał pan żadnych problemów.

No pewnie.

Jasne. Dzięki. - Obserwowałem, jak wychodzi, zamykając za sobą drzwi.

Garret 04 Stare cynowe smutki

IV

N

ie potrafiłem sobie wyobrazić, że coś pójdzie nie tak, jeśli wziąć pod uwagę to, co już przeszedłem. Dellwood zainstalował mnie w apartamencie większym od parteru mojego domku. Pokój, w którym stałem, pysznił się panelami z różanego drzewa, mahoniowymi belkowaniami na suficie, zajmującym całą ścianę regałami, po brzegi wyładowanym książkami, i meblami, które pozwoliłyby gościć tu cały pluton. Do tego czteroosobowy stół. Biurko z pulpitem. Różne fotele. Dywan, nad którego tkaniem jakaś staruszka spędziła ostatnie dwadzieścia lat życia mniej więcej trzy wieki temu. Lamp tyle, że wystarczyłoby na cały mój dom. Nad głową lichtarz zapakowany w wiązkę świec, na razie zgaszonych.

A więc tak mieszka sobie ta druga połowa.

W dużym pokoju było dwoje drzwi. Zgaduj-zgadula - pchnąłem pierwsze z brzegu. Ale geniusz, od razu trafiłem do sypialni.

Pasowała do reszty, a jakże. Nigdy w życiu nie widziałem tak wielkiego i miękkiego łóżka.

Rozejrzałem się w poszukiwaniu potencjalnych kryjówek, zachomikowałem dokładnie część mojego sprzętu, jedne akcesoria tak, aby łatwo je było znaleźć, a resztę może wtedy przeoczą. Najważniejsze narzędzia zostawiłem przy sobie. Uznałem, że lepiej wybrać się teraz do kuchni, dopóki służba wykazuje zrozumienie. Po zaspokojeniu potrzeb cielesnych będę mógł do woli włóczyć się po zamku, jak stare duszysko.

Za lepszych czasów kuchnia prawdopodobnie mieściła tuzin służby i pełnoetatowych specjalistów, takich jak piekarze i cukiernicy. Kiedy tam wszedłem, zastałem tylko jedną kobietę bardzo starej rasy, której nie-ludzka połowa przypominała ciało trolla. Była pomarszczona, pokurczona, zgarbiona, a i tak o stopę wyższa i jakieś czterdzieści kilo cięższa ode mnie. Pewnie jeszcze teraz mogłaby mnie przełamać na kolanie... oczywiście, gdybym stał spokojnie i pozwolił jej się dotknąć.

- Ty jesteś ten nowy? - warknęła na mój widok.

- Ja. Nazywam się Sexton. Mike Sexton.

- Co mnie obchodzi twoje zafajdane nazwisko, smarkaczu. Siad. - Pokazała palcem. Nie sprzeczałem się, usiadłem przy stole, w trzech czwartych zastawionym brudnymi sztućcami i talerzami. Plask! Podsunęła mi coś pod nos.

- Pani też służyła u generała?

- Cwaniak, co? Chcesz jeść? To jedz i nie rznij komedianta.

- Jasne. Chciałem tylko porozmawiać. - Spojrzałem na talerz. Mieszanina kawałków różnych dziwnych rzeczy zlepiona śluzowatym sosem, pod spodem garść ryżu. Pochyliłem się nad talerzem, z ostrożnością, jaką zachowuję głównie wobec potraw serwowanych w knajpie mojego kumpla Morleya, jedynej w mieście wegetariańskiej restauracji otwartej nie tylko dla ludzi.

- Jak będę chciała pogadać, to powiem. Rozejrzyj się. Widać, że bym miała czas na kłapanie szczęką po próżnicy? Odkąd wywalili na zbity pysk Candy'ego, muszę wszystko robić sama. Cały czas powtarzam temu staremu zgredowi, że potrzebna mi druga para rąk. Myślisz, że słucha? Nie, do kroćset! Widzi tylko te parę marek tygodniowo, które zaoszczędzi.

Skubnąłem tu, skubnąłem tam. Wydawało mi się, że dostrzegłem małże i pieczarki, i jeszcze inne niezidentyfikowane rzeczy, ale wszystko było cholernie pyszne.

- Pycha - powiedziałem.

- Gdzieś ty się żywił? Przecie to pomyje. Nie mam pomocy i czasu, żeby zrobić coś porządnego. - Zaczęła wrzucać garnki do zlewu, rozpryskując wokół strumienie wody. - Ledwie się wyrabiam, żeby przyszykować coś na następny posiłek. Te świnię, myślisz, że zauważą różnice? Daj im trociny na gorąco, też się nie połapią.

Może i nie. Ale mnie od jakiegoś czasu gotował stary Dean i umiem się poznać na dobrym jedzeniu.

- Dla ilu osób musi pani gotować?

- Osiemnaście gąb, razem ze mną. Cholerna armia. Co cię to obchodzi, panie Dziewiętnasty, kropło, co przelewa dzban?

- Aż tylu? A ten dom wygląda jak nawiedzony. Widziałem generała Dellwooda, panią i jakiegoś staruszka, który dokładał do paleniska w gabinecie generała.

- Kaid.

- I dwie kobiety. A gdzie reszta? Na manewrach?

- Cwaniaczek, he? Gdzieś ty widział dwie kobiety? Pewnie ten dupek Harcourt sprowadza tu swoje flamy, co? Cholera, mam nadzieję, że tak. Po prostu mam nadzieję. Każę staremu wysłać go na rok do karnej kompanii. Wreszcie będzie spokój. A co ty tu u diabła robisz? Nie widziałam nikogo nowego od jakichś dwóch lat. Od półtora roku żadnych przyzwoitych gości, tylko jakieś włóczęgi z miasta, z nosami zadartymi, jakby nie mieli dziury w dupie jak wszyscy!

U-a!

- Szczerze mówiąc, panno... - Nie złapała się na to. - Szczerze mówiąc, nie jestem pewien. Generał posłał po mnie. Powiedział, że chce mnie najać. A potem miał jakiś atak i...

Stopniała. W ciągu dwóch sekund pozbyła się całego kwasu.

- Bardzo źle wyglądał? Może lepiej pójde i sprawdzę...

- Dellwood już się nim zajął. Mówi, że potrzeba mu tylko odpoczynku. Chyba się przemęcza. A ten tam Harcourt, czy on naprawdę przyprowadza tu swoje dziewczyny?

- Od paru lat już nie. A coś ty taki ciekawy, do jasnej cholery? To nie twój chrzaniony interes, kim jesteśmy i z kim się zadajemy.

Nagle coś przyszło jej do głowy. Stała jak wryta, odstąpiła od zlewu, obejrzała się i łypnęła na mnie okiem.

- A może to jednak twój interes?

Nie odpowiedziałem. Usiłowałem się wymigać, podsuwając jej pusty talerz.

- Nie znalazłoby się tego jeszcze troszkę? Tak tylko, żeby dopchać narożniki?

- A jednak to twój interes. Stary znowu ma jakieś urojenia. Myśli, że ktoś chce go ukatrupić. Albo że ktoś go okrada... - Potrząsnęła głową. - Tracisz czas. A może i nie. Dopóki ci płaci, nieważne, czy coś znajdziesz, czy nie, co? Cholera. Lepiej, żebyś nie znalazł. Sam wtedy mógłbyś go obrobić, biorąc forszę za nic. Dopóki nie przestanie sobie roić.

Byłem trochę zmieszany, ale to ukryłem.

- Ktoś obrabia generała?

- Nikt go nie obrabia. Staruch nie ma porządnego nocnika, nic, oprócz tej cholernej kamiennej stodoły. A ona jest o wiele za duża, żeby ją wynieść. W ogóle, jeśli nawet ktoś by go okradał, nie powiedziałabym ci o tym ani słowa. Nikomu z zewnątrz. Nigdy nie mówię nic nikomu z zewnątrz. To banda pieprzonych artystów.

- Bardzo dobry obyczaj. - Sugestywnie zakołysałem talerzem.

- Ręce mam po łokcie w wodzie, a ty chyba nie masz połamanych nóg. Weź sobie sam.

- Z przyjemnością, gdybym wiedział gdzie.

Wydała z siebie pełne rozpaczy westchnienie i chyba wzięła poprawkę na to, że jestem nowy.

- Na cholernym piecu. Ryż w stalowym kociołku, potrawka w żelaznym. Martwię się starym. Te urojenia... coraz więcej, przez cały czas. Pewnie to choroba. Dotyka go. Ale on zawsze myślał, że ktoś próbuje go dostać albo co...

Nie powie ani słowa nikomu z zewnątrz. Byłem z niej dumny.

- Czy to możliwe, żeby ktoś rzeczywiście go okradał? Powiadają przecież, że nawet paranoik może być prześladowany.

- Co? Mnie to mówisz, panie Cwany Wąchaczu? W tym cholernym domu nie ma ani jednego takiego, co by dla generała nie dał w szczękę gromojaszczurowi. Połowa z nich wzięłaby na siebie jego chorobę, gdyby mogła.

Nie chciałem jej rozczarować, ale ludzie czasem mają dziwne układy ze swoim sumieniem. Bez trudu potrafiłem sobie wyobrazić gościa, który chętnie umrze dla generała i równie chętnie go okradnie. Sama chęć służenia potrafi ustawić taki łańcuch skojarzeń i usprawiedliwień, że kradzież staje się całkowicie zrozumiała.

Rozszyfrowała mnie w ciągu piętnastu minut. Jak długo potrwa, zanim wiadomość się rozejdzie?

- Mieliście kiedyś problemy z rusałkami albo ze skrzatami? - Wieś nie raz przeżywała okresowe naloty tych stworzeń, podobnie jak termitów czy myszy. Ten drobiazg ma słabość do błysko-tek i nie wie, co to własność.

- Nie ma tu nic takiego, bobym ich zapędziła do roboty. Też mi się tak wydaje.

- Dellwood wspominał, że generał nie lubi lekarzy. W jego stanie chyba próbowałbym wszystkiego.

- Nie znasz tego gościa. Jest uparty jak całe stado osłów. Kiedy Pani umarła, wbił sobie do głowy, że już nigdy nie zaufa temu tałatajstwu. I trzyma się tego.

-He?

Nie będzie rozmawiać z nikim z zewnątrz. Ona? Ale skądże, ale gdzieżby?

- Widzisz, on kochał tę dziewczeczkę. Panna Tiffany. Ależ to było cudne dziecko. Wszyscy mieli złamane serca, kiedy to się stało. Śmiali się, że taki stary, o tyle starszy od niej. Ale on był jej niewolnikiem z całego serca. On, który nigdy nikogo nie kochał. A potem przyszła pani Jennifer. Poród trwał strasznie długo. Generał nie mógł patrzeć na jej ból. Przywiózł doktorów z miasta. A kiedy pani Jennifer wreszcie przyszła na świat, jakiś idiota dał pani Tiffany środek przeciwwzkrzepowy. Myślał, że daje jej napój nasenny.

Wielki błąd i wyjątkowo głupi, przynajmniej na pierwszy rzut oka.

- Wykrwawiła się na śmierć?

- Właśnie. Pewnie i tak by umarła. Była taka delikatna i blada ale jego nikt nie przekona.

Błędy, które kosztują ludzkie życie, nie są łatwe ani do wybaczenia, ani do zapomnienia. Niezależnie od tego, w co lekarze każą nam wierzyć, są tylko ludźmi. A tam, gdzie są ludzie, są i ludzkie błędy. To nieuniknione.

A kiedy lekarze się mylą, ludzie cierpią.

Mnie łatwo być wyrozumiałym. Nie znałem ani nie kochałem żony generała.

- To zmieniło całe jego życie. Wyjechał, resztę czasu spędził w Kantardzie, wyładowując żal na Venagetich. - Kiedy generałowie się mylą, cierpi jeszcze więcej ludzi. - Będiesz się tu obi-jał cały dzień, smarkaczu? Może zawiniesz rękawy i weźmiesz się do zmywania? Nie mamy tu miejsca dla

trutni.

Kusiło mnie. Miała tyle do powiedzenia. No, ale...

- Może później. Jeśli wygląda, że tracę czas, to może pomogą w zmywaniu?

Prychnęła pogardliwie.

- Myślałam, że się ciebie pozbędę. Nie znałam jeszcze faceta, który miałby dość jaj, żeby z własnej i nieprzymuszonej woli stawić czoło stosowi brudnych naczyń.

- Lunch był wspaniały. Dzięki, panno... Tym razem też nie chwyciło.

Garret 04 Stare cynowe smutki

V

F

ontanna w dużym holu była dobrym miejscem, od którego można zacząć zwiedzanie. Rozsiadłem się na cembrowinie, przetrawiając to, co usłyszałem od kucharki. Miałem pewne przeczucie, że zanim przełamie te tarcze uporczywego milczenia, będę musiał przywitać się z balią do zmywania.

Nagle odniosłem dziwne i bardzo nieprzyjemne wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Niedbale się rozejrzałem.

Otóż i ona. Znowu ta blondynka, lekko unosząca się w cieniu. Teraz ośmieliła się na tyle, że znajdowała się już na tym samym piętrze co ja. Udawałem, że tego nie widzę. Dałem jej minutkę, po czym wstałem i przeciągnąłem się. Uskoczyła w cień. Poszedłem w tamtą stronę, udając, że nic nie wiem o jej istnieniu.

Prysnęła jak przestraszona przepiórka. Rzuciłem się w ślad za nią.

— Jennifer!

Kluczyłem między filarami. Gdzież ona jest? Nie widziałem, dokąd mogłaby uciec. Ale zniknęła. Na dobre.

Upiorne!

- Hej, Mike, co ty robisz?

Podskoczyłem na mniej więcej pięć stóp.

- Peters! Nie podchodź mnie tak. W tym domu już i tak zaczynam wierzyć w duchy. Gdzie się do licha wszyscy podziali?

- Wszyscy? Pracują. - Peters wyglądał na zdumionego.

To miało sens. W tej budzie i na całym terenie nawet osiemnastu ludzi może bardzo skutecznie stracić się z oczu.

- Wydaje mi się, że powinienem od czasu do czasu kogoś spotkać.

- Nieraz jest tu dość pustawo. - Uśmiechnął się. Już drugi raz w tym samym dniu. Rekord. - Pomyślałem sobie, że cię oprowadzę.

- Jakoś sobie poradzę. W Marines byłem zwiadowcą, przecież wiesz.

Uśmiech zniknął. Spojrzał na mnie jak dawny Czarny Pietrek. Tak, jakbym nie miał dość inteligencji, żeby sobie zasznurować buty. Skinął głową w kierunku drugiego, północnego końca holu, gdzie kończyła się witrażowa ściana przedstawiająca pięćdziesiąt wściekłych bitew. Były tam drzwi.

Hej, mamuśka Garrett nie wychowała zbyt wielu idiotów. Pojąłem.

- Chętnie przejdę się po posiadłości i dobrze będzie, jeśli ktoś mi powie, co widzę.

Odprężył się trochę, zrobił minę jakby nigdy nic i ruszył. Podreptałem za nim ociężale. Ani trochę nie tęskniłem za dawnymi czasami.

Peters nie odezwał się ani słowem, dopóki nie znaleźliśmy się poza zasięgiem słuchu, poza ogrodem za domem i poza miejscami, gdzie mogliby się ukrywać potencjalni podsłuchiwalcy.

- Widziałeś starego. Co ty na to?

- W kiepskim stanie.

- Znasz jakieś trucizny, które mogłyby go tak załatwić? Pomyślałem przez chwilę, ale za to sumiennie.

- Nie. Ale nie jestem ekspertem. Znam takiego, który się na tym zna, ale musiałby zobaczyć generała.

Morley Dotes wie wszystko, co można wiedzieć o sposobach pozbycia się brata człowieka lub elfa, ponieważ jest mieszańcem z przewagą krwi czarnoelfickiej nad ludzką.

- Nie sądzę, żeby się dało to załatwić. Jeden gość z zewnątrz to już i tak za dużo zamieszania.

- Ehe. Faktycznie, jakby kto wsadził kij w mrowisko. - Nasza wędrowka ku odosobnieniu nie pozwoliła mi zobaczyć niczego, co się rusza. - Tak tylko zaproponowałem. Chcesz się czegoś dowiedzieć, zapytaj tego, który wie.

- Będę o tym pamiętał.

- A ta sprawa z kradzieżami? Czy to prawda? Kucharka myśli, że to tylko wyobraźnia generała.

- Nie. Ona może tak myśleć. Kiedy tu przyjechaliśmy, miał taki atak, że widział różne rzeczy. Ona niewiele wychodzi z kuchni i sama nie wszystko ma po kolei. Przez większość czasu nie wie, który mamy rok.

- Próbowwała zatrudnić mnie jako podkuchennego.

- Jest do tego zdolna. Bogowie! Pamiętam twoją kuchnię!

- A ja pamiętam, z czym musiałem pracować. Piżmoszczury i bazie. I robale na przystawkę.

Jęknął, omal znów się nie uśmiechnął.

- Nie mów. Pewnie niezbyt miło wspominasz tamte czasy.

- Nie, Garrett. Nawet zawodowi nie są aż tak stuknięci. Nie tęsknię za tym. - Wzdrygnął się lekko.

-Eh? Co?

— Paskudne plotki. Mogą powołać weteranów, żeby wreszcie dać w łeb Glory'emu Mooncalledowi.

Zaśmiałem się.

- A co w tym takiego cholernie śmiesznego?

- Najlepszy kawał, jaki słyszałem w tym miesiącu. Wiesz, ilu by to było ludzi? Każdy mężczyzna powyżej dwudziestego piątego roku życia. Myślisz, że ktokolwiek pójdzie bez słowa? Taka branka może wywołać rewolucję.

- No, może. Myślisz, że to może być trucizna?

- Podejrzewam. Przypuśćmy. Pospekulujmy.

- Nie wiem nic o truciznach. Jak można mu ją podawać?

Nie jestem ekspertem, ale interesuje mnie to z zawodowego punktu widzenia i pilnie słucham takich dyskusji.

- Może w jedzeniu albo napojach. Może być rozsypywana na prześcieradle, żeby przenikała przez skórę. Może być w powietrzu, którym oddycha. Szukanie „jak“ to próżny wysiłek, jeśli nie wiesz „co”. Lepiej przyjrzeć się ludziom. Kto ma dostęp?

- Każdy, w ten czy inny sposób.

- Pójdźmy o krok dalej. Kto skorzysta? Jeśli ktoś go próbuje zabić, to ma jakiś powód. Zgadza się?

Stęknął.

- Widocznie ten, kto to robi, wierzy, że ma. Od początku próbuję to jakoś wykombinować. I nic mi nie wychodzi.

A ja nie miałem z tym żadnych problemów.

- Ile jest warta ta nieruchomości? Kto ją dostanie?

- To nie ma sensu. Jennifer dostaje połowę. Druga połowa ma być podzielona między

pozostałych.

- Podaj mi wartość w złotych markach. Choćby w przybliżeniu. A potem zapytaj sam siebie, co niejedyn człowiek jest w stanie zrobić za taką sumę.

- Trzy miliony za dom? - Wzruszył ramionami. - Milion za zawartość. Dwa lub trzy miliony za posiadłość. Trzy zaoferowano mu w zeszłym roku za dwie północne działki. Miał zamiar sko-rzystać, bo zależy mu na forsie i chciałby, żeby Jennifer była zabezpieczona na całe życie, w każdej sytuacji.

- Trzy miliony za jeden kawałek posiadłości?

- Ktoś chciał ziemię w pobliżu miasta. Wycofali ofertę, ponieważ się wahał. Za to kupili drogę od Hillmanów. Za mniejsze pieniądze.

- I bez urazy?

- Nic o tym nie wiem.

Dokonałem w głowie szybkich obliczeń. Wyszło mi po około stu tysięcy marek dla każdego z pomniejszych spadkobierców. Znam facetów, którzy za te pieniądze poderznąliby sto tysięcy gardoł. Więc motyw istnieje... jeśli przyjmiemy, że komuś spieszy się, żeby objąć swoją część.

- Wszyscy wiedzą, że są ujęci w testamencie?

- Jasne. Stary kiedyś robił koło tego wielki szum. To znaczy, jeśli nie idziesz jak po sznurku, to pożegnaj się ze swoją częścią.

Ha!

- Kucharka wspominała o jakimś Candym...

- On nie. Dawno stąd odszedł. Nie miałby dość jaj, żeby to zrobić. Nawet nie był człowiekiem. W testamencie też go nie ujęto. Nie był jednym z ludzi, których generał przyprowadził ze sobą do domu. Należał do służby, która opiekowała się domem, gdy pan generał był w Kantardzie.

- Wspominała o Harcourcie, który sprawiał kłopoty, przyprowadzając do domu dziewczynki.

- Harcourt? - Zmarszczył brwi. - Chyba miał dość tego, co sam nazywał „klasztornymi zasadami”. Wyniósł się bez słowa mniej więcej pół roku temu. Stary go wydziedziczył. I on o tym wie. Więc nic by na tym nie zyskał. A w ogóle nikt go tu w okolicy nie widywał.

- Musimy chyba zawrócić i spojrzeć na wszystko pod innym kątem, sierzancie.

-Hę?

- Na czym mogę się oprzeć? Na twoich przeczuciach. Ale za każdym razem, kiedy zadaję pytanie, odpowiadasz tak, jakby nikt tutaj nie chciał go widzieć martwym. I nikt na tym nie zyska, ponieważ wszyscy i tak dostaną swoją część. Nie możemy ustalić żadnego motywu. A środki i sposobności są ograniczone.

- Coś chyba chcesz mi powiedzieć?

- Zastanawiam się, czy on po prostu nie umiera na raka żołądka. Czy może nie powinieneś wezwać lekarza zamiast mnie, dopóki się nie dowiesz, co go zabija.

Przez kilka minut nie odpowiadał. Powiedziałem, co wiedziałem, i przez chwilę szliśmy w milczeniu. On dumał, a ja się rozglądałem. Ktoś zadbał o pola zeszłego lata, ale teraz nikogo na nich nie było. Spojrzałem na niebo. Dorzucili jeszcze kilka ołowianych płyt i wpuścili w wiatr lodowe igły. Wraca zima.

- Próbowałem, Garrett. Dwa miesiące temu. Ktoś doniósł staremu. Doktor nie przedostał się nawet przez frontowe drzwi.

Sposób, w jaki powiedział „ktoś”, sugerował, że dobrze wie kto. Zapytałem. Nie chciał powiedzieć.

- Kto, sierzancie? Nie możemy podejrzanych wybierać losowo.

- Jennifer. Wciągnęliśmy ją do spisku, ale stchórzyła. To dziwna dziewczyna. Jej jedynym

życiowym celem jest jakiś gest aprobaty i miłości. A stary tego nie potrafi. Boi się jej. Dorastała, kiedy on był daleko. A to, że jest bardzo podobna do matki, też wcale nie pomaga. Jej matka zmarła...

- Wiem, kucharka mi opowiedziała.

- Jakże by inaczej. Ta stara wiedźma wie wszystko i opowiada każdemu, kto chce i nie chce słuchać. Powinieneś przeprowadzić się do kuchni.

Poszliśmy teraz na południe, okrążając dom.

- Może mamy problemy z porozumiewaniem się? - mruknął Peters. - Im bardziej się w to zagłębiasz, tym bardziej większość rzeczy wydaje ci się wyimaginowana. Stary ma napady szału. On naprawdę myśli, że ludzie chcą go dopaść, nawet jeśli to nieprawda. I to rzeczywiście sprawia, że wszystko staje się takie diaboliczne. Dopóki ktoś nie wsadzi mu noża pod żebro przy świadkach, nikt nie uwierzy, że grozi mu jakieś niebezpieczeństwo.

Westchnąłem. Miałem kiedyś kumpla w tym samym wieku, Pokeya Pigottę. Już nie żyje. Ale kiedyś miał właśnie taką sprawę. Szalona starucha z kupą forsy, cierpiąca na wyimaginowaną chorobę i otoczona wyimaginowanymi wrogami. Pokey zlekceważył jej lęki. Wykończył ją własny syn. Pokey długo nie mógł się otrząsnąć.

- Będę jak najbardziej otwarty.

- Tylko o to proszę. Pilnuj się dobrze. Nie pozwól się zasugerować.

- Jasne. Ale wszystko poszłoby szybciej, gdyby zajęli się tym eksperci.

- Mówiłem, że spróbuję. Nie wzdychaj. Już cię trudno było sprzedać.

Dalej okrążaliśmy dom. Właśnie mijaliśmy cmentarzyk.

- Rodzinny?

- Od trzystu lat.

Obejrzałem się na dom. Z tej strony wydawał się jeszcze bardziej ponury.

- Nie wygląda na taki stary.

- Bo nie jest. Przedtem stał tu inny dom. Spójrz na zabudowania gospodarcze z tyłu. Wciąż można dostrzec stare fundamenty.

Rozebrali go na materiały budowlane, kiedy stanął nowy dom. Właśnie z nich powstały tamte budynki.

Podejrzywałem, że należy się temu dokładniej przyjrzeć. Trzeba prześledzić wszystko. Nie wolno nic zostawić w spokoju, choć gdzieś w głębi, intuicyjne czułem, że odpowiedź - jeśli w ogóle taka jest - kryje się w wielkim domu.

Peters jakby czytał mi w myślach.

- Jeśli tylko się oszukuję i mamy tu wyłącznie konającego starca, też chcę to wiedzieć. Sprawdzisz?

- Sprawdzę.

- Spędzam z tobą więcej czasu, niż powinienem. Lepiej wrócę do roboty.

- Gdzie mogę cię znaleźć w razie potrzeby? Zachichotał.

- Jestem jak końskie łajno, to znaczy wszędzie. Szukaj, a znajdziesz. To problem, który będziesz miał ze wszystkimi, zwłaszcza kiedy jest sezon na kłusowników. Kucharka to jedyna osoba, która siedzi na miejscu.

Ruszyliśmy w stronę domu, przechodząc przez niewielki sad niezidentyfikowanych drzew owocowych z białym gazonem pośrodku, wspięliśmy się na pagórek i po kilku stopniach do drzwi frontowych. Peters wszedł do środka, a ja zatrzymałem się, żeby ogarnąć spojrzeniem posesję Stantnora. Zimny wiatr szczypał mnie w policzki. Zachmurzone niebo odbierało ziemi wszystkie barwy, pozostawiając ją smutną i ubogą, jak stary cynowy kubek. Zastanawiałem się, czy umiera

wraz ze swym panem.

Ale ziemia doczeka kiedyś nowej wiosny. Wątpię, czy można to samo powiedzieć o starym generale.

O ile nie znajdę truciela.

Garret 04 Stare cynowe smutki

VI

W

szedłem do wielkiego holu. Słyszałem oddalające się kroki Czarnego Pietrka. W pomieszczeniu panował półmrok. Dom wydawał się jeszcze bardziej opustoszały i ponury niż zwykle. Podeszedłem do fontanny, przyglądając się, jak heros pracuje nad smokiem, i myślałem, co robić dalej. Zwiedzać dom? Do licha, robi się zimno. A może zajrzeć do tych zabudowań i mieć sprawę z głowy?

Poruszyłem się, czując na sobie czyjś wzrok. Już się do tego przyzwyczyłem. Spojrzałem na najbliższe podcienie. Nigdzie ani śladu blondynki. W ogóle nigdzie nikogo. Podniosłem wzrok.

Pochwyciłem kątem oka jakiś błysk na balkonie trzeciego piętra. Ktoś odskoczył poza zasięg mojego wzroku. Kto? Czy ktoś z większości, której jeszcze nie znam? Ale dlaczego nie chcieliby dać się poznać? Przecież i tak wcześniej czy później spotkam się ze wszystkimi.

Wyniosłem się tylnymi drzwiami.

Tuż za domem znajdował się ogród, któremu wcześniej nie zdążyłem się dokładnie przyjrzeć. Peters chciał się jak najbardziej oddalić, tak żebyśmy mogli pogadać. Teraz go sobie obejrzałem.

Było tu dużo przedziwnych rzeźb, pomników, fontann, oczek wodnych, z których spuszczone wodę, bo o tej porze roku zaczynają się już pierwsze przymrozki. Lód skruszyłby ściany oczek. Były tu żywopłoty, dziwacznie ,poprzycinane drzewa, gazony i klomby na wiosenne i letnie rośliny. W sezonie mógł robić duże wrażenie. Teraz wyglądał jedynie na opuszczony i nawiedzony przez dawne smutki.

Zatrzymałem się przy żywopłocie otaczającym północną część ogrodu i obejrzałem się. To, co zobaczyłem, było jak widmo dawnych lepszych czasów.

Ale ktoś przynajmniej obserwował mnie z okna na trzecim piętrze zachodniego skrzydła.

Zapamiętaj to sobie, Garrett. Cokolwiek zrobisz, gdziekolwiek pójdziesz, zawsze ktoś będzie cię obserwował.

Jakieś sześć metrów od żywopłotu znajdował się rząd topoli. Drzewa były tu po to, by maskować zabudowania gospodarcze. Praktyczna strona życia nie może przecież obrażać oczu mieszkańców. Tacy są bogacze. Nie chcą, aby im przypominać, że ich wygoda wymaga ciężkiej, niewolniczej wręcz harówki innych.

Ujrzałem około pół tuzina budynków, różnej wielkości i kształtu. Głównym materiałem budowlanym był kamień, choć nie ten sam co w głównym budynku. Stajnie rozpoznałem na pierwszy rzut oka. Ktoś tam pracował, bo słyszałem uderzenia młota. W drugim budynku trzymano zwierzęta, prawdopodobnie bydło, może nawet mleczne krowy. Znajdował się najbliżej mnie i pachniał zgodnie z przeznaczeniem. Pozostałe budynki, w tym cieplarnia po prawej, wyglądały na zaniedbane od bardzo dawna. W oddaleniu, po lewej, znajdował się długi, niski barak. Widać było, że nikt go nie używał od wielu lat.

Postanowiłem zacząć od cieplarni.

Niewiele miałem do oglądania. Ktoś wydał fortunę na szkło, a potem nie chciało mu się utrzymywać w tym miejscu porządku. W oknach brakowało kilku szyb. Szkielec, który kiedyś pomalowano na biało, teraz rozpaczliwie domagał się świeżej farby. Drzwi były uchylone na pół metra i smętnie zwisały na zawiasach. Miałem problem, żeby je otworzyć i wejść do środka.

Dawno nikogo tutaj nie było. Cała cieplarnia zarosła chwastami. Jedynym żywym stworzeniem, jakie zobaczyłem, był parszywy, pomarańczowy, smętny kot. Na mój widok zwał między zielsko.

Drugi budynek był mały, solidny i często używany. Okazało się, że mieści się w nim studnia, co wyjaśniało panujący tam ruch. Taki wielki dom na pewno zużywa całe mnóstwo wody, choć ja, będąc na ich miejscu, poprowadziłbym ją rurami ze zbiornika.

Następny budynek - stajnię - ominąłem. Z tymi, którzy tam są, pogadam po zakończeniu przeglądu. Za nią znajdował się niewielki domek wypełniony dżunglą różnych narzędzi i sprzętu rolniczego, na oko od dawna nie używanych. Był tam drugi kot, mnóstwo myszy i, sądząc po zapachu, cała armia nietoperzy. Nic nie śmierdzi tak jak tłum gacków.

Dalej była stodoła. Dolny poziom przeznaczono dla zwierząt - mlecznych krów i wołów. Na górnym składowano słomę, siano i paszę. Wokół było pusto, dostrzegłem tylko krowy i kilka kotów. Uznałem, że są tu również sowy, ponieważ nie czułem zapachu nietoperzy. Stodoła ewidentnie wymagała remontu. Krowy nie były ani przyjazne, ani wrogie, ani nawet zainteresowane.

I tak powoli mijał dzień. Ponura pogoda była coraz bardziej ponura. Uznałem, że lepiej się pospieszyć, a szczegółowe szperanie zostawić sobie na później. Niedługo będzie kolacja.

Budynek, który wyglądał jak baraki, służył prawdopodobnie pracownikom sezonowym. Miał około siedemdziesięciu metrów długości i z piętnaścioro drzwi. Za pierwszymi, do których zajrzałem, znajdował się wielki, zakurzony skład. Za kolejnymi były mniejsze kwatery, podzielono każdą na trzy pokoje: pierwszy bezpośrednio przy wejściu, dwa pozostałe, o połowę mniejsze, głębiej. Kilkoro następnych prowadziło do takich samych mieszkań. Domyśliłem się, że są przeznaczone dla robotników z rodzinami. Problem polegał na tym, że pomiędzy drzwiami znajdowało się mnóstwo miejsca, którego przeznaczenia nie potrafiłem odgadnąć.

W drugim skrzydle baraków odkryłem kuchnię wielkości składu. Drzwi znajdowały się po drugiej stronie, na tyłach budynku. Tu ujrzałem kolejny rząd drzwi, wyjaśniający kwestię nadmiaru miejsca. Mieszkania skierowane były w przeciwną stronę. Wszedłem do kuchni, ponurego, pozbawionego okien pomieszczenia, które w swych najlepszych czasach nie mogło nastrajać radośnie. Drzwi zostawiłem otwarte, żeby wpuścić więcej światła.

Niewiele było do oglądania, tylko kurz, pajęczyny i przybory kuchenne, od lat nie używane. Jeszcze jedno miejsce, którego nikt od dawna nie odwiedza. Dziwne, że wszystko jeszcze tak sobie leżało. W TunFaire i okolicy nie brakuje złodziei. Wszystko to przecież ma jakąś tam wartość rynkową.

Kopalnia złota, której jeszcze nikt nie odkrył?

Drzwi się zatrzasnęły.

- Cholerny wiatr - mruknąłem i ostrożnie ruszyłem przez mrok, próbując sobie przypomnieć, o co mógłbym się potknąć po drodze.

Usłyszałem, jak ktoś zamyka zardzewiałą zasuwę...

To nie wiatr. Ktoś wyraźnie nie chce zostać moim kumplem.

Kiepska sprawa, Garrett. Kuchnia była oddalona od wszystkich miejsc, w których ktokolwiek mógłby się kręcić. Ściany z grubego kamienia. Zawrzeszczałbym się na śmierć i nikt by nie usłyszał. Drzwi były jedynym wyjściem i jedynym źródłem światła.

Znalazłem je, przesunąłem dłońmi po desce i prychnąłem. Odstąpiłem na kilka kroków i solidnie kopnąłem.

Zasuwa wyskoczyła ze spróchniałego drewna. Pomogłem jej nożem. Nikogo za nimi nie było. Rzuciłem się w drugi koniec budynku. Dalej nikogo.

Psiakrew! Oparłem się o ścianę i zadumałem na chwilę. Coś się tu dzieje, nawet jeśli to nie to, o

czym myśli Pietrek.

Kiedy się uspokoiłem, zawróciłem do drzwi kuchennych, szukając śladów. Poznałem, że ktoś tam łąził, ale było zbyt ciemno, żebym mógł z tym cokolwiek zrobić.

No cóż. Dajmy sobie teraz spokój. Może lepiej pójdę na kolację i zobaczę, kto się zdziwi na mój widok.

Garret 04 Stare cynowe smutki

VII

S

późniłem się. Powinienem być zapoznać się z rozkładem domu. Nie wiedziałem, gdzie jest jadalnia, więc poszedłem do kuchni. Odczekałem, aż pojawi się kucharka. Przywitała mnie wysoce niemiłym spojrzeniem.

- Co ty tu robisz?

- Czekam, żeby się dowiedzieć, gdzie jemy?

- Dupek! - Chwyciła tacę. — Bierz to i ruszaj za mną. Posłuchałem. Przepchnęła się przez wahadłowe drzwi do pakamery, a potem do drugich wahadłowych drzwi.

Jadalnia okazała się jadalnią, to znaczy miejscem, gdzie można ugościć setkę najbliższych przyjaciół. Większą część pomieszczenia spowijał mrok. Wszyscy siedzieli przy jednym narożnym stole. Dekoracja była standardowa, jak w całym domu, to znaczy zbroje i ostra stal.

- Tu - powiedziała kucharka. Uznałem, że ma na myśli puste miejsce. Postawiłem mój łądunek na nie używanej części stołu i usiadłem.

Nie było zbyt tłoczno. Dellwood, Peters i brunetka, przyłapana przeze mnie na grzebaniu w plecaku, plus trzech innych, których nie znałem. I kucharka, która usadowiła się na wprost mnie. Generał chyba nie dał rady zejść. Nie było też więcej nakryć.

Dziewczyna i nieznajomi faceci przyjrzeni mi się uważnie. Chłopcy wyglądali na emerytowanych Marines. Co za niespodzianka. Dziewuszka była atrakcyjna. Przebrała się w ciuchy na podryw.

Garrett, ty draniu... Myśl umknęła jak wiatr. Ta dziewczyna miała w sobie coś nieprzyjemnego. Wyglądała tak, jakby mówiła „chodź i bierz”, a ja zareagowałem wycofaniem się. Końcem nosa węszyłem problemy. Jak to mówił Morley? Nie bierz się nigdy za kobietę, która jest bardziej stuknięta od ciebie?

Może wreszcie zacząłem dorastać?

Pewnie. A jutro rano w niebie będą dziury na wylot.

Nie miałem zamiaru wyrastać z tego przez najbliższe sto lat.

- To jest Mike Sexton - odezwał się Peters. - Był ze mną na wyspach dziesięć lat temu. Mike, to kucharka. - Wskazał na kobietę-trolla.

- Już się znamy.

- Panna Jennifer, córka generała.

- Też się już znamy. — Wstałem i sięgnąłem przez stół, żeby jej uścisnąć dłoń. — Wcześniej nie miałem szans, bo obie trzymała po łokcie w moim plecaku.

Kucharka zachichotała. Jennifer spojrzała na mnie takim wzrokiem, jakby się zastanawiała, czy będę smaczniejszy duszony, czy z różną.

- Dellwooda też już znasz. Obok niego siedzi Cutter Hawkes. Hawkes był za daleko, żeby podać mu rękę. Skinąłem głową.

On też. Był chudy jak szczapa, o twardych, szarych oczach i końskiej szczęce, po pięćdziesiątce. Wyglądał bardziej na proroka i druida niż na żołnierza. Jak każdy facet o kamiennym poczuciu humoru.

- Art. Chain. - Kolejny facet kiwnął głową. Miał ogromniaste, siwiejące czarne wąsiska, o wiele

za mało włosów na czubku głowy i ważył pewnie o czternaście kilo za dużo. Jego oczy były jak paciorki z obsydianu. Kolejny typ, który ma alergię na śmiech. Nawet nie schylił głowy. Był tak szczęśliwy na mój widok, że omal się nie posrał.

- Friedel Kaid. - Kaid był starszy od generała, około siedemdziesiątki. Jedno oko szklane, drugie też nie za dobre. Spojrzenie trochę deprymujące, bo szklane oko pozostaje nieruchome, ale nie wyglądał na człowieka, który całe życie spędził na unikaniu uśmiechów. Właściwie uśmiechnął się także teraz, gdy Peters go przedstawił. To jego widziałem przy palenisku w kwaterze generała.

- Miło pana poznać, panie Sexton.

- Pana również, panie Kaid.

Widzicie? Umiem być dżentelmenem. Plotki zaprzeczające tej prawdzie to czysta zazdrość i zawiść. Jennifer nie dała mi szansy skosztować posiłku.

- Co pan tu robi?

- Generał posłał po mnie. - Wszyscy byli okropnie zaniepokojeni. Miło jest być w centrum zainteresowania. Truposza muszę podpalić, żeby zechciał zwrócić na mnie uwagę.

- Po co?

- Spytaj go. Jeśli będzie chciał, to ci powie.

Zasnurowała usta. Oczy błysnęły jej niebezpiecznie. Ciekawe to były oczy, głodne, jakby muśnięte ciemnością. Nie wiem jaki miały kolor. Było za słabe światło. Dziwna dziewczyna. Może jedyna w swoim rodzaju. Piękność jedna na milion i wcale nie pociągająca.

- Co pan robi, panie Sexton? - zapytał stary Kaid.

- Można mnie nazwać dyplomata.

- Dyplomata? - Był zaskoczony.

- Właśnie. Porządkuję różne sprawy. Pomagam ludziom zmienić zdanie. Tak jak przedtem, w Korpusie, tylko na mniejszą skalę. Usługi personalne.

Peters rzucił mi ostrzegawcze spojrzenie.

- Lubię ciekawą rozmowę, jak wszyscy. Ale jestem głodny — oznajmiłem. - A wy tak się na mnie rzuciliście. Pozwolicie, że was dogonię?

Spojrzeli na mnie dziwnie. Kucharka jeszcze dziwniej. Zastanawiała się pewnie, czy przedtem dobrze odgadła. Zaspokoilem pierwszy głód, po czym spytałem:

- Gdzie są pozostali, sierzancie?

Peters zmarszczył brwi.

- Jesteśmy w komplecie. Z wyjątkiem Tylera i Wayne'a. Mają wolny wieczór.

- Snake - podpowiedział Kaid.

- O, rzeczywiście, Snake Bradon. Ale on nigdy nie przychodzi do domu. Do licha, może nawet już go tu nie ma? Widział go ktoś?

Głowy wykonały przeczący ruch.

- Przedwczoraj przyszedł po zapasy - odparła kucharka.

Nie chciałem zadawać zbyt wielu pytań naraz i pominąłem Snake Bradona milczeniem. Któregoś dnia dopadnę Czarnego Pietrka i dokładnie go o wszystkich wypytam.

— To się nie zgadza - wtrąciłem. — Słyszałem, że oprócz mnie w domu jest jeszcze osiemnaście osób.

Wszyscy wyglądali na zdziwionych, z wyjątkiem kucharki.

- Od lat nie było tu tylu ludzi - odparł Chain. - Jesteśmy my, kucharka, Tyler, Wayne i Snake, który pilnuje, żeby nie rozleciała się stodoła.

Zjadłem co nieco. Nie wiedziałem co. Było tak samo smaczne jak lunch, tylko jeszcze trudniejsze

do zidentyfikowania. Kucharka widocznie lubi potrawy jednogarnkowe.

Po chwili zorientowałem się, że wokół jest dziwnie cicho. Miałem wrażenie, że nie chodzi tu tylko o mnie. Ci ludzie nie odzywaliby się więcej, gdyby mnie tu nie było.

- A ta blondynka? Kim ona jest? Wszyscy mieli zaskoczone miny.

- Jaka blondynka? - zapytał Peters.

Mierzyłem go wzrokiem przez jakieś dziesięć sekund. Może nie robi ze mnie durnia.

- Około dwudziestki, smakowita. Wzrostu Jennifer, nawet szczuplejsza, włosy prawie białe, sięgające do pasa. Oczy chyba niebieskie. Wstydliva jak myszka. Ubrana na biało. Kilka razy przyłapałem ją na tym, że mnie podgląda. - Nagle coś sobie przypomniałem. - Dellwood, przecież ty tam wtedy byłeś. Powiedziałaś, że to panna Jennifer.

Dellwood skrzywił się lekko.

- Tak, sir. Ale jej nie widziałem. Przypuszczałem tylko, że to panienka Jennifer.

- Dziś nie miałam na sobie niczego białego - odparła Jennifer. - Jaka to była sukienka?

Starłem się, jak mogłem, a mogłem sporo. Jednym z wielkich sukcesów Truposza było nauczenie mnie sztuki obserwacji i zapamiętywania.

- Nie mam niczego takiego - powiedziała wreszcie Jennifer, usiłując wyglądać na znudzoną i zmęczoną. Wszyscy spojrzeli po sobie, z czego wywnioskowałem, że nikt nie wie, o czym mówię.

- Kto się zajmuje generałem? - zapytałem. - Skoro wszyscy jesteście tu?

- On teraz śpi, sir - odparł Dellwood. - Kucharka i ja zbudzimy go na kolację, kiedy skończymy.

- I nikogo z nim nie ma?

- Nie lubi, jak się go rozpieszcza, sir.

- Zadajesz cholernie dużo pytań - wtrącił Chain.

- Mam taki zwyczaj, ale pracuję nad tym. Nie macie tu przypadkiem piwa? Przydałby mi się jakiś deser.

- Generał nie toleruje alkoholu, sir - wyjaśnił Dellwood. - Nie pozwala pić w majątku.

Nic dziwnego, że są taką wesolutką gromadką. Spojrzałem twardo na Petersa.

- O tym mi nie wspomniałeś.

Gdyby się postarał, toby pamiętał, że lubię piwko. Uśmiechnął się i mrugnął do mnie. Sukinsyn.

- Niezłe żarcie, pani kucharko. Cokolwiek to było. Pomóc przy sprzątanii?

Spojrzeli na mnie, jakbym zgłupiał do szczytu.

- Prosisz się o kłopoty, to je dostaniesz - odparła. - Bierz talerz i za mną.

Tak też uczyniłem. Kiedy wróciłem z drugą porcją, szczury już się rozbiegły.

Muszę zapytać Petersa o tę rozbieżność między obliczeniami kucharki i pozostałych...

Garret 04 Stare cynowe smutki

VIII

P

o kolacji poszedłem do siebie. Podchodząc do drzwi, szukałem klucza, który Dellwood zostawił dla mnie w prymitywnym zamku. Zauważyłem, że drzwi są uchylone na pół centy-metra. Otóż to.

Nie byłem zaskoczony. Nie po rewizji, jaką Jennifer przeprowadziła w moim plecaku, nie po tym co się stało w barakach.

Zatrzymałem się na chwile. Zaszarżować jak kawaleria? Czy wejść ostrożnie, po cichu? Ostrożność nie pasowała do obrazu, jaki chciałem przekazać innym. Ale pomagała w przedłużeniu życia. I nikt nie patrzył.

Uklęknąłem przy samej framudze, sprawdziłem zamek. Na mosiężnej płytce otaczającej dziurkę od klucza zauważyłem kilka delikatnych zadrapań. Jak już wspomniałem, urządzenie było raczej prymitywne i każdy mógł je otworzyć przy odrobinie cierpliwości. Pochyliłem się, żeby spojrzeć przez dziurkę.

Nic. Całkowita ciemność. A ja zostawiłem zapaloną lampę. Pułapka?

Jeśli tak, to bardzo głupia. Szczególnie te otwarte drzwi. Chłopaki wyraźnie nie byli zawodowcami, ale nie sądzę, by popełnili tak podstawowy, błąd. A jeśli to nie pułapka, tylko zwykłe przeszukanie? Wątpię, żeby zgasili lampę. To cholernie wymowna zmiana.

Przez myśl przeszło mi słówko „dezinformacja”. Takie słówko z gry szpiegowskiej. Dostarczać nie tylko fałszywej informacji, ale w ogóle informacji, i to w ilości znacznie większej niż trzeba, bo większość i tak jest zdecydowanie niepewna. Wtedy wszystko, czego się dowiesz, jest owiane cieniem wątpliwości.

Cofnąłem się, oparłem o ścianę i skinąłem głową. Właśnie. Wyglądało na to, że mam dobre przeczucie. Pozwolą mi dowiedzieć się całego mnóstwa różnych dziwnych rzeczy, w większości nieprawdziwych, niepotrzebnych lub mylących. Trudno ułożyć puzzle, jeśli masz trzy razy za dużo części.

Wciąż jednak pozostawała do podjęcia decyzja, co właściwie mam teraz robić. Jakiś niezdarny idiota ciągle jeszcze może czyhać na mnie w mroku.

Dlaczego by więc nie rozegrać tej gry w odwrotnym kierunku?

Hol miał około trzech i pół metra szerokości - przesadnie wielki, jak wszystko w tym domu, i jak wszystko zastawiony złomem. O jakieś sześć metrów ode mnie stała sobie zbroja. Podniosłem ją i przytargałem jak najbliżej, postawiłem przed drzwiami, po czym zdmuchnąłem najbliższe lampy, tak by osoba znajdująca się w środku widziała wyłącznie sylwetkę. Teraz schowałem się za cynowy garniturek, lekko pchnąłem drzwi, wprowadziłem zbroję do środka i przystanąłem, jakbym się zawahał.

Nic się nie stało. Wycofałem się, wziąłem jedną z lamp z holu i wniosłem do środka.

Nikogo tam nie było, tylko ja i mój ochroniarz. Sprawdziłem szafy, sypialnie, garderobę. Nic nie zostało naruszone. Jeśli nawet ktoś przeszukał to miejsce, był ekspertem i zrobił to na tyle dobrze, że zauważył i umieścił z powrotem na miejscu wszystkie drobne zabezpieczenia, które pozakładałem.

No więc, co my tutaj mamy? Ktoś zadał sobie trud i włamał się do środka tylko po to, żeby zdmuchnąć lampę?

Zamknąłem drzwi, poklepałem zbroję po ramieniu.

- Ktoś tu w coś gra, staruszk. Chyba pozwolę ci zostać u mnie na dłużej.

Przeniosłem ją i zamknąłem w największej szafie na ubrania, zapaliłem wszystkie lampy w pokoju, lampę z holu zaniósłem na miejsce, wszedłem do apartamentu, zamknąłem drzwi i usiadłem przy biurku, żeby przetrwać spożyty posiłek.

Nie poszło mi najlepiej. Potrzebuję jednego lub dwóch piw, żeby w pełni wykorzystać sytuację. Coś z tym trzeba zrobić. Właściwie to całkiem dobry pomysł, żeby na chwilę zniknąć i skonsultować się z kilkoma ekspertami.

W szufladzie pod blatem był atrament, papier i mnóstwo innych rzeczy. Wyciągnąłem potrzebne przybory i zacząłem robić notatki. Zapisałem nazwiska wszystkich tych, których po-znałem i o których tylko słyszałem. Oddzielnie napisałem o tajemniczej kobiecie. Peters, Dellwood, generał, kucharka, Jennifer, Hawkes, Chain i Kaid. Tyler i Wayne na przepustce, jakiś Snake Bradon, który był aspołeczny i nie chciał wejść do domu. Ktoś imieniem Candy, kto, teoretycznie, nie liczył się, bo został dawno wylany. I Harcourt, który wprowadzał po-tajemnie do domu swoje panienki, ale pół roku temu wyniósł się stąd.

Zgodnie z zeznaniem kucharki powinno być osiemnaście osób. Ja się doliczyłem jedenastu, plus tajemnicza blondynka. Mamy zatem coś, co w Marines określa się mianem braków w pogłowiu.

Ktoś zastukał do drzwi.

-Tak?

- Peters, Mike. Wpuściłem go. — Co się dzieje?

- Przyniosłem ci listę brakujących rzeczy. Nie mogę zagwarantować, że jest kompletna. Nie są to rzeczy, które widzi się co dzień, i od razu zorientujesz się, że ich nie ma. - Podał mi plik papierów. Usiadłem i przejrzałem je.

- Dużo tego. — I wszystko małe. Każda pozycja miała przypisaną .orientacyjną wartość. Rzeczy takie, jak złote medale, stare klejnoty, należące do dawno zmarłych kobiet Stantnorów, srebrne części serwisu, wzgardzone przez twardych i hardych eks-Marines, dekoracyjna broń.

- Jeśli chcesz, mogę przelecieć cały dom, pokój po pokoju, i policzyć dokładniej. Problem polega na tym, że trudno powiedzieć, czego nie ma, jeśli nikt nie wie, gdzie było.

- To chyba niewarte takiego zachodu. Chyba że dowiesz się o czymś, co można prześledzić. - Mało rzeczy na liście pasowało do tego określenia. Złodziej potrafił się opanować.

I tak cyfra wypisana na dole przyprawiła mnie o wytrzeszcz oczu.

- Dwadzieścia dwa tysiące marek?

- W oparciu o moją najlepszą wiedzę na temat wartości metalu i kamieni. Podejrzewam, że to mocno zaniżona kwota.

- Pewnie tak, biorąc pod uwagę ich wartość artystyczną. Większość nie wygląda na złom, który można by przetopić.

- Może.

- Czy na pewno chcemy znaleźć złodzieja? - Ja chciałem, ponieważ takie zadanie otrzymałem od generała. Sondowałem jedynie uczucia Czarnego Pietrka.

- Tak. Stary może już długo nie pociągnąć. Nie chcę, żeby umarł z przeświadczeniem, że ktoś go bezkarnie zdradził.

- Racja. Dlatego teraz zlecę w mieście poszukiwanie wśród paserów. Nieraz łatwiej jest prześledzić złodzieja od drugiej strony. Przygotuj mi dokładny opis czterech czy pięciu bardziej wyróżniających się przedmiotów, a ja każę komuś rozejrzeć się za nimi.

- Będziesz musiał za to zapłacić?

- Tak. Masz zamiar oszczędzać miedziaki generała? Uśmiechnął się.

- Nie powinienem. Ale nie jestem przyzwyczajony do tego, żeby zostawić sprawę bez dozoru.

Potrzebujesz jeszcze czegoś?

- Muszę dowiedzieć się więcej o ludziach. - Spojrzałem na moją listę. - Biorąc pod uwagę trzech facetów, których nie znam, a pomijając moją białą damę, naliczyłem jedenaście nazwisk. Kucharka mówi o osiemnastu. Gdzie się podziało siedmioro?

- Mówiłem ci, że ona ma nierówno pod pułapem. Jest tu od czasu, gdy wybudowano pierwszy dom. Dosłownie. Teraz nie zawsze wie, który mamy rok. Kiedy przyjechaliśmy tu z Kantardu, było nas osiemnaścioro, licząc ją i Jennifer. Zanim stary zaczął wyrzucać poprzednią służbę, było jeszcze więcej osób. Teraz jedenaście osób to prawidłowa liczba.

- Gdzie są pozostali?

- Sam i Tark po prostu zeszli z tego świata. Wollack znalazł się po niewłaściwej stronie byka, kiedy zapładnialiśmy krowy, i został stratowany. Pozostali się rozleźli. Chyba im się znudziło. Pojawiali się coraz rzadziej i rzadziej, aż wreszcie nie wrócili.

Pochyliłem się, wziąłem świeży arkusz papieru, podzieliłem pięć milionów na dwa i dałem dwie i pół bańki Jennifer, a dwie i pół podzieliłem na szesnaście, co dało sto pięćdziesiąt sześć tysięcy marek i trochę drobnych.

Nieźle. Nie znałem gościa, który zostawiłby sto pięćdziesiąt tysięcy w złocie lub srebrze i wyszedł.

Liczyłem dalej. Dwa i pół dzielone na dziewięć dawało dwieście siedemdziesiąt siedem tysięcy i drobne. Prawie dwa razy tyle, niech to diabli!

Czyżby działo się tu coś jeszcze?

Nie powiedziałem tego na głos. Należało jednak o tym pamiętać.

- Masz coś? - zapytał Peters.

- Chyba raczej nie. Czas na mały spacer.

- Mam trochę problemów z doszukaniem się sensu w tym wszystkim. Czy istnieje jakiś sposób, żeby się dowiedzieć, gdzie są teraz ci czterej ludzie? Poza tym muszę dowiedzieć się czegoś więcej na temat testamentu generała.

- Po co? - Zmarszczył brwi.

- Powiadasz, że zapisów w testamencie używał jako bicza? Może przeholował? Może jeden z nich próbuje się zemścić, kradnąc lub podsuwając mu truciznę?

- Zabiłeś mi klina. - To było widać.

- A zatem dwie sprawy: kopia testamentu i dowiedzieć się, czy była jakaś kłótnia pomiędzy generałem a tamtą czwórka.

- Chyba nie myślisz naprawdę, że któryś z nich się tu zakrada? Nie, wcale tak nie myślałem. Czulem, że nie żyją. Wierząc z całego serca w przyzwoitość ludzką, uważałem, że ktoś tutaj bawi się w wyliczankę, kto zostanie jako ostatni. A jest w tym tak dobry, że nikt nawet nie podejrzewa, co się święci. Ale, jeśli... jeśli ktoś to robi, to na pewno nie chce zamordować starego. Ten ktoś będzie chciał utrzymać generała w dobrym zdrowiu, dopóki nie wyeliminuje wszystkich... Ten ktoś mógłby nawet przyprowadzić specjalistę z zewnątrz... przyjmując, że naprawdę ma się czym martwić.

- Czy ktoś ma dodatkowy klucz lub wytrych do mojego pokoju?

I tu go miałem.

- Dellwood. A co?

- Ktoś włamał się i wszedł do środka w czasie pomiędzy moim wyjściem na kolację i powrotem.

- Ale po co...?

- Hej, to drobiazg, w porównaniu z pytaniem, po co ktoś chciałby zabić generała. Jeśli ktoś taki istnieje, moja obecność mogła go co nieco zdenerwować. Co robiliście wszyscy po odejściu od stołu? - Postanowiłem zagrać w logiczną zgadywanę. Wyeliminuję mnie i kucharkę, ponieważ ja tego nie zrobiłem, a ona była ze mną. Dellwood także odpada, ponieważ ma swój klucz. Peters już wie o mnie wszystko. Wyeliminować wszystkich tych, którzy byli z nimi przez cały czas...

- Dellwood poszedł przygotować generała do kolacji. Przypuszczam, że Jennifer była z nim. Zazwyczaj tak się dzieje. Pozostaje do chwili, gdy kucharka przynosi posiłek i pomaga mu jeść, jeśli sam nie ma sił. Ja byłem w swoim pokoju, spisywałem tę listę z moich notatek.

- Mhm - odparłem, pogrążony w zadumie. - Mam z tym pewien problem, sierżancie. I po to tu jestem. Muszę zadać kilka pytań, znaleźć luźne wątki, które mógłbym wykorzystać. Dość trudno to robić, jeśli nie ma się dobrego powodu. Kucharka już mi powiedziała, że jestem zbyt ciekawski

- Też tak myślę. Miałem nadzieję, ale nie wierzyłem, że ci się uda, nie zdradzając się, kim jesteś.

- Ile osób wie o brakujących drobiazgach? A z drugiej strony: ilu wie, że ktoś próbuje zabić generała? Dlaczego nie powiedzieć prawdy? Powiedz, że stary wynajął mnie, żeby się dowiedział, kto kradnie. Może nawet uznają to za zabawne, jeśli wierzą, że sobie wszystko wyobraził? A niedoszły morderca odetchnie. Inni mogą się otworzyć, jeśli ich przekonam, że ktoś naprawdę tutaj kradnie. Mam rację?

- Chyba tak. - Wcale mu się to nie podobało.

- Wymyśl, jak to podać ludziom. Tak, żeby wszyscy wiedzieli, ale żeby wyglądało na to, że ja nie wiem, że oni wiedzą. Może puścić coś na temat nowej fantazji generała?

- W porządku. Coś jeszcze?

- Nie. Idę spać. Jutro muszę wcześniej wstać i jechać do miasta, żeby napuścić kogoś na ślad skradzionych rzeczy.

- Czy to aluzja?

Dobrze, że zrozumiał.

- Nie miałem nic takiego na myśli. Ale chyba tak.

- No to do zobaczenia rano - powiedział i wyszedł. Zamknąłem za nim drzwi, wróciłem do biurka. Wydawało mi się, że mam przed sobą aż trzy układanki: kto okrada generała, kto próbuje go zabić i kto eliminuje jego spadkobierców. Rozsądnie było przypuszczać, że każda z tych spraw - jeśli istniały naprawdę - odbywa się niezależnie od pozostałych. Kradzieże były pestką w porównaniu z morderstwem, ale zabicie generała nie przyda się komuś, kto pragnie powiększyć swoją schedę.

Mam po same uszy do czynienia z bandą łotrów.

Od razu padłem jak kłoda. Wątpię, czy Peters mi uwierzył, ponieważ zna mój rozkład dnia. Ale potrzebowałem snu i miałem parę spraw do załatwienia z samego rana.

Garret 04 Stare cynowe smutki

IX

W

domu z reguły mam kontrolę nad swoim zegarem wewnętrznym. Idę spać, kiedy chcę, wstaję, kiedy chcę, plus minus dziesięć minut. Nie zapomniałem mojego zegara. Obudziłem się dokładnie o czasie.

I natychmiast uświadomiłem sobie czyjaś obecność. Jeszcze nie otwarłem oczu, nie wiem, jak to się stało. Jakiś dźwięk, tak cichy, że moja świadomość go nie zarejestrowała. Jakiś delikatny zapach. Może po prostu szósty zmysł. W każdym razie wiedziałem, że ktoś tu jest.

Leżałem na lewym boku, twarzą do ściany przeciwległej do drzwi, z głową tak zagrzebaną w poduchach, że nie mogłem się szybko ruszać, nawet gdyby mnie podpalali. Spróbowałem pod-stępu, udając, że powoli przewracam się na drugi bok.

Ale nikogo nie zmyliłem. Ujrzałem jedynie ostatnie mgnienie wysuwającej się z sypialni blondynki.

- Hej! Zaczekaj! Chcę z tobą porozmawiać!

Zwiała.

Wygramoliłem się z łóżka, zaplątałem w koce, upadłem na pysk, wygłosiłem barwną wiązanekę. Cały Garrett. Prawdziwy gimnastyk. Rusza się jak kot. Kiedy dotarłem do salonu, już jej nie było, ani nawet śladu, że tam kiedykolwiek weszła. Drzwi były zamknięte na klucz.

Zapaliłem kilka lamp i przyjrzałem się salonowi. Nie słyszałem, żeby ktoś zamykał drzwi. Nie słyszałem chrobotu klucza w zamku. I to mi się bardzo nie podobało.

Ten cholerny stary dom mógł być wyposażony w tajne przejścia, a może nawet sekretne lochy pod piwnicą i kości zakopane pod sztucznymi fundamentami.

Ależ się tu ubawię, już to czuję. Oj, tak, oj, tak. Do pełni szczęścia i prawdziwego wrażenia wakacji brakowało mi tylko jakiegoś ducha i kilku potworów. Podeszedłem do okna. Niebo było czyste. Wąziutki skrawek księżycy cierpliwie wędrował na zachód.

- No, ruszaj się. Wcale się nie starasz. Potrzebuję trochę błyskawic i deszczu. Albo chociaż trochę mgły na trzęsawisku i jakiegoś wycia po nocy.

I z powrotem, na spacer wokół pokoju. Nie znalazłem żadnych tajnych przejść.

Zajmę się tym później, kiedy będzie czas na pomiary ścian i tym podobne bzdury. Teraz muszę ruszać na łowy, dopóki przynajmniej część mieszkańców tego domu jeszcze nie czuwa.

Wytaszczyłem z szafy mojego żelaznego kolesia i wniósłem do sypialni. Odkręciłem go od podstawki, dzięki której mógł stać, i położyłem do łóżka. Lepsze to niż poduszki, żeby udawać, że ktoś jest w domu. Kiedy naciągnąłem mu kołdrę na hełm, wyglądał znakomicie.

— Odpoczywaj w spokoju, kolego.

Nie podobał mi się obrót, jaki przybrały sprawy. Ktoś tu może nie być zbyt przyjazny. Zabrałem moją ulubioną łamigłówkę: dębową wykałaczkę z funtem ołowiu po roboczej stronie, po czym wysunąłem się na korytarz. Byłem sam. Paliła się tylko jedna lampa. Pewnie Dellwood przyszedł tu zdmuchnąć resztę, żeby zaoszczędzić nafty. Poza kucharką był tu chyba jedynym gościem, którego widziałem przy pracy.

Muszę się dowiedzieć, co kto tu robi. Powinienem był zapytać Petersa, skoro już go miałem pod

ręką.

Skierowałem się ku wschodniemu krańcowi korytarza, gdzie małe okienko wychodziło na podwórze. Nic, tylko ciemność i gwiazdy. Wilkołaki i wampiry miały wolne. Wycofałem się do pierwszych drzwi po lewej.

Wydawało się, że jestem jedynym mieszkańcem na tym piętrze i w tym skrzydle, dlatego nawet nie próbowałem być cicho. Włamałem się i wmaszerowałem do środka z lampą w jednej ręce, a pałą w drugiej. Mogłem się nie fatygować. Pokój był magazynem pajęczyn. Nikogo nie był tu od co najmniej dziesięciu lat.

Pobieżnie obejrzałem pomieszczenie i przeszedłem do drugiego pokoju po przeciwległej stronie korytarza. Ta sama historia.

Wszystkie apartamenty na tym piętrze były takie same, z wyjątkiem ostatniego, który wykazywał ślady niedawnych odwiedzin. W pokoju tym zauważyłem na kominku kręgi, na których było mniej kurzu. Jak gdyby ktoś coś stamtąd zabrał. Świeczniki, albo inne bibeloty. Próbowałem coś wywnioskować z kształtu śladów, jakie pozostawił gość. Zawsze można mieć nadzieję, że zobacysz coś niezwykłego, na przykład ślad wielkości bochna chleba lub tylko dwa palce, jeśli był na bosaka. Tym razem nic nie znalazłem. Intruz szurał nogami, prawdopodobnie bezwiednie. Nie była to jedna z tych rzeczy, o których pamięta przeciętny złodziej.

Przeszukiwanie potrwało dłużej, niż myślałem. Postanowiłem zrobić szybki obchód, a szczegółowe badanie zostawić sobie na później. Przynajmniej będę wiedział, gdzie jestem.

Ponad moim piętrem było jeszcze półpiętro, na które można było się dostać zamkniętymi schodami. Wszedłem tam. Piętro okazało się jednym wielkim i ciemnym pomieszczeniem nad, głównym holem. Oczywiście całe było załadowane rupieciami, w większości równie zakurzonymi, jak w pokojach na dole. Od szczytu schodów do klatki wiodącej na czwarte piętro w zachodnim skrzydle prowadziła wyczyszczona ścieżka. Skrót.

Kolejną alternatywą było zejście na drugie piętro i dotarcie do wąskiego balkonu nad tylnym wyjściem. Umieszczono go tak, by ktoś, kto na nim stoi, mógł przemawiać do tłumów.

Mogłem też przejść w dół do zachodniego skrzydła, zawrócić na parter i zacząć od dołu.

Zachodnie skrzydło było zamieszkane. Nie wchodziłem do pokoi. Może jutro wieczorem. Może kiedy będę w mieście, poproszę ślusarza, żeby na podstawie mojego klucza sporządził mi wytrych do tego typu zamka.

Korytarz na czwartym piętrze i spacer po balkonie. Nic. To samo na trzecim piętrze z balkonem. Rozkład był trochę inny niż w moim skrzydle. Korytarze nieco krótsze, kończyły się drzwiami do apartamentów właścicieli posiadłości. Przez dwoje drzwi na trzecim piętrze przesączało się światło. Albo ktoś lubił siedzieć do późna, albo bał się ciemności. Na drugim piętrze było tylko pięć dużych apartamentów, prawdopodobnie dla ważnych gości, jakichś hrabiów czy książąt, wojennych lordów i strażników burz, oraz wszystkich innych, których wysoki rangą dostojnik mógł gościć. ;

Parter obejmował pokoje przeznaczone do zupełnie innych celów. Zachodnie skrzydło, w zamierzonych czasach, musiało służyć prowadzeniu interesów posiadłości przez jej właścicieli. Drzwi do wielu pokoi były po prostu otwarte. Zaprosiłem się z wizyta, ale nic nie znalazłem.

Z zachodniego skrzydła przeszedłem do wschodniego, gdzie wiedziałem, że znajdę kuchnię, spiżarnię, jadalnię i nie wiadomo co jeszcze. Byłem już w większości tych pomieszczeń, ale nie miałem szansy powęszyć. Mijając dzielnego rycerza, który uparcie nadziewał na włócznie smoka, odniosłem dziwne wrażenie. Obejrzałem się, ale nie i zobaczyłem nikogo. Moja jasnowłosa adoratorka? Zacząłem przypuszczać, że jest duchem.

Nie dosłownie. Dom był straszny nawet w południe. Jakby wypadł z historii o duchach, ale nie

uznałem za stosowne wierzyć, że jest nawiedzony. Świat pełen jest rzeczy dziwnych, magicznych, nadnaturalnych, ale nie przypuszczałem, żebym potrzebował aż duchów do wyjaśnienia tego, co się tu dzieje. Wszystkie mroczne plany, jakie uruchomiono, zostały wymyślone przez żywe istoty, źródło wszelkiego zła.

Dokładniejsze przyjrzenie się jadalni ujawniło, że jest duża, tak jak się domyślałem, i że jej dekoracje pasują do reszty domu. Ciekawe, w ilu bitwach walczyli Stantnorowie.

Pomieszczenie było bardzo wysokie, co sugerowało, że część drugiego piętra nie istnieje. Rzeczywiście. Sprawdziłem, kiedy zwiedzałem spiżarnię.

Drzwi wychodziły na klatkę schodową. Jedne schody wiodły w górę, drugie w dół. Było ciemno jak w sercu wampira. Ruszyłem w górę. Prowadziły do ciągu magazynów, gdzie zgromadzono różne przedmioty potrzebne do prowadzenia domu. Niektóre wyglądały tak, jakby złożono je tutaj na początku stulecia. Jakiś martwy już Stantnor zaoszczędził, kupując je hurtem.

Nikt w tych pomieszczeniach nie zamiatał, ani nie ścierał kurzu, ale ogólnie panował porządek. Zamieszkiwały tu ćmy, które uznały moją lampę za nieodpartą pokusę.

Po co tyle miejsca na magazyny?

Dotarłem do stosu czterocalowych, dębowych belek, obitych żelazem, a każda była opatrzona numerem zapisanym kredą na czarnym żelazie. Pochyliłem się z zaciekawieniem.

Były to okiennice, używane, kiedy zamek był oblężony. Pewnie miały tyle lat co i sam dom. Ciekawe, czy je kiedykolwiek wykorzystano? Na pewno nie przez ostatni wiek, tego byłem pewien.

W południowo-wschodnim narożniku znalazłem zbrojownię. Była zamknięta na zasuwę, ale nie na klucz. Zgromadzonej w niej broni i zbroi starczyłoby dla całej kompanii... jakby nie było ich już dość w całym domu. Wszystko, co stalowe, zostało pokryte oliwą, wszystko, co drewniane, nasączono parafiną. Ciekawe, jaki był klimat w czasach, kiedy budowano ten dom. Podejrzewam, że raczej burzliwy.

Za dużo czasu zmarudziłem. Kiedy schodziłem, było już za późno — kucharka krzątała się po kuchni, łomocząc naczyniami. Umknąłem, zanim się o mnie potknęła.

Na czwartym piętrze pochwyciłem w mroku korytarza błysk białej sukienki. Moja piękna tajemnicza dama. Posłałem jej całuska.

Garret 04 Stare cynowe smutki

X

M

iałem kolejnego gościa. Ten zwiął w wielkim pośpiechu. Zostawił klucz w zamku i szeroko otwarte drzwi. Kiedy wszedłem do sypialni, zrozumiałem dlaczego.

Mój gość zamordował zbroję. Wszedł, zamachnął się antycznym toporem bojowym i dołożył biedakowi. Topór zresztą wciąż tam jeszcze był.

Roześmiałem się. Idę o zakład, że narobił w majtki ze strachu, przekonany, że wdepnął w pułapkę.

Szybko otrzeźwiałem. To już drugi raz. Następnym mogą się nieco bardziej przyłożyć. Za bardzo się narażałem i pomyślałem, że muszę z tym coś zrobić: I to jak najszybciej.

Zamknąłem drzwi, schowałem klucz - był inny niż mój, więc być może to wytrych. Wyciągnąłem stalowego faceta z łóżka i uwolniłem go od topora.

- Przykro mi, stary. Ale zemścimy się.

Wykorzystałem topór do skonstruowania prostej pułapki. Każdy, kto wejdzie do sypialni, spotka się z niezbyt miłym przyjęciem.

A potem zdrzemnąłem się godzinkę.

Wstałem wcześniej i byłem pierwszy na śniadaniu. Kucharka miała po uszy roboty z przygotowaniem talerzy.

- Może pomóc?

- Jakby was było z dziesięciu, to tak. Nie wiem, co kombinujesz, chłopcze, że tak się koło mnie kręcisz, ale bądź pewien, że i o wykorzystam. Rusz się i zobacz, jak tam bułeczki w piecu.

Spojrzałem.

- Jeszcze minutę.

- Co ty wiesz na temat pieczenia?

Wyjaśniłem, jak się mają sprawy u mnie w domu, gdzie burczeniem i gotowaniem zajmuje się stary Dean. To dobry kucharz. Nauczył mnie. Jeśli trzeba, potrafię przygotować przyzwoite danie. Na przykład wtedy, kiedy daję mu wolne, bo potrzebuję wolnej chaty.

- Nie wiem, czy łzesz, czy nie. Pewnie tak. Nigdy nie widziałam chłopca, co by umiał gotować.

Nie powiedziałem jej, że według Deana mężczyźni są jedyni mi dobrymi kucharzami.

- Powinienem was poznać ze sobą i patrzeć, jak lecą iskry.

- Uhu. Koniec. Wyciągnij bułeczki i daj tu ten garnek z masłem. Zajrzałem do masła.

- Świeże?

- Snake właśnie je przytargał.

- Będzie jadł z nami? Zaśmiała się.

- Nie Snake. On nie chce mieć z nikim nic do czynienia. Złapał trochę żarcia i się wyniósł.

Niezbyt towarzyski, ten cały Snake.

- Co z nim jest?

- W głowie mu się pomieszało w Kantardzie. Był tam przez dwadzieścia lat, wyszedł bez jednej rany. Cieleśnej. - Potrząsnęła głową i zajęła się układaniem na półmisku stery kiełbasek i plastrów bekonu. - Szkoda. Znałam go, kiedy był szczeniakiem. Śliczny dzieciak był z niego. Za delikatny, za

wrażliwy na Marinę. Ale uważał, że musi spróbować. No i ma za swoje, staruch z pomieszaniem rozumem. Kiedyś malował ładne obrazki, jako chłopak. Mógł być wielkim malarzem. Miał magiczne oko. Widział człowieka głęboko, od środka, i rysował to, co zobaczył. Każdy dureń może namalować rzecz z wierzchu, tak jak inni chcą ją widzieć. Tylko geniusz widzi prawdę. A ten chłopak widział. No, co się gapisz? Masz zamiar tak kłapać paszczą do lanczu? Czy chcesz jeść?

Przygotowałem sobie talerz, nic nie mówiąc, ponieważ nie mogłem się wciąć nawet jednym słowem. A ona ciągnęła:

- Powiedziałaś wtedy generałowi, a właśnie ruszał na wojnę, że to cholerna szkoda tak marnować chłopaka. I przypomniałam mu to jeszcze raz po powrocie. A generał powiedział do mnie: „Miałaś rację, kucharko. To był grzech przeciw ludzkości, brać go ze sobą”. Ale pewnie nawet gdyby chciał, toby chłopaka nie zatrzymał. Był uparty jak sto osłów i ubzdurał sobie, że jego obowiązkiem jest wyruszyć ze swoim panem na wojnę.

Zanim skończyła mówić, w kuchni zapanował ruch. Były dwie nowe twarze, pewnie Tyler i Wayne. Wyglądali, jakby nie zmrużyli oka. Cały tłum pozabierał talerze do jadalni.

- To Tyler i Wayne? - zapytałem.

- Skąd wiesz?

- Szczęśliwy traf. Czy jeszcze kogoś nie znam?

- A kogóż by jeszcze?

- Nie wiem, wczoraj powiedziałaś mi, że jest tu osiemnaścioro ludzi. Widziałem dziesięcioro, plus ten nieśmiały Snake i blondynka, którą chyba widzę tylko ja. Wychodzi mniej niż osiemnaście.

- Nie ma osiemnastu.

- Powiedziałaś: osiemnaście.

— Chłopcze, mam czterysta lat. Jak się nie skupię, to nie wiem, gdzie jestem. Gotuję, nakrywam do stołu, zmywam, i nie zwracam na nic uwagi. I tak leci. Nic nie widzę, nic nie mówię. Ostatnim razem, jak patrzyłam, było osiemnaście razem ze mną. Pewnie to było dawno. Cholera. Może dlatego zostaje tyle resztek. Za dużo gotuję.

- Nie zauważyłem, żeby przy stole było za dużo nakryć. Urwała.

- Wiesz co, racja. Pewnie jakaś część mnie się pilnuje.

- Długo jesteś ze Stantnorami?

- Przyjechałam tu z mamusią kiedy byłam całkiem malutka. Dawno temu, kiedy ludzie jeszcze mieli imperatorów. Zanim się tu sprowadzili i zbudowali pierwszy dom. Ten ma może z dwieście lat. Ładny był nowy, co prawda, to prawda.

- Musiałaś widzieć wiele ciekawych rzeczy w tamtych czasach.

- A widziałam - zgodziła się. - Podawałam każdemu królowi, każdemu strażnikowi burzy i ognistemu lordowi. I wszystko tu, w tej jadalni. - Ruszyła w tamtą stronę, i to położyło kres naszej rozmowie.

Wsadziłem głowę do jadalni. Nikt nie okazał szczególnego rozczarowania. Nikt też nie rzucił mi się na powitanie. Co za ponura trzódka.

Spędzili ze sobą prawie całe życie. Można by pomyśleć, że mają o czym rozmawiać, a tu nic. Chyba, że powiedzieli już sobie wszystko, co mieli do powiedzenia. Niektórzy ludzie robią na mnie takie wrażenie, nawet kiedy jeszcze nie zamieniłem z nimi ani słowa.

Tyler i Wayne byli uszyci z tej samej materii zawodowego Marine. Jeśli nawet ludzie różnią się między sobą fizycznie, w służbie nabierają pewnych identycznych cech. Tyler był chudy, o wąskiej twarzy, twardych, brązowych oczach i włosach przyprószonych siwizną. Rzadką, cętkowaną bródkę przyciął na centymetr od skóry. Wayne był mojego wzrostu i tuszy, może jakieś dziewięć kilo cięższy,

ale nie gruby. Wyglądał, jakby w chwilach dobrego humoru mógł zonglować krowami. Był o piętnaście centymetrów wyższy od Tylera, jasnowłosy, oczy lodowato niebieskie, a i tak wyczuwało się, że w gruncie rzeczy są do siebie podobni. Można było nawet dopatrzeć się podobieństwa z Chainem, który poszedł na stronę.

W towarzystwie ludzi takich jak oni spędziłem całe pięć lat życia. Każdy z nich byłby zdolny do morderstwa, gdyby mu to przyszło do głowy. Życie ludzkie nie było dla nich niczym szczególnym. Widzieli już zbyt wiele śmierci.

I tu się pojawiła zagadka.

Marines to prości ludzie. Jeśli któryś chciałby zabić generała, to pewnie by to zrobił. O ile nie miał jakiegoś szczególnego powodu, żeby przedłużyć konanie.

Jak na przykład dochrapanie się udziału w majątku starego?

Nie było sensu zastanawiać się nad tym. Nie można przyspieszać pewnych spraw. Muszą rozwinąć się same.

Pomogłem kucharce posprzątać, a potem włożyłem podróżne buty.

Garret 04 Stare cynowe smutki

XI

N

ie byłem u Morleya od kilku miesięcy. Nie, nie posprzeczaaliśmy się ani nic takiego. Po prostu nie miałem ani potrzeby, ani ochoty i przeżuwać bydlęcego zarcia, które wychodzi z jego kuchni. Dotarłem tam około dziewiątej. O tej porze ma już zamknięte. Pracuje od jedenastej do szóstej rano, karmiąc wtedy wszelkie stworzenia, jakie istnieją i są dość zboczone, żeby usiłować wyżyć na warzywkach.

Różnych to spotyka. Jadają u niego moi najlepsi kumple. Sam też tam czasem bywam. Bez entuzjazmu.

No. Dziewiąta. Knajpa była zamknięta, więc poszedłem na tyły i zastukałem tajnym szyfrem, to znaczy waliłem w drzwi i wrzeszczałem tak długo, aż wylazł goryl Morleya. Klin, uzbrojony w cztery stopy ołowianej rurki, który zaproponował, że przemieści mi łepetynę w okolice jelita grubego.

- To interes, Klin.

- Nigdy bym nie pomyślał, że aż tak cię wzięło na gulasz fasolowy. Nigdy tu nie przychodzisz, jeśli czegoś nie potrzebujesz.

- Płacę za to, co dostaję.

Prychnął. Nie uważał za sprawiedliwe tego, że wykorzystuję Morleya tylko dlatego, że i on mnie wykorzystał, nawiasem mówiąc, ryzykując moją własną głowę i do tego bez mojej zgody, aby zapłacić swoje karciane długi.

- Płacę gotówką, Klin. A on nie musi nawet dźwigać tyłka. Potrzebuje tylko kogoś, kto by za niego pochodził.

To go nie pocieszyło, bo sam należał do chłopaków odwalających chodzenie za Morleya, ale drzwi też nie zatrzasnął.

- Właz. - Wpuścił mnie i zasunął zasuwę. Poszliśmy przez kuchnię, gdzie kucharze zarzynali kapustę i brokuły, zaparkował przy barze i nalał mi soku jabłkowego.

- Czekaj - rzucił i poszedł na górę.

Sala była pusta i smętna, panowała w niej niemal bolesna cisza. I właśnie tak powinno tu być, a nie przelewające się tłumy co wieczór.

Morley Dotes jest łowcą głów, łamaczem nóg i zabójcą. Większość chłopców, którzy z nim pracują, chętnie pomaga. Morley jest mrocznym symbiontem, żywiącym się na mrocznym podbrzuszu społeczeństwa. I w tym, co robi, jest najlepszy. No, może z wyjątkiem kilku koleśi od Choda Contague'a.

W dodatku Morley jest tym wszystkim, czego nie lubię. To facet, którego chciałbym zlikwidować, gdybym miał zamiar przez chwilę udawać pozytywnego bohatera. Ale go lubię.

Czasem nic się na to nie poradzi.

Klin zszedł na dół, kręcąc głową.

- Co się dzieje? - zapytałem.

- On trochę przesadza z tym zdrowym trybem życia - odparł.

- Mnie to mówisz? - Jest jak nowo narodzony i próbuje zbawiać wszystkich naokoło - jedyny w

świecie morderca-wegetarianin. Próbuje ocalić świat od zguby czerwonego mięsa, zanim poderżnie mu gardło. Nie wiem. Może i nie ma w tym sprzeczności, ale według mnie jest. - Co znowu na tapecie?

- Dawno cię nie było, nie?

- Ostatnio przysięgał, że rzuca hazard i próbował wytrzymać. Chciał rzucić kobiety, ale mu się nie udało.

- Już o tym zapomniał. To mu trzeba przyznać. Teraz wcześniej się kładzie, wcześniej wstaje. Już wstał. Teraz. Wstał, ubrał się, zjadł śniadanie i odbębnia poranną gimnastykę. Rok temu nie wyciągnąłbyś go z łóżka o tej porze.

Wyciągnąłbyś, wyciągnął, gdyby forsa była właściwa.

- Nie ma końca cudom, nie?

- Powiedział, że masz wejść. Chcesz jeszcze?

- Czemu nie? Soki owocowe to tu jedyna rzecz, jaką mogę przełknąć.

Puścił oko. Nie należał do nawróceńców Morleya. Dolał mi soku, a ja zabrałem szklankę na górę, do biura, stanowiącego wysunięty przyczółek jego prywatnej kwatery. Jestem prawdo-podobnie jego najbliższym przyjacielem, ale nigdy nie udało mi się dotrzeć za biuro. Mam za krótkie włosy i nie lubię się malować.

Dotes właśnie robił przysiady: równo i starannie, jak maszyna. Brzuch mnie rozboleł od samego patrzenia.

- Jesteś w niezłej kondycji, jak na swój wiek - powiedziałem. Morley jest półkrwi czarnym elfem, a elfy żyją długo.

- Widzę, że znowu pracujesz - zauważył, nie przerywając swojego w górę, w dół. Tak jakby go to nic nie kosztowało.

Poprzysiągłem sobie, że też zacznę ćwiczyć. W moim wieku, jeśli się to zaniedba, trudno będzie nadrobić tyły.

- Dlaczego tak sądzisz...?

- Nie przychodzisz tu nigdy, jeśli czegoś nie potrzebujesz.

- Nieprawda. Ciągle przychodziłem tu z Mayą. - To było jeszcze zanim każde z nas poszło swoją drogą.

- Straciłeś klejnot, Garrett. - Położył się i zaczął robić pompki. Jego czarnoelficka połowa krwi nie krzyczy wielkim głosem.

Wygląda jak niski, smukły, ciemnowłosy człowiek w dobrej kondycji fizycznej. Szybko się rusza. Jest w nim coś niebezpiecznego, ale nie groźnego. Może dlatego kobiety tak go lubią i nie potrafią mu się oprzeć.

- Może. Trochę mi jej brak, czasami. Dobra była dziewczucha. - I ładna. A ty co, chodzisz z Tinnie?

Moja przyjaciółka, Tinnie Tatę, profesjonalnie wściekły rudzielec. Nasz związek jest raczej nieprzewidywalny.

- Widuję się z nią. Jeśli akurat nie uzna, że należy mnie ukarać i nie pozwolić się widywać.

- Jeśli w ogóle zrobiłeś w życiu coś mądrego, odkąd cię znam, to tylko to, że nie powiedziałeś jej o Mayi.

Dokończył szybką pięćdziesiątkę, skoczył na nogi. Nawet się nie spocił. Miałem ochotę skopać mu zadek.

- Słyszałeś o generale Stantnorze?

- Byłem komendancie Marines?

- Tymże.

- Co z nim?

- Facet, który dla niego pracuje, mój dawny sierżant kompanii, powołał się na stary dług i poprosił, żebym coś dla niego zrobił.

- Czy ty nigdy nie pracujesz dla samej przyjemności pracy? Nie znam drugiego takiego jak ty.

- Wiem. Jestem jak pies. Nigdy nie zobaczysz, żeby pies coś zrobił, jeśli nie jest głodny. A jeśli nie jestem głodny, to po co pracować?

- No i co z tym generałem? Nawet, jeśli nie jestem głodny, też pracuję. A tu mam co robić, naprawdę.

- Stary próbuje umrzeć. Mój sierżant myśli, że ktoś go chce zabić. Powoli, tak żeby to wyglądało na wyniszczającą chorobę.

-A jest tak?

- Nie wiem. Robi to już od dłuższego czasu. Wiesz, jak można załatwić coś takiego?

- Jakiego jest koloru?

- Koloru?

- No a jak? Istnieją trucizny, których można używać powoli, nawarstwiając efekt. Zdradza je tylko kolor.

- Jest bladożółtawy. Włosy mu wypadają pękami. A skóra wygląda jak przezroczysta.

- Nie niebieska, ani szara? - Morley zmarszczył brwi.

- Żółta, jak blada szkocka. Pokręcił głową.

- Na tej podstawie nic nie umiem powiedzieć.

- Jeszcze ma ataki.

- Szalu?

- Nie, jak łomotanie serca, albo coś w tym rodzaju.

- Nie brzmi znajomo. Może gdybym go zobaczył...

- Też bym chciał. Nie wiem, czy mi się to uda załatwić. Wszyscy tam mają paranoję na punkcie obcych. - Pokrótce opisałem mu graczy.

- Wygląda na dom wariatów.

- Może być. Wszyscy, oprócz Jennifer i kucharki, spędzili w Marines po trzydzieści lat, głównie w Kantardzie.

Wyszczrzył zęby.

- Ja tego nie powiem.

- To i lepiej dla ciebie. Wszyscy sprawiamy, że świat jest bardziej świętym miejscem, kiedy opieramy się naszym małym pokusom. I jeszcze jedno. Stary myśli, że wynajął mnie po to, abym dowiedział się, kto mu wykrada srebro i stare trofea wojenne. - Wyjąłem listę. Morley zaczął czytać.

- Zapłacę za fatygę, jeśli ktoś pochodzi po rynku i sprawdzi, czy coś z tego nie wyjdzie zwykłymi kanałami.

- Saucerhead potrzebuje pracy.

Saucerhead Tharpe to swego rodzaju kumpel po fachu, coś pomiędzy Morleyem a mną. Ma więcej skrupułów od Dotesa i więcej ambicji ode mnie, ale jest wielki jak dom i wygląda na półgłówka. Ludzie nie biorą go poważnie. Nigdy nie dostaje przyzwoitej roboty.

- W porządku. Zapłacę normalną stawkę i premię, jeśli dostarczy rysopis złodzieja.

- Z pustym żołądkiem?

Pojałem aluzję i dałem mu zaliczkę.

- Dziękuję ci w imieniu swoim i Saucerheada. Wiem, że oddajesz przysługę staremu kumpłowi, ale to wydaje się całkiem spokojna robota. Zwłaszcza jeśli stary naprawdę po prostu umiera.

- Nie, coś się tam dzieje, ktoś próbował mnie załatwić - opowiedziałem mu ze szczegółami.

Zaśmiał się.

- Chciałbym zobaczyć minę tego gościa, kiedy zamachnął się toporem, a ty zadzwęczałeś mu jak dzwon. Wciąż masz szczęście, chłopie.

- Może i tak.

- Ale co oni od ciebie chcą?

- Nie wiem. Forsy? Ten aspekt czyni sprawę ogromnie interesującą. Stary wart jest ponad pięć milionów. Jego syn nie żyje. Żona umarła dwadzieścia lat temu. Córka Jennifer dziedziczy połowę, a druga połowa idzie do podziału pomiędzy jego zbirów Marines. Trzy lata temu było siedemnastu kandydatów do spadku. Od tamtej pory dwóch zmarło śmiercią na pozór naturalną, jednego stratował wściekły byk, a czworo zniknęło.

Podstawowe działania matematyczne dowodzą, że to prawie podwaja dolę na łeb.

Morley usiadł za biurkiem, położył na nim stopy i zaczął czyścić białe jak perły zęby piętnastocentymetrową stalową wykałaczką. Nie przerywałem mu zadumy.

- Garrett, widzę tu niezły potencjał do paskudnych zagrań.

- Biorąc pod uwagę słabość ludzkiej natury...

- Nikt nie zrzeka się dobrowolnie takiej forsy. Ani ty, ani ja, ani żaden święty. Więc może faktycznie masz tu coś interesującego.

- Może. Sprawa wygląda tak, że nie widzę żadnego sposobu, by powiązać to wszystko w jedną całość. Jeśli dowiem się, kto kradnie, co nie ma sensu, biorąc pod uwagę wypłatę schedy, to pewnie się nie dowiem, kto zabija starego. A to nie ma sensu dla tego, kto próbuje zredukować liczbę spadkobierców. Pewnie chciałby, żeby stary żył jeszcze trochę.

- A co się stanie, jeśli córka wyniesie się na tamten świat przed nim?

- Cholera! - Krytyczny punkt, o którym nie pomyślałem. Jeśli wszystko zgarną chłopcy, będzie miała poważne problemy. -Najdziwniejsze jest to, że wszyscy się zachowują tak, jakby nie wiedzieli, co się dzieje. Wydaje się, że żyją w zgodzie. Nie obserwują się wzajemnie spode łba. To ja tak robiłem i wytrzymałem tylko jedną noc.

- Cudowną cechą twojego gatunku jest to, że widzisz tylko to, co chcesz.

- O czym ty mówisz?

- Może ci chłopcy są starymi kumplami i tylko jeden z nich wie, że podrzynanie gardeł może przynieść wymierne korzyści. Może nikt nikogo nie podejrzewa, ponieważ wiedzą, że ich kolesie nie zrobiliby im tego, nie po tym wszystkim, co razem przeszli.

Może być. Sam ma taki problem. Nie potrafię sobie wyobrazić, że mógłbym się zwrócić przeciwko komuś, z kim tak długo przebywam.

- A wszystko może rzeczywiście być takie, jak mówią. Trzy trupy z łatwych do wyjaśnienia powodów. Czterej, którzy nie wytrzymali tego trybu życia i odeszli, bo forsą nic dla nich nie znaczyła.

- A księżyc może służyć jako przynęta dla myszy.

- Masz paskudny pogląd na życie.

-Potwierdzany codziennie na ulicy. Zeszłej nocy trzydziestosześcioletni chłopak zadźgał swoją mamę i tatę, ponieważ odmówili mu pieniędzy na butelkę wina. To jest prawdziwy świat, Garrett. Jesteśmy najgorszymi z naszych własnych koszmarów. - Zachichotał. - Tym razem masz szczęście. Nie ma tu nic dziwnego. Żadnych wampirów, żadnych wilkołaków, ani czarownic, ani czarowników, ani umarłych bogów, którzy proszą się do świata żywych. Nic z tych rzeczy, o które nieustannie się potykamy.

Prychnąłem cicho. Te rzeczy nie czekają na każdym rogu ulicy, ale stanowią część tego świata. Każdy w końcu się o nie ociera. Nie robią na mnie wrażenia, choć cieszę się, jeśli nie mam z nimi do czynienia.

- Ale może widziałem ducha - odezwałem się.

- Co widziałeś?

- Ducha. Wciąż widzę kobietę, której podobno wcale tam nie ma. Nikt inny jej nie widuje. Albo robią sobie jaja. I to jest całkiem prawdopodobne.

- Albo ty jesteś stuknięty. To przepyszna blondynka, mam rację?

- Blondynka, całkiem niezła.

- Śni ci się z otwartymi oczami. Chyba cię dopadły twoje własne pobożne życzenia.

- Może. Dowiem się, zanim skończę. Chciałem coś jeszcze rzec, ale mi umknęło.

- Pewnie to nic ważnego.

- Pewnie nie. Chyba lepiej będzie, jeśli tam wrócę.

- Weźmiesz trochę sprzętu? Nie lubię myśleć, że siedzisz po uszy w bandzie łotrów, a na obronę masz tylko zęby i paznokcie u nóg.

- Nie, mam przy sobie to i owo.

- Jak zawsze - burknął. - Nie stawaj do nikogo plecami.

- Nie będę.

Kiedy już zamykałem drzwi, rzucił:

- Jaka jest ta córka?

- Koło dwudziestki. Ładna i milcząca. Pewnie do cna zepsuta. Spojrzał na mnie w zadumie, po czym wzruszył ramionami, zerwał się, padł na twarz i zaczął robić pompki. Zamknąłem drzwi. Nie lubię, kiedy człowiek tak się marnuje.

Garret 04 Stare cynowe smutki

XII

R

uszylem na południe w dobrym humorze. Znam mojego Morleya Dotesa. Ciekawość go zeżre. Zrobi o wiele więcej niż to, do czego go wynajęłam. Skontaktuje się z kim trzeba. Jeśli dzieje się coś, co dotyczy Stantnorów, on się tego dowie.

Radość ulotniła się, kiedy przekroczyłam południową bramę.

I wtedy zaczęło siąpić. I wtedy zacząłem kląć swój brak zaufania do koni. Do licha, jeśli nie mogę jechać konno, powinienem wynająć powóz. Mam klienta. Mogę to zaliczyć w poczet wydatków. Wydatki to cudownie elastyczna rzecz. Zwłaszcza jeśli klient sam nie potrafi się znaleźć.

Zanim dotarłem do celu, byłem już solidnie mokry.

Dziwne. Większość domów ma swoje nazwy. Klony. Niesione z wiatrem. Nieraz coś, co nie ma cienia sensu, jak Kamień Brittany. Ale ten prawie pałac mógł być równie dobrze chatą drwala. Dom Stantnora. Starodawna siedziba rodziny i muzeum, jednak to nie wystarczy, żeby ktoś poczuł w nim dom i nadał mu imię.

Wciąż miałem do przejścia jakieś ćwierć mili, gdy przez drzwi frontowe wybiegła Jennifer Stantnor i ruszyła w moją stronę. Nie miała na sobie płaszcza. Peters wybiegł za nią, był coraz bliżej, ale nie zanosilo się na to, że ją dogoni.

Dotarli do mnie w tym samym momencie. Jennifer wyglądała na wściekłą, że Peters znalazł się obok niej. Peters za to wydawał się zrozpaczony. Przybrałem najlepszą z moich zaskoczonych min, co nie było znów takie trudne. Bywam zaskoczony przez większość czasu. Uniosłem brew. To jeden z moich najlepszych trików. Jennifer stała bez słowa i tylko dyszała. Peters, prawie trzy razy starszy, był znacznie mniej zadyszany.

- Był wypadek na polowaniu - oznajmił. Zachowałem kamienną twarz.

- Doprawdy?

- Nie stójmy na deszczu.

Spojrzałem na dziewczynę. Chyba chciała porozmawiać.

- To nie był wypadek - oznajmiła ponuro. Prawdopodobnie nie, jeśli ktoś przy tym zginął. Ale nie powiedziałem tego, tylko sieknąłem cicho.

Peters szedł i nie przestawał mówić:

- Mamy problemy z kłusownikami. W posiadłości są łanie, dość duże stado.

- Wystawiliśmy karmę - wtrąciła Jennifer. - Nie zabijamy wielu...

- Trzy, w zeszłym roku - przerwał jej Peters. - Ci wieśniacy... Zwierzęta to łatwy cel. Nie są tutaj tak płochliwe. W zeszłym miesiącu wtargnęli tu sześć razy. Przynajmniej o tylu wiemy.

- Tato bardziej denerwuje się tym, że się tu kręcą, niż kłusownictwem - uzupełniła Jennifer. - Ma fiola na punkcie granic. Jakby to były stalowe liny.

- Po ostatnim, wypadku - dorzucił Peters, kiedy już wchodziliśmy po schodach - generał zarządził regularne patrole. Chciał, żeby kogoś złapać i przykładowie ukarać. Dziś dyżur mieli Kaid, Hawkes, Tyler i Snake. Hawkes złapał chyba kogoś na gorącym uczynku. Zadał w róg łowiecki.

- Kiedy inni tam dotarli - odezwała się Jennifer — leżał na ziemi, przesyty strzałą. O pięćdziesiąt stóp dalej na drzewie wisiała wypatroszona łania.

- Ciekawe. I smutne. Ale po co mi to mówicie? Wygląda na to, że sami sobie potraficie z tym poradzić.

Jennifer wyglądała na zaskoczoną.

- Może to zabrzmie głupio - odezwał się Peters - ale jesteś tu jedynym zwiadowcą. Sami zawodowi wojskowi i żaden nie potrafi iść po śladzie.

- Och... - No, może. - To było tyle lat temu, a ja wcale nie byłem aż taki dobry. - Przypomniałem sobie parę ostatnich spraw, przy których kręciłem się w kółko jak pies za własnym ogonem.

- Nawet średni będzie i tak lepszy od całej reszty. - Peters spojrzał na Chaina, który szedł w naszą stronę. - Jak tam?

- Chyba się nie wylize. Potrzebuje chirurga.

- Znacnie starego. Żadnych lekarzy w domu.

- Nie możemy go przenieść, nie zabijając go przy tym.

- Wezwijcie lekarza! Ojciec nie musi o niczym wiedzieć! I tak nigdy nie wychodzi z pokoju.

- Dellwood mu powie.

- Ja się zajmę Dellwoodem.

- Idź - polecił Chainowi Peters i Chain posłusznie ruszył tyłek.

- Z tego wynika, że Hawkes jeszcze żyje - stwierdziłem.

- Walczy.

- Mogę z nim porozmawiać?

- Jest nieprzytomny. Kompletnie nieprzytomny. Nie ma wielkich szans na przeżycie, jeśli Chain nie znajdzie w porę rzeźnika.

- Pokażcie, gdzie to się stało, zanim deszcz zmyje wszystkie ślady.

Musiałem jechać konno. Szczęśliwiec. Koń był greczny przez całą drogę, ale wiem, że już się o mnie dowiedział przez pocztę pantoflową, którą mają te potwory. Wyszczrzył zęby, kiedy usłyszał moje nazwisko, i tylko czekał na okazję.

Wycieczka była daleka. Stantnorowie mają obszerne posiadłości. Nie rozmawialiśmy zbyt wiele. Obserwowałem krajobraz, zapamiętując położenie, znaki charakterystyczne. Mogą mi się kiedyś przydać.

Wcześniej rozwinąłem w sobie ten nawyk. Właśnie ta moja pozorna umiejętność odnajdywania się w każdych okolicznościach sprawiła, że gdy Sexton przepadł, wzięli mnie na ochotnika ja-ko zwiadowcę.

- Zdaje się, że Snake wrócił - mruknął Peters, kiedy minęliśmy wznesienie i dotarliśmy na miejsce wypadku.

Pod drzewem, w pobliżu zwisającego ścierwa, zobaczyłem jakiegoś człowieka.

- Sierzancie, nie znam tych ludzi z czasów, kiedy sam byłem w wojsku. Czy którykolwiek z nich znał Sextona?

Spojrzał na mnie dziwnie.

- Nie sędzę.

Zsiadłem, przywiązałem wodze do młodego dębczaka. Mój wierzchowiec przybrał smętną minę.

- A co, myślałeś, że je rzucę i będziesz sobie mógł zwiać, skoro się tylko obejrzę?

- Co? - zapytał Peters.

- Nic, mówię do konia. Rozmawiam z końmi, bo nieraz są mądrzejsze od ludzi.

- Snake, to Mike Sexton. Był moim zwiadowcą na wyspach, Pewnie już słyszałeś, że tu jest.

Snake burknął coś i obejrzał mnie od stóp do głowy. Zrewanżowałem mu się tym samym.

Jeśli Chain był obdartusem, ten poszedł jeszcze o krok dalej. Nie strzygł włosów chyba od

czasów demobilu. Broda przypominała kłęb pakuł. Niezbyt często się mył i zmieniał odzież. Spodnie miał pokryte ciekawymi, wielobarwnymi plamami.

- Słyszałem — mruknął.

- Znalazłeś coś?

Kolejne burknięcie, o negatywnym wyrazie. Spojrzałem na ścierwo. Niewiele tego było

- Jakaś mała, no nie?

- Żrebak - odparł Snake. - Ledwie stracił cętki.

Właśnie. Zardzewiałeś, Garrett. Po co kłusownikowi żrebie?!
Jeśli potrzebował mięsa, a stado nie było płochliwe, na pewno ubiłby większe zwierzę.

Przyjrzałem się uważniej.

Ostatni raz rozbierałem tuszę jakieś dziesięć lat temu, ale to wyglądało na robotę amatora. Tak, jakby działał tu ktoś, kto widział, jak się dzieli mięso, ale sam nigdy tego nie robił.

- Porozmawiajmy o porannym patrolu. Czy jest jakiś plan? Jakiś rozkład, według którego są przypisywani?

- Mamy swoją procedurę, jeśli o to chodzi - odparł Peters. - Wytyczyliśmy trasy tak, żeby czterech ludzi mogli objechać cały teren.

Nie chodziło mi dokładnie o to. Trudno było zadać bardziej precyzyjne pytanie, nie zdradzając się.

- Gdzie stał Hawkes, kiedy dostał?

- Tam, na górze.

Poszedłem za Petersem. Miejsce było doskonale widoczne, gdy się już na nie trafiło. Hawkes miał drgawki. Stracił dość krwi, żeby zleciały się muchy, które były na tyle głupie, by przeoczyć bonanzę na drzewie. Punkt oddalony był od ścierwa o piętnaście metrów. Nawet ślepy by to znalazł.

Natrafiłem na coś, co mogło być poprzednim śladem Hawkesa. Poszedłem za nim, odszukałem miejsce, w którym się zatrzymał.

- Podejrzewam, że tu zatrąbił w róg. Potem poszedł dalej.

- A kłusownik nakarmił go strzałą. Ktoś na pewno.

- Kiedy to się stało?

- Około dziewiątej.

- Mhm. - Żrebak był martwy o wiele dłużej. Zawróciłem w dół. Snake wciąż stał i gapił się na ścierwo.

- Rozglądałeś się trochę? - zapytałem. Odburknął:

- Kto chciałby zrobić coś takiego malutkiemu żrebackowi? Stary kumpel dostał strzałę w pompkę i to go nie obchodzi.

A żrebak tak.

Przyjrzałem się jeszcze raz zwierzęciu. Nie spostrzegłem rany, która spowodowała śmierć.

- Nie.

Snake nie przyda mi się do niczego.

Drzewo, na którym wisiało żrebie, było samotne i oddalone o dziesięć metrów od skraju lasu nad strumieniem. Sam lasek miał najwyżej sto metrów. Zszedłem na dół, krążyłem i zawracałem, żeby znaleźć ślad kłusownika.

Wreszcie go miałem. Ktoś w wielkim pośpiechu przedzierał się na przełaj przez poszycie. Zrozumiałe, jeśli się właśnie nafaszerowało strzałą gościa i spodziewało przybycia jego kumpli.

Peters ruszył za mną.

- Czy jest jakiś harmonogram, według którego wiadomo, kto patroluje jaki teren?

Trudno było powstrzymać go od zastanawiania się, dlaczego i o to pytam. Zmarszczył brwi.

- Nie. Zmieniamy się tak, żeby za każdym razem ktoś inny patrolował dany teren.

A zatem strzelec nie zaczął się na kogoś konkretnego, lecz po prostu na kogoś. O ile strzała faktycznie nie pochodziła z łuku spanikowanego kłusownika, lecz ze sprytnie zastawionej pułapki.

Byłem pewien, że kiedy Hawkes zatrzymał się po raz drugi, zobaczył tego, kto strzelał. Był tak zaskoczony, że stanął jak wryty. Inaczej biegłby dalej.

Ile z tego Peters już odgadł? Nie był przecież głupcem.

- Jakie macie stosunki z sąsiadami?

- Ignorujemy ich, a oni nas. Większość chyba się nas boi.

Też bym się bał, gdybym miał takich sąsiadów. Po pięćdziesięciu metrach ucieczki strzelec jakby się uspokoił. Zawrócił na starą ścieżkę wydeptaną przez zwierzęta. Leżało za dużo liści, żeby ślad był czytelny, ale mogłem się zorientować, w którą stronę pojechał, ponieważ na tej linii były bardziej rozrzucone.

- Macie tu psy? A może wiecie, skąd można je wziąć?

- Żeby go wywęszyć? Nie.

Ścieżka schodziła w dół, do strumienia, rozdzielała się. Jedna odnoga przechodziła przez strumień, druga biegła wzdłuż brzegu, i tę właśnie obrał sobie mój strzelec. Sto czterdzieści metrów dalej ścieżka docierała do szerokiej, płytkiej zatoczki strumienia o piaszczystym dnie. I nie wychodziła na drugim brzegu. Rozejrzałem się.

- Zgubiliśmy go.

- Cholera, przyjrzyj się jeszcze raz.

Przyjrzałem się, pewien, że nie dostrzegł końskich bobków w płytkiej wodzie. Ktokolwiek tu dotarł, odjechał w dół strumienia. Nic trudnego, woda nie była nigdzie głębsza niż na pół metra. Ilu wieśniaków, którzy są zmuszeni kłusować, może pozwolić sobie na konia?

- Przykro mi. Nie ma nic.

- To pójdę poszukać tych cholernych psów. Kiedy wracaliśmy pod górę, spytałem:

- Kto się zajmuje stajniami?

- Głównie Snake, pomagają mu Hawkes i Tyler. Nie mam nic przeciwko Snake'owi. Dobrze opiekuje się zwierzętami. Lubi to. Ale nie wsadzisz go na konia, choćby jego życie miało od tego zależeć.

To miało sens, choć trąciło nieco skrajnością.

Zadawałem pytania, otrzymując dziwne spojrzenia i nie dostając odpowiedzi. Jeśli nie kłamali, a przy tym nie byli wystarczająco szybcy, żaden z patrolujących ludzi nie mógłby położyć Hawkesa. A on nie zrobił sobie tego sam. To znacznie zawężyło grupę podejrzanych, ale nie w wystarczającym stopniu. Chciałem pozbyć się Snake'a i Petersa, żeby sprawdzić, w którym miejscu strzelec opuścił strumień.

- Psiakrew! - wybuchnął nagle Czarny Pietrek. - Chyba mamy rozum w dupie!

-Co?

- A co ja wam powtarzałem za każdym razem, kiedy napadaliśmy na Venagetich na tych przeklętych wyspach? Co wam wbijałem do głupich łbów każdego przeklętego dnia?

Cholera, wpadł na to.

- No. Nie zostawia się śladów w wodzie.

Przed każdym wypadem pamiętaliśmy, by zapewnić sobie drogę ucieczki przez jak największą wodę.

- Ten sukinsyn poszedł w dół strumienia. Dlatego nic nie mogłeś znaleźć.

-No.

- Wracamy.

- Sprawdź to. Nie musisz tracić więcej czasu.

Spojrzał na mnie ponuro, a potem rozejrzał się, szukając wzrokiem Snake'a.

- Co o tym myślisz, Garrett? Widziałem już tę minę. Nie zapomniałem, jakie sztuczki wyczyniałeś.

- Robię, co do mnie należy, i tak, jak potrafię najlepiej. Nic do nikogo nie mam, ale dopóki nie udowodnię czegoś innego, podejrzany jest każdy. Nieważne, jak długo go znam albo co mi się wydaje.

Chyba się zdenerwował.

- Wsadź to sobie. Chciałeś, żebym się dowiedział, kto chce zabić starego, tak czy nie? Który z was by to zrobił? Żaden, co? A jednak ktoś to robi. Dopóki go nie znajdę, będziesz traktowany jak każdy inny. Choćby dlatego, że podobno szukam złodzieja. Kapujesz?

- Chcesz grać w to sam. Jesteś zawodowcem. Przez jakiś czas może tak być. Przez jakiś czas.

- Dobrze. I tak nie masz wyboru. I nie ma się o co wściekać.

I tak się wściekał. Zawsze się wściekają. Wszyscy myślą, że mogą stanowić wyjątek od reguły. Odjechał z ponurą miną. A co mi tam. Ważne, że w ogóle odjechał.

Garret 04 Stare cynowe smutki

XIII

M

ój koń też miał ponurą minę. Odwiązałem go i poprowadziłem wzdłuż skraju lasu, szukając śladów. Jeśli nic nie znajdę, zanim dotrę do granicy posiadłości, zawrócę i sprawdzę po drugiej stronie.

Nasz czarny charakter miał chyba ograniczone zasoby sprytu. Numer, który wywinął, byłby wystarczający w przypadku, gdyby nie było powodów do innych podejrzeń. A były.

Stwierdziłem, że jeździec wyszedł z wody niedaleko, zaledwie poza zasięgiem wzroku od miejsca, gdzie położył Hawkesa. Odstępy pomiędzy śladami kopyt wskazywały, że nigdzie się nie spieszył, skoro już wyszedł poza krawędź lasu. To znaczy, że się nie obawiał kłopotów z wyjaśnieniem swojej obecności.

To sprawiło, że Tyler i Chain znów znaleźli się na liście podejrzanych. Nikt by ich o nic nie pytał, ponieważ są tu domownikami.

Będę musiał przepytać tych, którzy przeżyli, i dowiedzieć się, co kto powiedział przed wyjazdem na patrol. Może się okazać, że trafię na jakąś subtelną wskazówkę.

Kimkolwiek był morderca, nie brakowało mu śmiałości. Objechał wzgórze, które minęliśmy, zastawił pułapkę, a potem spokojnie pojechał do domu. Przynajmniej tak należało przypuszczać. Odjechał, gdy łowcy kłusowników rozpaczali nad Hawkesem. A ja straciłem ślad.

Krążyłem i krążyłem, to w te, to w drugą stronę, i nie mogłem go odnaleźć. Mżawka i zimny wiatr przekonały mnie, że nie należy zbyt mocno angażować się w pracę. Zawróciłem konia.

Maszerowałem właśnie przez muzealny hol z mocnym postanowieniem zmiany ubrania, kiedy nagle znikąd wyskoczyła Jennifer. Wyglądała bardziej kobieco, delikatnie i wdzięcznie niż zazwyczaj. Była przerażona i rozdygotana. Zatrzymałem się, choć nie miałem wielkiej ochoty z nią rozmawiać.

- Sierżant Hawkes umarł - wyrzuciła. - Na moich oczach. Tak się jakoś cały wzdrygnął i wydał taki dziwny dźwięk, i już nie żył.

- Kiedy?

- Kilka minut temu. Szukałam Dellwooda, a trafiłam na ciebie. Ktoś musi mi teraz powiedzieć, co mam robić.

Jeśli potrzebowała wsparcia, to trafiła na niewłaściwego faceta. Nie miałem ochoty nikogo pocieszać. Choćby to była smakowita brunetka, która ma wszystko na swoim miejscu i w takim gatunku, że nawet martwy biskup by zawył. Położyłem się późno, wstałem za wcześnie i teraz to czułem, tak jakbym ważył co najmniej dwadzieścia kilogramów więcej. Co gorsza, przepuściłem lancz.

Stwierdziłem już, że kucharka jest odporna na moje złote usta. Nie miała pojęcia, co się dzieje. Wszystko ją omijało.

- Dellwood będzie najlepszą osobą i on na pewno powie ci, co trzeba robić. O wilku mowa.

Nadchodził szybkim krokiem, pozbawionym zwykłego wyważonego dostojeństwa.

- Panno Jennifer, miała pani pozostać z Hawkesem.

- On już mnie nie potrzebuje.

Oczy Dellwooda zrobiły się wielkie jak spodki.

- Czy... czy on...?

- Tak. Co teraz robimy?

- Dellwood - wtrąciłem - muszę się widzieć z generałem, i to najszybciej, jak będzie mu to odpowiadać. Będę w moim apartamencie.

Miałem ochotę się zdrzemnąć. Podejrzywałem, że czeka mnie kolejna długa noc. Lepiej odpocząć, póki mogę.

Obejrzałem się na Jennifer i Dellwooda. Może byli dobrymi aktorami. Może rzeczywiście byli tak zdenerwowani i przestraszeni. Tak czy owak, trochę przesadzili z tym udawaniem. Chyba chcieli pokazać mi się od jak najlepszej strony.

Nic mnie nie obchodziło, czy będą tańczyć z radości, czy płakać. Jeśli o mnie chodzi, w całej tej aferze jest tylko jeden niewinny facet i nazywa się Garrett

Garret 04 Stare cynowe smutki

XIV

O

budziłem się dopiero na kolację. Nie czułem się ani trochę wypoczęty, bo podłoga w mojej garderobie nie jest aż taka miękka. No, ale jest bezpieczniejsza niż łóżko, czego dowodem były rany na ciele człowieka ze stali.

Postanowiłem, że zainstaluję się w jednym z opuszczonych apartamentów. Jeśli będą chcieli zabić mnie we śnie, muszą sobie mnie poszukać.

Czyżby Hawkes zginął z mojego powodu? Zasnąłem, rozważając taką możliwość. Czy moja obecność popchnęła kogoś do przyspieszenia harmonogramu morderstw? Denerwują mnie takie rzeczy, które pozostają poza moją kontrolą.

Dotarłem do końca korytarza, spojrzałem na centralny hol. Jennifer siedziała przy fontannie, oparta o skrzydło smoka. Chain i Kaid minęli ją bez słowa powitania. Pędzili na kolację.

Wstałem i wtedy spostrzegłem blondynkę na balkonie trzeciego piętra, po drugiej stronie holu. Stała pogrążona w cieniu i spoglądała w dół.

- Kolejną dobrą teorię diabli wzięli - mruknąłem.

Uniosła głowę. Pomachałem jej ręką.

Z korytarza naprzeciwko wyłonił się Czarny Pietrek. Zauważył mój gest, zmarszczył brew, ale odwzajemnił go. Pokazałem palcem w dół. Przechylił się przez poręcz.

Za późno. Dostrzegła mój gest i skryła się w głębszym cieniu.

Zszedłem po schodach. Właśnie zacząłem rozważać, choć na razie na pół serio, możliwość rezydentnego ducha.

Sądziłem, że blondynka to Jennifer w peruce, szybko zmieniająca stroje. Zbudowane były podobnie, twarze też niewiele się od siebie różniły. Moja romantyczna żyłka sprawiała, że blondynka wydawała mi się ładniejsza, ale tylko troszkę. Nigdy nie widziałem ich razem. Żeby zacisnąć węzeł, potrzebowałem jedynie jakiegoś mrocznego motywu u Jennifer.

Nieraz zgaduję dobrze, nieraz nie. Częściej nie zgaduję.

Zanim dotarłem na parter, zdołałem przekonać sam siebie, że powinienem być mądrzejszy. Blondynka rzeczywiście była ładniejsza, a poza tym miała tę eteryczną minkę, którą Jennifer daremnie usiłowała naśladować.

Co nie znaczy, że wiedziałem więcej o Jennifer. Przez cały dzień harowałem i nie udało mi się zbliżyć do nikogo, z wyjątkiem kucharki, a i do niej nie tak blisko, jak bym sobie tego życzył. Była duża szansa na to, że nie uda mi się zbliżyć do nikogo. To nie typ ludzi, którzy na to pozwalają.

Sprawa z każdą minutą stawała się coraz dziwniejsza. Przynajmniej nie była tak gwałtowna jak krwawe wiry, które szarpały inną ostatnio.

Peters spotkał się ze mną u stóp schodów.

- Chciałeś coś?

- Chodzi ci o machanie? Nie, machnąłem do blondynki, która była piętro niżej. Odskoczyła, kiedy wskazałem na nią palcem.

Spojrzał na mnie tak, jakby się zastanawiał, czy nie przyprowadził niewłaściwego człowieka. Pomyślałem, że lepiej zmienić temat.

- Mam jedno pytanie. Całkowicie hipotetyczne. Gdybyś chciał kogoś tutaj zabić i pozbyć się ciała, gdzie w majątku byłoby na to najlepsze miejsce?

Spojrzał na mnie jeszcze dziwniej.

- Garrett... ty się robisz jakiś dziwny. A może zdziwaczałeś od czasu, kiedy opuściłeś Marines?

Po co ci wiedzieć akurat coś takiego?

- Po prostu mi powiedz. Ja tylko zadaje pytania. Nie muszą ci się wydawać sensowne. Do licha, sam czasem nie dopatruję się w nich sensu. Ale to narzędzia, których używam.

- A nie możesz mi podpowiedzieć? Gdybym miał kogoś pochować... - Gdzieś w mózgu zapaliło mu się małe światełko. Pewnie myślał, że zastanawiam się, gdzie ktoś mógł ukryć świecidełka generała. - To zależy od okoliczności. Od tego, ile mam czasu. Jak dokładnie chciałbym odwalić tę robotę. Do licha, gdybym miał czas, zakopałbym ciało na trzy metry w miejscu, gdzie nikomu nie przyszłoby do głowy kopać. A gdybym się bardzo spieszył, pewnie w ogóle bym go tu nie chował, tylko zabrał na bagna, przywiązał mu parę kamieni do szyi i po krzyku.

- Na jakie bagna?

- Obok drogi, po drugiej stronie tego pagórka od frontu. Spójrz przez drzwi, za cmentarzem zobaczysz czubki drzew. To bagno, jakieś sto akrów. Mówili coś o osuszeniu go, głównie z powodu smrodu. Stary Melchior, właściciel ziemi, nawet nie chce o tym słyszeć. Idź, obejrzyj je kiedyś. Powspominasz sobie.

- Chętnie. Chodźmy napełnić brzuchy, zanim kucharka o nas zapomni.

Kiedy weszliśmy, właśnie podawała ostatnią porcję. Spojrzała na mnie tak, jakbym ją zdradził, nie zjawiając się do pomocy. Też mi ludzie. Cokolwiek dla nich zrobisz, spodziewają się, że będziesz to robił zawsze.

Atmosfera niczym się nie różniła od wczorajszej. Żadnych rozmów, poza kilkoma pomrukami na temat dalszych poszukiwań kłusownika i co z nim zrobić, kiedy go wreszcie znajdą. Okoliczności chyba nikomu nie wydawały się podejrzane.

Czy to możliwe? Ktoś ich odławia, a oni nie zdają sobie z tego sprawy?

Może miało to związek z ich pochodzeniem, tymi wszystkimi latami spędzonymi w strefie wojny. Kiedy ruszyliśmy do boju moją kompanią, było nas dwustu. Oficerowie, sierżanci, wszyscy wspólnie przeszkoleni i uformowani na jedno kopyto. W dwa lata później pozostało osiemnaście oryginałów. Chłopcy po prosi u wyginęli. Po jakimś czasie człowiek się przyzwyczaja do myśli, że kiedyś przyjdzie jego kolej. Idziesz dalej i próbujesz utrzymać się przy życiu najdłużej, jak się da. Stajesz się kompletnym fatalistą.

- Kto dziś zajmował się stajniami? - zapytałem. Podnieśli wzrok, jakby dopiero teraz mnie zauważyli.

- Nikt - odparł Peters. - Snake był na patrolu.

Już miał zapytać, po co mi to. Podobnie jak reszta. Ale tylko się na mnie gapili.

Poszukałem wzroku Jennifer. Wyraźnie topniała. Wreszcie uśmiechnęła się blado. Obiecująco.

- Rozmawiałem z generałem — odezwał się Dellwood. - Spotka się z tobą po posiłku.

- Dzięki, wspaniale. Nie wiedziałem, czy będziesz pamiętał.

Wszystkie spojrzenia znów spoczęły na mnie. Chyba byli ciekawi, co ja mam wspólnego z ich starszym. A ja byłem ciekaw, jakie mieli teorie na temat mojej obecności. Prawdopodobnie Peters nie pisał ani słowa.

- Hej, chłopcy! Co robicie, kiedy chcecie się zabawić? - rzuciłem. - Trochę tutaj nudnawo.

Zapomniałem przeschmuglować trochę piwa. Może jutro.

- Nie ma czasu na rozrywki - warknął Chain. - Za dużo roboty. A generał nie wynajmie nikogo

więcej. Co mi przypomina, żołnierze, że trzeba zastąpić Hawkesa. Co znaczy, że trzeba różne inne rzeczy zostawić w diabły.

- Cały ten dom się rozlatuje - mruknął Wayne. - Nawet jeśli zaczniemy skakać na jednej nodze, jak stara dziwka na przyjazd floty wojennej, nic nie poradzimy. Dellwood, musisz mu to jakoś uświadomić.

- Spróbuję. - Dellwood nie wyglądał na optymistę.

I nagle wszystko potoczyło się niczym lawina. Dowiedziałem się znacznie więcej, niż chciałem, na temat tego, jak i gdzie dom się rozlatuje, co zbyt długo już zaniedbywano i co teraz trzeba zrobić porządnie, żeby oddalić katastrofę.

- Tym przeklętym kłusownikiem możemy zajmować się w wolnych chwilach - wtrącił Tyler. - I powiedziałbym: do diabła z całą resztą. Skąd on się dowie, że nie tracimy czasu na ich poszukiwanie? Chcą kilku saren, to niech je sobie wezmą. Nie możemy dopuścić, żeby dom się rozleciał.

Dyskusja trwała przez chwilę.

Jennifer nie odezwała się ani słowem. Wyglądała na bardziej zainteresowaną moją skromną osobą. To mój fatalny czar. Moje przekleństwo. A może po prostu zastanawiała się, jak ja tych dziadków rozruszałem?

Garret 04 Stare cynowe smutki

XV

P

omogłem kucharce sprzątnąć ze stołu, a Dellwood pomagał mi pomagać. Chyba nie miał zamiaru spuszczać ze mnie oka. Kucharka była dokładnie tak milcząca, jak to obiecywała w obecności osób trzecich.

Dellwood za to chciał pogadać. Zaczął, kiedy tylko wyszliśmy z kuchni.

- Wierzę, że masz mu do zakomunikowania jakieś dobre wiadomości. Generałowi przydałoby się teraz trochę emocjonalnego wsparcia.

- Dlaczegoż to?

- Miał dzisiaj dobry dzień. Był czujny. Jego umysł był błyskotliwy. Udało mu się samemu zjeść lancz. Twoja obecność chyba go podnosi na duchu. Miło by było, gdybyś mógł powiedzieć mu coś, co by podtrzymało jego dobry humor.

- Nie wiem. - To, co miałem do powiedzenia generałowi, nie poprawiało humoru. - Postaram się go nie zasmucić.

Ktoś podglądał, kiedy szliśmy na górę. Tym razem nie pomyliłem się nie wziąłem jej za Jennifer. Obca kobieta. Szkoda. Była naprawdę śliczna.

Tego nie mogłem pojąć. Kiedy po raz ostatni taka kobieta mnie ani trochę nie rajcowała? Nie mogłem sobie przypomnieć. Samice to mój ulubiony sport. Z nią też na oko chyba wszystko było w porządku. Może to jakiś błąd w reakcji chemicznej. Przeciwieństwo pożądanego od pierwszego wejrzenia.

- Kto wychował Jennifer?

- Głównie kucharka. I służba.

- O. A co się z nimi stało?

- Generał ich zwolnił, żeby zrobić miejsce dla nas. Powinniśmy podołać zarządzaniu całym domem, przy założeniu, że pola uprawne wydzierzawimy. Ale się nie udało.

- Kucharke zostawił. Dlaczego?

- To prawie mebel. Jest tu od zawsze. Wychowała go. A przedtem jego ojca, i jego ojca. Ma sentymentalną żyłkę.

- To miłe. - Nie okazał takiego sentymentalizmu, kiedy był moim komendantem. Oczywiście wtedy nie miałem okazji go poznać.

- Potrafi się zająć swoimi. - Dellwood otworzył drzwi apartamentu generała, posadził mnie w tym samym pomieszczeniu, gdzie już wcześniej z nim rozmawiałem. Stary Kaid podrzucał do ognia. - Proszę tu poczekać. Przyprawdzą go tu w ciągu paru minut.

Temperatura była nieprzyzwoita.

- Jasne. Dzięki.

Minęło więcej niż kilka minut, ale warto było czekać, żeby zobaczyć generała. Uśmiechnął się. Policzki odzyskały nieco koloru. Czekał, aż Dellwood i Kaid wyjdą.

- Dobry wieczór, panie Garrett. Z tego, co słyszę, poczyniłeś jakieś postępy?

- Postępy są, generale, ale wieści dobrych nie mam. - Czyżby jego zdrowie poprawiło się dlatego, że truciciel wycofał się, spłoszony moją obecnością?

- Dobrze czy złe nowiny, gadaj, chłopcze.

- Pojechałem dziś rano do miasta. Poleciłem kilku znajomym wyśledzenie skradzionych przedmiotów u ludzi zajmujących się różnymi rzeczami, które zabłąkały się z dala od domu. Są bardzo kompetentni. Jeśli złodziej pozbył się czegokolwiek tymi kanałami, dowiedzą się i dostarczą mi rysopis sprzedawcy. A teraz potrzebuję instrukcji. Czy mamy odzyskać przedmioty? Jeśli zostały one sprzedane, będzie pan na łasce nowych właścicieli.

- Doskonale, sir. Doskonale. Tak, oczywiście, chcę odzyskać wszystko, co się da. Podejrzewam, że będziesz miał z tym problemy, jeśli znajdą się ludzie, którym zanadto się spodobały. Uśmiechnął się.

- Chyba jest pan w dobrym nastroju, sir?

- Tak. Rzeczywiście, tak. Od miesiący nie czułem się tak dobrze. Może od lat. To nie twoja zasługa, ale zaczęło się od twojego przybycia. Przynosisz szczęście. Jeśli uda mi się w takim tempie wracać do zdrowia, za miesiąc będę tańczył.

- Mam taką nadzieję, sir. A teraz muszę przejść do złych wieści. Najpierw jednak coś wyznam. Nie przybyłem tutaj wyłącznie po to, żeby zdemaskować złodzieja.

- Czyżby? - W oczach zabłyśły mu iskierki.

- Tak, sir. Sierżant Peters podejrzewa, że ktoś pana podtruwa. Chciał się dowiedzieć kto to taki.

-I co? Znalazłeś coś? - Wyglądał na zdenerwowanego.

- Nie. Nic z tych rzeczy. Uradował się wyraźnie.

- Z drugiej strony, nie ma dowodu, że nic takiego się nie dzieje. I należy zastanawiać się nad pańskim szybkim powrotem do zdrowia. Cieszę się z tego, ale z natury jestem podejrzliwy.

-I to są twoje złe wieści?

- Nie, sir. To coś znacznie gorszego. Bardziej nieprzyjemnego, jeśli woli pan to słowo.

- Mów. Nie zamierzam zabijać tego, który przynosi złe wieści, albo je ignorować, ponieważ nie są tym, co chcę usłyszeć.

- Zaczniemy od tego, że chciałbym przeczytać pański testament. Zmarszczył brwi.

- Peters prosił mnie o kopię. To twoja sprawka?

- Tak.

- Mów dalej.

- Obawiam się, że mógł zostać napisany tak, by zachęcać do złych uczynków. - Zaczynałem być pompatyczny. Ale trudno jest stać się jednym z chłopców generała Stantnora. - Jeśli liczba spadkobierców zmniejszy się, to czy ulegnie zwiększeniu części dla tych, którzy pozostaną przy życiu?

Spojrzał na mnie twardo. Pomyślałem, że zaraz zostanę wyrzucony za drzwi, pomimo wcześniejszych deklaracji.

- Proszę umotywować swoje podejrzenia, panie Garrett.

- Nie sądzę, żeby cztery osoby, które odeszły, zrobiły to rzeczywiście. Może jedna. Najwyżej dwie. Przecież ludzie nie są i stworzeni tak, by odchodzić od potencjalnego źródła dochodu. Aż czworo?

- Teraz rozumiem. Może. Co jeszcze?

- Ktokolwiek strzelił do Hawkesa, przygotował wszystko wcześniej. Łania była martwa od zbyt dawna, żeby grać świeżą zdobycz. Strzelec uciekł na koniu. Czy wieśniak, który kłusuje, może sobie pozwolić na konia? A później nasz jeździec skierował się w tę stronę, choć może to zbieg okoliczności. Straciłem ślad dość daleko stąd.

Przez długą chwilę milczał. Już nie miał rumieńców. Było mi go żal.

- A z bardziej osobistych spraw, to od dnia, kiedy tu jestem, dwa razy ktoś próbował mnie zabić.

Nie wiem kto.

Spojrzał na mnie, ale nic nie powiedział.

- Ta relacja nie należy do mojego raportu, ale myślałem, że powinien pan wiedzieć, co się dzieje.

Czy mam kontynuować?

- Tak. - Urwał na chwilę. - To nie ma najmniejszego sensu. Kradzież niewiele wartych drobiazgów. Ktoś prawdopodobnie próbuje mnie zabić. Ktoś inny próbuje zabić wszystkich pozostałych.

- To prawda. Nie potrafię powiązać tego w jedną całość.

— Nie chcę w to wierzyć, Garrett. Znam tych ludzi o wiele za dobrze... Dwa zamachy na twoje życie?

Opowiedziałem i o jednym, i o drugim.

Skinął głową.

- Nie przypuszczam, żebyś... Nie. Wierzę ci. Wezwij Dellwooda.

Wstałem.

- Jeszcze jedno pytanie, generale.

- Mów.

- Czy może być za to odpowiedzialny ktoś z zewnątrz? Czy ma pan tak podłych wrogów, żeby próbowali nastawić pańską służbę przeciw sobie i panu?

- Mam wrogów. Człowiek w moim wieku, który był tym, czym byłem ja? Oczywiście, że mam wrogów. Ale nie sądzę, żeby któryś z nich próbował wymyślić podobną intrygę... to musi być ktoś spośród nas. Mam rację?

Skinąłem głową, otwarłem drzwi.

Dellwood stał w korytarzu, w dekoracyjnym oddaleniu.

- Szef cię wzywa.

Garret 04 Stare cynowe smutki

XVI

T

o muszę staruszkowi przyznać: wziął byka za rogi. Nie; uważałem jego postępowania za właściwe, ale w końcu to jego dom, jego życie, jego rozum i jego wybór przy podejmowaniu ryzyka.

Kazał Dellwoodowi wezwać wszystkich i posadzić. Poprosił, żebym stanął obok niego, twarzą do pozostałych. Gapili się to na mnie, to na niego, i zastanawiali, podczas gdy Peters i Chain szukali Snake'a. Kaid dorzucał polana do ognia, a ja spływałem potem.

Nikt się nie odzywał.

Jennifer nawet próbowała. Zaledwie jednak otworzyła usta, generał rzucił:

- Czekaj.

Jedno słowo, cicho wypowiedziane, a smagneło jak biczem. Pojawił się Snake w eskorcie Chaina i Petersa. Chyba próbował doprowadzić się do porządku. Niezbyt mu wyszło, ale prze-szedł inspekcję na tyle, że pozwolono mu usiąść.

- Zamknij drzwi, Peters - polecił generał Stantnor. - Zamknij na klucz. Dziękuję. A teraz daj mi klucz, proszę.

Peters usłuchał. Pozostali patrzyli z różnymi minami, głównie z zakresu gniewnych grymasów i pokrewnych.

- Dziękuję za przybycie. - Jakby mieli jakieś inne wyjście. -Mamy tu pewien problem.

Wyciągnął dłoń. Podałem mu testament. Pozwolił mi go przeczytać, kiedy czekaliśmy na resztę. Było to niewiarygodnie naiwne zaproszenie do bratobójstwa.

- Mój testament. Szczegóły znacie. Dość często machałem wam nim przed nosem. Wygląda na to, że stanowi on niejaki problem. Wobec czego...

Na stole przed nim stała świeca. Zbliżył róg testamentu do płomienia, przytrzymał, aż pergamin się zapalił, po czym położył na stole i pozwolił mu spłonąć.

Obserwowałem, jakim wzrokiem na to patrzą. Byli wstrząśnięci. Mogli być rozczarowani lub urażeni. Ale nie wykonali żadnego gestu, żadnego protestu, żadnych kajań i wyznania win.

- Ten instrument był śmiertelnościami ostrzem, równie niebezpiecznym, jak każda inna broń. Ale nie mam czasu na przemowy. Oto fakt. Motyw został wyeliminowany. Testament został anulowany. W ciągu kilku dni przygotuję nowy.

Spoglądał im w oczy, kolejno, jednemu po drugim. Wszyscy wyglądali na zaskoczonych i przerażonych.

- Sir, nic nie rozumiem - wyznał Dellwood.

- Mam nadzieję, że mówisz prawdę. Ci, którzy też nic nie rozumieją, niech będą cierpliwi jeszcze przez chwilę. Najpierw chciałbym przedstawić wam człowieka u mojego boku. Nazywa się Garrett. Pan Garrett jest wyspecjalizowanym detektywem i ma jeszcze kilka innych talentów. Zatrudniłem pana Garretta, by wykrył, kto mnie okrada. Jak do tej pory, jego wysiłki w pełni mnie satysfakcjonują.

Stary był prawdziwym graczem.

- Pan Garrett znalazł dowód innych, bardziej ohydnych zbrodni. Przekonał mnie, że niektórzy spośród was zabijają swych towarzyszy, aby otrzymać większy udział w spadku.

- Sir! - zaprotestował Dellwood. Pozostali poruszyli się, spojrzeli po sobie.

- Pan Garrett w czasie służby był zwiadowcą, Dellwood. Wyśledził dziś kłusownika... który zdążył do naszych stajni.

Nie bawił się w ogólniki i nieprecyzyjne stwierdzenia. Chciał, żeby wierzyli, iż naprawdę tak było. A nie w to, że straciłem ślad w szczerym polu. Chciał, żeby poczuli presję na własnym grzbiecie.

— Pan Garrett ma doskonałą reputację w takich sprawach. Poprosiłem, aby znalazł zabójcę. Zgodził się. Mam pełne zaufanie do jego zdolności. Mówię wam to wszystko, żebyście wiedzieli, na czym stoicie. Każdy, kto jest niewinny, będzie z nim współpracował. Winnemu radzę się przygotować do szybkiego biegu. Niech wie, że będziemy go ścigać równie bezlitośnie, jak piekielne psy. Zdradził moje zaufanie. Zranił mnie w sposób, którego nie potrafię wybaczyć. Jeśli go znajdę, będę miał jego głowę i serce.

Nie patrzyłem na generała, choć przyszło mi to z trudem. Ten stary diabeł posunął się dalej, niż się spodziewałem.

Pałac testament, wyeliminował zagrożenie dla niewinnych osób. Nikt teraz niczego nie mógł zyskać. Jeśliby umarł nagle, posiadłość zostanie przekazana na własność Korony, to znaczy, że wszyscy tracą. Nawet truciciel będzie teraz chciał utrzymać go przy życiu tak długo, dopóki nie spisze nowego testamentu.

Sprytny człowiek, ten generał Stantnor. Za to ja teraz powiewałem na wietrze.

- Znacie swoje położenie - oznajmił. - Panie Garrett, proszę zadawać pytania.

- Sir... — wtrącił się Chain.

- Nie, sierzancie Chain. Pan Garrett teraz zadaje pytania. Nikł z was się nie odezwie nie pytany. Zostaniemy tu, dopóki pan Garrett nie zostanie usatysfakcjonowany.

- Pan Garrett chyba nie zdoła tak długo utrzymać się na nogach - odparłem.

Nie jestem typem detektywa, który potrafi zgromadzić wszystkich podejrzanych i wyłonić spośród nich winnego za pomocą serii sprytnych pytań. Mój styl to słoń w składzie porcelany. Wskakuję do stawu i tak długo macę wodę, aż żaby zaczną uciekać. Oj, przydałby mi się teraz Truposz. Jednym z jego bardziej użytecznych talentów jest umiejętność czytania myśli. On by to załatwił w dwie minuty.

Wciąż miałem nadzieję na możliwość interwencji jakiejś siły z zewnątrz. Niezglobiony motyw. Należało udzielić odpowiedzi na argumenty dotyczące zaangażowania tych ludzi, zanim będę mógł te możliwości wykluczyć.

Patrzyli na mnie wyczekująco. Generał spojrział na mnie, jakby chciał powiedzieć: „A teraz, chłopcze, pokaż nam swoje hokus pokus.

- Czy ktoś może chce się przyznać? Zaoszczędzi nam to czasu i wszyscy będziemy mogli iść spać.

Nikt się nie zgłosił. Niespodzianka, niespodzianka.

- Obawiałem się, że nie zechcecie współpracować. Pierwszy pękł Chain.

- Kiedy miałem dziewięć lat, ukradłem siostrze kawałek cukru lodowatego.

- Zawsze to jakiś początek. Kryminalna łamigłówka w budynku. Nie sądzę, byśmy musieli cofać się w przeszłość aż tak daleko. Ograniczymy się do dzisiejszego poranka. Co pan dzisiaj robił, sierzancie Chain? Proszę podać czas i czynności. Proszę powiedzieć, kogo pan widział i co on wtedy robił, i kto widział, że pan robi to, co robi. - Zanim skończymy te dziewięć historii, zrobi, się całkiem nudno. Ale może akurat się udać. Każda historyjka podkoloruje nieco fatalny poranek. Każda prawdziwa opowieść pozostawi mniej mrocznego miejsca dla naszego zabójcy.

Chain przełknął protest. Nie wyglądał jak ktoś, kto chciałby zostać moim kompanem do wypitki.

- Spróbuj podać godziny głównych czynności - odpowiedziałem.

- Nie zwracam uwagi na to, która jest godzina. Jestem zbyt zajęty tym, co robię. To znaczy, robię tyle, ile mogę. Nie mogę zrobić wszystkiego, choćbym bardzo chciał.

- To dzięki zabójcy, który pozbawia nas kolejnych par rąk do roboty. Wystarczy w przybliżeniu. Kiedy usłyszymy już wszystkich, będzie jasne, kto, co i kiedy robił. Do roboty. Po prostu opowiadajcie. Nie spieszcie się. Każdy szczegół może okazać się ważny.

Sprytny, sprytny Garrett przygotowuje sobie noc cierpień i tortur. Chain potrzebował aż czterdziestu pięciu minut, żeby mi opowiedzieć, że nie robił nic ciekawego i że pomiędzy śniadaniem i lanczem widział tylko pięć osób. Z wyjątkiem Dellwooda i Petersa, oraz tych, którzy byli na patrolu.

- Czy ktoś się z tym nie zgadza? - zapytałem. - Czy ktoś chce nazwać go kłamcą?

Nikt się nie zgłosił.

- W porządku. Snake. Nie czujesz się tu za dobrze. Może miej to już za sobą. Mów.

Historyjka Snake'a nie była ani trochę ciekawsza niż opowieści Chaina. Nie widział nikogo w okolicznościach, które byłyby choć trochę podejrzanym. Dellwooda przed wyjazdem, innych łowców w czasie polowania, a Petersa, kiedy wrócił w moim towarzystwie, Potem uciekł do stajni, żeby być jak najdalej.

- Nie lubię już ludzi tak jak kiedyś - wyjaśnił. - Nie czuję się dobrze w ich towarzystwie. Czy mogę odejść, generale?

Staruszek pozornie zaczął przysypiać. Ale okazało się, że jest zupełnie rozbudzony.

- Nie jesteś zainteresowany tym, co inni mogą powiedzieć na twój temat pod twoją nieobecność?

- Nie, sir. Nie mam nic do ukrycia. I czuję się coraz gorzej. - Wyglądał, jakby za chwilę miał ulec atakowi paniki.

Generał spojrział na mnie. Wzruszyłem ramionami.

Stantnor podał mi klucz.

— Rób co chcesz.

Otwarłem drzwi i przytrzymałem.

- Dobranoc. Mijając mnie, i szepnął:

- Przyjdź do mnie, jak skończysz. Może wiem, kto wykończył Hawkesa.

Nie było czasu na wybrzydzenie. Dodałem go po prostu do długiej listy spraw, które muszę załatwić, kiedy skończę. Zamknąłem drzwi, obróciłem się, rozejrzałem, ciekaw, czy ktoś nas usłyszał. Twarze obecnych nie wyrażały niczego. A przecież szeptał dość głośno.

Następny był Wayne. Nic nowego. Kucharka mogłaby przegadać cały dzień i całą noc, gdybym jej trochę nie przyhamował. Widziała wszystkich i wszyscy widzieli ją.

Czworo załatwionych. Trzy godziny. Pięcioro przede mną. Ale zaczęła się pojawiać pewna prawidłowość. Niewielka, ale wyraźna. Dellwood był widywany zbyt często, żeby mógł sobie pozwolić na wiejską przejażdżkę.

Nie był zresztą bardziej podejrzany niż kucharka.

Następny był Peters. Nie podobała mu się rola podejrzanego, ale zrobił, co musiał. Generał chyba znowu drzemał.

Peters nie powiedział mi nic, czego bym już nie wiedział.

Zaledwie skończył, kiedy nagle ożyła Jennifer.

- Panie Garrett, jeśli to nazwisko również nie jest fałszywe. Czy mogę być następna? Mam już tego serdecznie dość.

- Witamy W klubie. Proszę bardzo.

Przez całe rano nawet nie kiwnęła palcem. Siedziała w pokoju i robiła na drutach. Dellwood może poświadczyć. Znalazł ją tam, kiedy przyniósł wieści o Hawkesie.

Fajnie.

- Czy już mogę iść? Jestem zmęczona i okropnie boli mnie głowa. Potrafię być współczujący. Mnie też zaczynała boleć głowa.

Stanowiło to część nadchodzącego przeziębienia, które z kolei było dziedzictwem paskudnej pogody.

- Jeszcze nie. Proszę zostać. Postaram się przyspieszyć. Kto będzie następny?

Brak ochotników. Wybrałem Tylera. Nie krył urazy, kiedy opisywał zdarzenia dzisiejszego poranka. Były nudne. Prowadziły donikąd. Niczego nie wskazywały. Dodał tylko do listy kolejne spotkanie z Dellwoodem.

- Kaid? - rzuciłem. - Co z tobą?

Kolejna nudna opowieść, głównie na temat patrolu.

Pomysł nie zdawał egzaminu. Tylko Dellwood i kucharka - na dziewięćdziesiąt procent - byli wolni od smrodu.

- Dellwood, pewnie to strata czasu, ale mów.

Jego raport był tylko trochę mniej szczegółowy niż raport kucharki. Nie naprowadził mnie na żaden ślad. Prawie wszyscy mieli dość czasu, żeby dopaść Hawkesa.

Nie można pozostawić nierozwiązanych spraw.

- Dziękuję wszystkim za cierpliwość i współpracę. Będę z wami jeszcze rozmawiał, choć trwa to dość długo. Żaden morderca nie jest nieomylny. Jeśli coś się wam przypomni, dajcie mi znać. Zachowam waszą tożsamość w tajemnicy. Możecie odejść.

Całą bandą ruszyli ku drzwiom, zapominając, że to ja mam klucz. Pierwsza przypomniała sobie o tym Jennifer. Wrzasnęła, żebym go podał - dama w każdym calu, niczym wściekły rosomak. Rzuciłem jej klucz.

- Jeszcze jedno. Widziałem w domu kobietę. - Opisałem ją dokładnie. - Chciałbym wiedzieć, kto to jest, nawet, jeśli to tajemnica, Odpowiedzieli mi tępymi spojrzeniami... w większości. Jedno lub dwoje popatrzyło, jakbym stracił rozum. Wreszcie wyszli wszyscy z wyjątkiem Dellwooda, który przyniósł klucz i położył na biurku.

— Sir, jeśli pan pozwoli, położę teraz generała do łóżka.

— Proszę bardzo, jeśli i on nie ma nic przeciwko temu.

- Idź, Garrett - odezwał się stary, co znaczyło, że wcale nie śpi. - Nie mam już sił kontynuować. Przyjdź do mnie po śniadaniu.

- Tak jest, sir. - Wstałem i wyszedłem.

Było po północy. Czuję się wykończony. Może złapać te parę godzin drzemki? Teraz, kiedy generał zrobił ze mnie cel numer jeden, trudno mi będzie zmrużyć oko.

Nie. Najpierw Snake. Sądząc po dotychczasowym biegu sprawy, nie przekaże mi żadnych rewelacji. A z drugiej strony, kto wie. Być może ma coś, dzięki czemu nie będę już musiał się obawiać topora w plecach zamiast kołysanki.

Ruszyłem w dół, do holu. I natychmiast coś odwróciło moją uwagę.

Znowu zobaczyłem tę kobietę. Stała na balkonie przeciwległym do korytarza generała. Na moim balkonie. Zamarłem, obserwując, jak unosi się niczym we śnie. Nie widziała mnie. Rzuciłem się w stronę schodów wiodących na piąte piętro, przekradłem się do wschodniego skrzydła i ostrożnie wszedłem na dolny balkon.

Za późno. Już jej nie było.

Muszę ją kiedyś dorwać, jeśli chcę z nią porozmawiać.

A chciałem, i to bardzo.

Rozum czasem płata figle. Nieznajoma niemal w całości angażowała tę część mojego umysłu, która w niewytłumaczalny sposób pozostawała nieczuła na kuszące wdzięki Jennifer.

Garret 04 Stare cynowe smutki

XVII

M

ój pokój był po drugiej stronie korytarza. Uznałem, że warto byłoby po drodze wstąpić i zaopatrzyć się w dodatkowy sprzęt. Wiara w siebie i nóż myśliwski to trochę za mało, gdyby dzisiejsza wycieczka okazała się dla kogoś zbyt denerwująca.

Kawałek papieru, pozostawiony między drzwiami i framugą, był na swoim miejscu. Ale to tylko zmyłka, która miała wypaść i pofrunąć komuś przed nosem. Prawdziwą pułapką był włos, który oparłem o drzwi od strony korytarza. Tego włosa nie mógł poprawić ktoś, kto by pozostawał w środku. A włos został poruszony.

I co teraz? Wchodzić? A może po prostu odejść? Podejrzywałem, że ktoś na mnie czeka. Od spotkania nie upłynęło dość czasu, żeby pozwolić sobie na dokładną rewizję.

Rozważałem możliwość wzięcia ich na cierpliwość. Ale każda zmarnowana minuta oddalała mnie od Snake'a i tego, co miał mi do powiedzenia.

A może zrobić niespodziankę chłopcom od niespodzianek? Zdjąłem ze ściany tarczę i maczugę, po czym wyjąłem klucz, obróciłem go w zamku, otwarłem drzwi kopniakiem na tyle energicznie, by zgnieść na miazgę kogoś, kto się za nimi przyczaił, i wszedłem z podniesioną tarczą, żeby nie dostać w łeb od tego, kto stoi po drugiej stronie.

Nikogo. A w pokoju ciemno. Znowu ktoś zdmuchnął lampę. Szybko wycofałem się do korytarza, żeby nie stać pod światło. Człowiek z kuszą mógłby mieć ułatwione zadanie.

Ktoś podszedł do drzwi, na tyle blisko, żeby wejść w krąg światła.

- To ja. - Morley Dotes.

Wyjrzałem na korytarz. Pusto. Wszedłem do środka.

- Co ty tu robisz, do diabła? - Odrzuciłem tarczę i zacząłem macać wokół siebie w poszukiwaniu lampy.

- Ciekawość. Pomyślałem, że zobaczę, co się dzieje.

- Jak znalazłeś mój pokój?

Postukał się po nosie.

- Za końcem wachacza. My, elfy, mamy świetny węch, a twój apartament jest przesiąknięty smrodem mięsożercy. Łatwo go znaleźć.

Zaczął mnie wkurzać

- No i jesteś. A co ja mam z tobą zrobić?

- Coś się zaczęło dziać?

- Aha. Kolejny trup. Rano, kiedy byłem w mieście. Wieczorem stary zebrał wszystkich w gabinecie, przedstawił mnie i potwierdził, że jestem tu po to, żeby zedrzeć skórę z winnego i powiesić na ścianie. Przy okazji spalił testament. A co w mieście?

- Saucerhead pochodził trochę tu i tam. Niewiele znalazł. Wiesz, ile medali krąży po mieście? Każdy paser dysponuje całymi kubłami medali. Tylko srebrne mają jeszcze jakąś wartość. Ludzie z Góry martwią się swoimi zapasami srebra.

Góra to serce TunFaire. Mieszkają tam wszyscy nadziani, garść czarownic i czarowników, oraz diabli wiedzą, kto jeszcze, ale wszyscy potrzebują srebra, jeśli mają pozostać w biznesie. Srebro dla

czarnoksiężstwa jest tym, czym drewno dla ognia. Odkąd Glory Mooncalled wygarbował naszym skórę w Kantardzie, ceny skoczyły pod samo niebo.

Mnie to teraz mało obchodziło.

- A świeczniki i inne rzeczy?

- Coś tam znalazł. Może. Ludzie, którzy je mieli, nie pamiętają, skąd je wzięli. Na pewno. Znasz Saucerheada. Potrafi być przekonujący.

Jak lawina. Jeśli nie zaczniesz mówić, kiedy on ci każe mówić, masz szansę błyskawicznie zmienić zdanie.

- Fajnie. Znowu ślepa uliczka.

- Jutro znowu spróbuje. Szkoda, że ten twój złodziej nie wziął czegoś bardziej szczególnego, co by wszyscy zapamiętali.

- Ale bezmyślny. Słuchaj, mam spotkanie z gościem, który twierdzi, że zna mordercę. Może i tak. Chciałbym się z nim zobaczyć, zanim zmieni zdanie.

- Prowadź, szlachetny rycerzu. - Morley ciągle się ze mnie nabijał, że taki jestem sentymentalny i romantyczny. Sam miewał takie chwile... bo i po co by tutaj przychodził? Nigdy się nie przyzna, że martwi się o mnie, kiedy pływam wśród stada rekinów. Będzie twierdził, że przywiodła go tu wyłącznie ciekawość.

— To naprawdę nawiedzony dom — mruknął, kiedy po cichu szliśmy po schodach. - Jak oni mogą tu żyć?

- Może to racja, kiedy mówią, że wszędzie dobrze, a w domu najlepiej. Może po jakimś czasie przestaje się to zauważać.

- Co to za brunetka, którą zauważyłem, kiedy wszyscy wybiegli z tego korytarza naprzeciwko?

- Cóрка, Jennifer. O ile zdołałem stwierdzić, beznadziejny przypadek.

- Może nie masz tego, czego ona potrzebuje.

- Możliwe. Ale wydaje mi się, że to braki natury chemicznej. - Dotarliśmy do końca schodów. Wokół było pusto i głucho. Ruszyliśmy w stronę tylnego wejścia. Wąziutki skrawek księżyca oświetlał drogę akurat na tyle, żebym nie potykał się o różne przedmioty. Morley nie miał z tym kłopotów. Jego pobratymcy widzą nawet w grobowcu.

- Przynajmniej sprawa nie jest skomplikowana. Żadnych martwych bogów. Żadnych wampirów. Żadnych wilkołaków. Tylko zachłanni ludzie.

Pomyślałem sobie o kobiecie w bieli, z nadzieją, że to nic nadnaturalnego. Nie wiem, jak się zachować w obecności ducha. Morley złapał mnie za ramię.

— Coś się tam rusza.

Niczego nie dostrzegłem.

Ktoś potknął się o coś.

- Usłyszał nas - mruknął Morley i rzucił się pędem. Wszedłem do stajni, wołając:

- Snake?! Gdzie jesteś? To ja, Garrett!

Bez odpowiedzi. Wsadziłem głowę do środka. Nic nie widziałem. Konie były niespokojne, coś mamrotały przez sen. Postanowiłem okrążyć budynek, zanim zaryzykuję wejście.

Przez szpary w deskach od północnej strony, w pobliżu zachodniego węgła, przesączało się drżące światło. Było słabe, jakby rzucała je jedna płacząca świeca. Obok dostrzegłem wąskie drzwi. Znalazłem kryjówkę Snake'a.

- Snake? Jesteś tam? To ja, Garrett.

Snake nie odpowiedział. Otwarłem drzwi. Snake już nigdy nikomu nie udzielił żadnej odpowiedzi na tym świecie. Ktoś poczęstował go nożem.

Niebył dobra robota. Cios trafił po niewłaściwej stronie mostka i przebił płuco. Czubek sztyletu ugrzązał w kręgosłupie. Morley zmaterializował się obok.

- Zgubiłem go - oznajmił i spojrzął na Snake'a. - Amatorszczyzna.

Zawsze się uczy i zawsze krytykuje. Taki już jest, ten Morley,

- Zawodowcy popełniają błędy, kiedy się spieszą i mają twardego przeciwnika. Ten gość był komandosem, o ile wiem. Trudno go dorwać bez walki.

- Może. - Dotes przykucnął, bawiąc się sznurem okręconym wokół szyi Snake'a. Morderca dokończył robotę brutalniejszą metodą. - Interesujące.

Zacząłem szukać jakichkolwiek dowodów. Morderca mógł coś upuścić w pośpiechu.

- Co to takiego?

- Garota Kef sidhe.

- Co? - Przykucnąłem obok.

- Kef sidhe. Mają surowy religijny zakaz rozlewania krwi. Uważają, że jeśli przelejesz krew, duch zamordowanego człowieka będzie błakał się po ziemi, dopóki nie zostanie pomszczony. Więc zabijają bez rozlewu krwi, ponieważ morderstwo również należy do religii. Użycie garoty to sztuka sama w sobie.

Spojrzałem na garotę. Rzeczywiście to nie był zwyczajny kawałek sznura.

- Mistrz zabójca robi swoje własne garoty - wyjaśniał dalej Morley. - Ich wykonanie jest oznaką ostatecznego przejścia do statusu mistrza. Patrz. Węzeł przypomina stryczek, ale pętla jest okrągła i można ją zacisnąć, rozkładając ręce. Gruszki na sznurze to nie węzły, są oplecione na stożkach wykonanych z korka. Działają jak zadziory na strzale: sznur można przewlec przez węzeł tylko w jedną stronę.

W ciągu sekundy zorientowałem się, jak to działa - zwłaszcza z przykładem przed nosem. Pomacałem palcami jedno ze stożkowatych zgrubień na sznurze.

- Korek zgniata się, przechodząc przez węzeł, i rozpręża po drugiej stronie - tłumaczył Morley.

- Więc jak to potem zdejmują?

- Nie zdejmują. Używają go tylko raz, potem jest już nieczysty. Sam widziałem taki tylko raz w życiu. Facet odciął go sobie z własnej szyi - inna rzecz, że to był największy szczęściarz, ja-kiego znałem, oczywiście z wyjątkiem ciebie.

Rozejrzałem się, mniej zainteresowany Snakem niż on. Jeśli morderca nie był dobry, to miał kupę szczęścia. Ani śladu dowodów rzeczowych.

- Trochę to smutne - mruknąłem.

- Śmierć zwykle bywa taka. - Niespodziewane stwierdzenie, biorąc pod uwagę, z czyich ust wyszło. Ale Morley zawsze był pełen niespodzianek, odkąd go znałem.

- Miałem na myśli to, jak żył. - Zatoczyłem koło ręką. Mieszkał jak jego konie. Spał na sianie. Jego jedynym meblem był poplamiony farbami stół. - Był zawodowym żołnierzem. Dwadzieścia lat służby, w większości w Kantardzie. Żołd. Zdobycze wojenne. Człowiek na tyle ostrożny, by tak długo przeżyć, musiał być równie ostrożny, jeśli chodzi o pieniądze. A on mieszkał w stajni, jak zwierzę. Nie miał nawet ubrania na zmianę.

- To się zdarza - burknął Morley. - Chcesz się założyć, że pochodził z najgorszych slumsów? Albo z jakiejś brudnej farmy, gdzie nikt nigdy nie widział dwóch miedziaków w tym samym miesiącu?

- Nie zakładam się. - Widziałem to. Wychowany w biedzie człowiek może dostać fioła na punkcie oszczędzania na czarną godzinę... A śmierć przychodzi przed zmrokiem. Smutne życie. Dotknąłem ramienia Snake'a. Jego mięśnie wciąż były spięte. Nie rozluźnił ich, gdy umarł. Ciekawe.

Przypomniałem sobie, co mi opowiadała kucharka.

- Był dobrym Marine, trzeba to umieścić na nagrobku. - Przewróciłem go na drugi bok, żeby sprawdzić, czy nie znajdę czegoś pod nim. O ile mogłem stwierdzić, nic tam nie było.

- Morley, uduszenie faceta wymaga trochę czasu. Może ten, kto to zrobił, najpierw go dusił, a potem użył tego, a nie na odwrót.

Rozejrzał się, oceniając szkody, co nie było łatwe, z uwagi na ogólny stan tego miejsca.

- Może być.

- Udusiłeś kogoś kiedy?

Spojrzał na mnie ponuro. Na takie pytania nie udziela się odpowiedzi.

- Przepraszam. Ja tak. Miałem usunąć strażę podczas wypadu. Ćwiczyłem trochę przedtem.

- To do ciebie niepodobne.

- Wtedy było. Nie lubię zabijać i wtedy też nie lubiłem, ale uznałem, że jeśli już mam to zrobić, lepiej, żebym zrobił to porządnie.

Mruknął coś pod nosem. Oglądał uważnie plecy Snake'a.

- Zrobiłem to według wszelkich zasad. Gość był w półśnie, kiedy go dopadłem. Ale mi nie wyszło. Przerzucił mnie jak szmatę. Walił, że omal się nie posrałem. A ja przez cały czas wisiałem na tym cholernym sznurze. Jedyne szczęście, że przez to nie mógł wrzeszczeć, dopóki ktoś nie przyszedł i nie wsadził mu noża w plecy.

- Do czego zmierzasz?

- Jeśli nie skręcisz facetowi karku, będzie walczył. A jeśli się uwolni, nawet z tym interesem Kef sidhe wokół szyi, zobaczy cię, i wtedy musisz zrobić wszystko, żeby go wykończyć wszelkimi dostępnymi sposobami.

- Zdaje się, że próbujesz mi powiedzieć, iż ten facet Snake był silniejszy od każdego, kto mógłby go dopaść. Tak jak ten żołnierz Venageti.

Nie powiedziałem, że Venageti był silniejszy ode mnie, ale to była prawda.

- Tak.

- Więc ktoś w tym domu ma prawdopodobnie guzy i siniaki. Oczywiście, jeśli zrobił to ktoś z domowników.

- Może. Cholera! Dlaczego choć tym razem nie mogłem mieć szczęścia?

- Co masz na myśli? - On uważa, że mam wręcz nieprzyzwoite szczęście.

- Dlaczego morderca nie zostawił śladów? Kawałka materiału, kępki włosów, czegokolwiek!

- Dlaczego nie chcesz, żeby przyszedł i wszystko wyśpiewał? - Morley potrząsnął głową. - Jesteś taki ślepy, że przeoczyłbyś samego siebie. Zostawił ci sztylet i garotę Kef sidhe. Czego byś jeszcze chciał. Mówiłem ci, jaka to rzadkość. Ile widziałeś takich sztyletów jak ten?

Sztylet miał trzydziestopięciocentymetrowe ostrze z polerowanej stali, co już samo w sobie było niezwykle, ale szczególnie interesujący był uchwyt. Wykonano go z czarnego nefrytu i był całkiem zwyczajny, poza tym, że był zrobiony z nefrytu. Jednakże w najszerszym miejscu, gdzie spoczywa środkowy palec dłoni, znajdował się mały srebrny medalion, na którym wytłoczono dwugłowego orła Venagetic.

- Pamiątka z wojny? - zasugerował Morley.

- Bardzo niezwykła. Venageti. Takiego nie ma nikt poniżej rangi podpułkownika. Komendant batalionu sił elitarnych lub komendant regimentu, albo jego zastępca w zwykłym wojsku.

- Jak myślisz, ilu takich może się kręcić po okolicy?

- Prawda. - To był ślad. Naciągany, ale zawsze ślad. Spojrzałem na Snake'a.

- Chłopie, czemu nie wygarnąłeś mi tego wtedy, kiedy jeszcze mogłeś?

- Garrett.

Znam ten ton. Morley używa go zawsze, kiedy uważa, że zaczynam się angażować emocjonalnie.

Mówi wtedy, że działam nieprofesjonalnie. Inaczej mówiąc, staje się uparty i nierozsądny.

- Kontroluje to. Żal mi tylko gościa. Wiem, jakie miał życie. Nie powinien był tak skończyć.

- Czas już na nas, Garrett.

- Tak, wiem.

Rzeczywiście, czas. Zanim całkiem się zaangażuje. Odszedłem, myśląc o starym porzekadle. Bez odrobiny łaski bogów... i tak dalej, i tak dalej...

Garret 04 Stare cynowe smutki

XVIII

M

orley poprosił o chwile przerwy, żeby sprawdzić tego, który przed nami uciekał. Dałem mu szansę. Nic nie zwojował.

- To mi się nie zgadza, Garrett.

- Co znowu?

- Mam złe przeczucie. Nie, to nie intuicja. Coś, co sięga znacznie dalej. Coś jak bezpodstawne przekonanie, że sprawy przybiorą teraz naprawdę zły obrót.

I żebym nie mógł nazwać go kłamcą, w głębi domu rozległ się nagle przerażający wrzask. Nie był to krzyk bólu i nie całkiem przypominał krzyk strachu, choć na pewno ten, kto wrzeszczał, był przestraszony. Poczulem, jak po plecach zaczynają mi galopować lodowate ciarki. Brzmiał jak głos kobiety, ale nie dałbym za to głowy. Na wyspach słyszałem mężczyzn, którzy też tak krzyczeli.

- Schowaj się - rzuciłem Morleyowi i popędziłem jak strzała.

Krzyki nie ustawały. Wpadłem do środka. Dochodziły z zachodniego skrzydła, z balkonu na trzecim piętrze. Wbiegłem na schody, ale po dwóch piętrach zwolniłem. Nie miałem ochoty na nic wpaść.

Stopnie były pochłapane wodą i czymś zielonym, rozmazanym w kleksy i strzępki. Pod jedną z lamp leżało coś, co przypominało martwego ślimaka. Dotknąłem tego czegoś. Zaczęło się wic i wtedy rozpoznałem co to jest. Pijawka. Na tamtej bagnistej wyspie miałem okazję zawrzeć bliższą znajomość z jej krewniaczkami.

W powietrzu panował potworny smród. Też pamiętałem go z tamtej wyspy.

Co jest, do diabła?

Teraz było słyhać różne inne hałasy. Mężczyźni krzyczeli. Peters darł się: „Weźcie jakąś włócznię i zrzućcie to ze schodów!”.

Dellwood, niemalże piszcząc, zapytał:

- Co to jest, do cholery?

Ostrożnie posuwałem się w górę. Na szczycie schodów ujrzałem grupkę mężczyzn. Kilku trzymało piki i dziobało zawzięcie jakąś ciemną masę zwisającą ze stopni. Światło było za słabe, żeby zobaczyć, co to jest.

Ale ja miałem pewne podejrzenia.

Upiorzec.

Wziąłem lampę do ręki.

Nie, nie chciałem zobaczyć tego, co ujrzałem. Tego, co leżało na schodach, na pewno nikt nigdy nie chciałby zobaczyć, a już na pewno nie ten, kto go stworzył.

Był to nieboszczyk, który dość długo przeleżał w bagnie. Folklor nazywa takich upiorcami, a są to zamordowani ludzie, którzy nie spoczną w pokoju, dopóki ich morderca nie zostanie ukarany. Istnieją miliony historii na temat zemsty upiorców, ale nigdy nie spodziewałem się, że i ja będę jednym z ich bohaterów. W końcu to apokryfy, nic konkretnego. Nikt do tej pory naprawdę nie widział upiorca.

Dziwne, jak działa ludzki umysł. Opadły mnie myśli, których istnienia nawet nie podejrzewałem.

Myślałem tylko „dlaczego ja?”. Przecież to całe mile od mojej normalnej, zwyczajnej sprawy.

- Co mamy robić, Garrett?! - wrzasnął Peters. Z wyjątkiem rzygania?

- Nie wiem. - Upiorca nie można zabić, bo już jest martwy. Będzie po prostu wracał, aż ich wykończy. - Spróbujcie go poćwiartować.

Dellwood nie wytrzymał i puścił pawia. Chain odepchnął go i zamierzył się halabardą. Kilka palców, trzepocząc, spadło mi pod nogi. Nie straciły nic ze swej żywotności.

- Trzymajcie go. Przyjdę z drugiej strony! - krzyknąłem i zawróciłem na balkon.

Zawracając na schody wiodące na pierwsze piętro, zauważyłem kobietę w bieli, spoglądającą z najwyższego balkonu wschodniego skrzydła, z miejsca, gdzie tylko ja mogłem ją zobaczyć. Była bardziej ożywiona i zainteresowana niż zwykle. Tak jakby się świetnie bawiła. Próbowałem zająć ją od tyłu, ale kiedy tam dotarłem, już jej nie było.

Nawet mnie to nie zaskoczyło.

Przeszedłem przez skład, zbiegłem na dół. Chłopcy pracowali ciężko, dziabiąc, siekąc i potykając się o siebie.

- To coś starego, Garrett! - krzyknął Peters.

- Też tak sądzę. Kogo szuka?

- Skąd u diabła mam wiedzieć?

- A kto tak wrzeszczał?

- Jennifer. Wpadła na niego gdzieś na dole. Gonił ją aż tutaj.

- Gdzie ona jest teraz?

- W swoim pokoju.

- Zostańcie tutaj. Świetnie wam idzie. - Ruszyłem w głąb korytarza. Zawróciłem. Kaid i Chain obsypali mnie przekleństwami.

- Kto to był, kiedy jeszcze był człowiekiem?

- Skąd u diabła mam wiedzieć?! - ryknął Peters. Musi trochę popracować nad słownictwem.

Zaczyna się powtarzać.

- Za minutkę wracam! - Ruszyłem do apartamentu Jennifer, który był repliką apartamentu jej ojca, ale piętro niżej. Szarpnąłem drzwi w końcu korytarza. Zamknięte i zabarykadowane. Zacząłem walić w nie pięściami.

- Jennifer, to ja, Garrett.

Słyszałem ruch wewnątrz, ale zaraz ustał. Nie otworzyła.

Ciekawe, czy na jej miejscu ja miałbym odwagę otworzyć, jeśli wierzyć w sztuczki, do których podobno są zdolne upiorce i inne widma.

Spróbowałem jeszcze raz. Nie przyjmowała wizyt. Wróciłem do chłopców. Trzymali się dzielnie. Strzępy przegniłego, cuchnącego mięsa były dosłownie wszędzie. A upiórec wciąż przedzierał się do przodu. Uparta bestia. Znalazłem sobie miejsce, z którego mogłem im kibicować.

- Peters, domyślasz się już, kto to mógł być?

- Tak. Spencer Quick. Zniknął dwa miesiące temu. Ubranie... Nikt się tak nie ubierał jak Quick. Cały w czarnej skórze. Myślał, że to zwala kobiety z nóg. Ty sukinsynu, będziesz tam sobie tak stał?

Wybrałem sobie półtorametrową szablę, która w czasach rycerstwa służyła do przerabiania wojowników na złom. Sprawdziłem ostrze. Niezłe, biorąc pod uwagę wiek. Zająłem pozycję za załomem korytarza, w miejscu, w którym stwór wkroczy na balkon.

- Przepuście go.

- Zwariowałeś! - krzyknął Kaid. Może i tak.

- No, dalej. Cofnąć się.

- Zróbcie to - polecił Peters. Ufał mi o wiele za bardzo. Odsunęli się.

Trup ruszył, otoczony obłokiem smrodu, powłócząc tym, co z niego zostało. Nadział się na ścianę.

- Na co czekasz?! - wrzasnął do mnie Wayne.

Czekałem, żeby upiórzec skoczył na swojego mordercę. Ale nie skoczył. No jasne. Wszyscy spanikowali, złapali za siekiery, miecze i szable, i zaczęli nimi wymachiwać. Sześciu ludzi w takim ścisku, cud, że się nie pozabijali.

Odstąpiłem, obserwując, czy ktoś nie skorzysta z okazji i zamieszania, żeby wyeliminować kolejnego spadkobiercę.

Teraz, kiedy mieli więcej miejsca, pocięli upiorca na drobne, drobniutkie kawałeczki. Zajęło im to tylko chwilę. Mieli motywację. Wayne, Tyler i Dellwood siekali jeszcze długo po tym, jak przestało to być konieczne.

Wreszcie odstąpili, dysząc ciężko. Wszyscy patrzyli na mnie takim wzrokiem, jakby chcieli, żebym był następny w kolejce. Odniosłem wrażenie, że nie są zadowoleni z mojego udziału w walce.

- No dobrze. Sprawa załatwiona. Pamiętajcie, żeby dokładni pozbierać kawałeczki i je spalić. Peters, możesz powiedzieć mi coś o tym gościu? Kim był i jak to się stało, że odszedł po cichu a nikt z was nie uznał tego za dziwne?

Chain eksplodował. Zanim zdołał wydobyć z siebie jedno składne zdanie, przerwałem mu:

- Chain, chcę, żebyś poszedł ze mną. Peters i Tyler też. Wyśledzimy, skąd to przyszło.

- Co ty gadasz? - Chain przełknął ślinę. - Mamy tam iść?

- Tak, chcę zobaczyć, skąd przylazło. Może dowiemy się czegoś pożytecznego.

- Cholera - syknął i zaczął się trząść. - Muszę ci to powiedzieć: boję się. Nie wstydzę się do tego przyznać. Przez wszystkie lata w Kantardzie nie miałem takiego stracha, jak teraz.

- Nigdy niczego podobnego nie spotkałeś. Nie martw się. Już po wszystkim.

- Garrett, brakuje nam jeszcze kilku chłopca - wtrącił Peters. - Myślisz, że będzie ich więcej?

- Nie sądzę. Upiorce nie chodzą stadami. Zazwyczaj. - Były jeszcze Dzikie Łowy, grupa martwych jeźdźców przesładujących żywych ludzi. - Widziałeś, jaki był powolny. Bądźcie czujni. Możecie go wymanewrować. Należy tylko pamiętać, żeby się nie denerwować. Mogliśmy załatwić sprawę bez krzyku, gdyby pozwolić mu dorwać tego, który go zabił.

- Cholera - zaklął Chain. - Jego to nie obchodziło. Chciał kogokolwiek. Po prostu kogokolwiek.

- No, może. Dobrze, ruszamy za śladem - wysilałem się na dziarski humor. - Kolejna noc chwały Korpusu. - Wcale nie czułem się dziarsko, ani troszeczkę. Umierałem ze strachu. - Uzbróćcie się, jeśli będzie wam z tym lepiej. I zabierzcie latarnie.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, Garrett - burknął Peters. Nie miałem zielonego pojęcia. Szamotałem się na ślepo, w nadziei, że coś samo wylezie.

Garret 04 Stare cynowe smutki

XIX

T

tyler, idź dziesięć metrów w lewo. Chain, ty idź tyle samo na prawo. - Rozstawiłem siebie i Petersa pośrodku, tak że obejmowaliśmy trzydzieści metrów. Zaczęliśmy u podnóża schodów. - Idziemy.

- Przyszło tu samo. Pewnie nie zostawiło wielu śladów - mruknął Peters.

- Prawdopodobnie nie. Powieście mi wreszcie, kim był ten Quick, zanim go posiekaliśmy?

- My?! - ryknął Chain. - Słyszycie, co on pieprzy?!

- Spokojnie - odparł Peters. - Wiem, co on chciał zrobić. Miał racje. Ale powinieneś być nam powiedzieć, Garrett.

- I ostrzec winnego?

- I tak został już chyba ostrzeżony.

- I bezpieczny. Aha. Dodajcie do listy ofiar jeszcze jedno nazwisko. Ktoś załatwił Snake'a.

Peters stanął jak wryty, uniósł latarnię wysoko i zmierzył mnie wzrokiem.

- Żartujesz chyba! Snake? Dlaczego akurat Snake? Usiłowałem sobie przypomnieć, gdzie kto siedział, kiedy otwierałem Snake'owi drzwi. Do diabła. Każdy go mógł usłyszeć, kto ma choć trochę lepszy słuch. W końcu mówił scenicznym szeptem. Może chciał, żeby morderca usłyszał? Może coś sobie zaplanował, co zwróciło się przeciwko niemu? Nie pozwoliłbym zbliżyć się do siebie komuś, o kim wiem, że jest mordercą. Nie na tyle, żeby założył mi stryczek na szyję.

- Tu - szepnął Chain. Podeszliśmy bliżej. Na krzaku wisiał strzęp przegniłej skóry. Rozdzieliliśmy się znowu.

- Opowiesz mi o Quicku? - zagadnąłem.

- Nie mogę - odparł Peters. - Nie znałem go. Był prawie tak płochliwy jak Snake. Zwykle trzymał tylko z samym sobą. Żeby wydobyć z niego trzy słowa z rzędu, trzeba było użyć łomu. Uważał się za świetnego kochanka. Chcesz się czegoś dowiedzieć, to pogadaj z dziewczkami budy „Pod Czarnym Rekinem”. Mogę ci tylko powiedzieć, że generał go znał i miał wobec niego jakiś dług.

Mijałem knajpę „Pod Czarnym Rekinem” po drodze do domu Stantnora. Paskudna buda, choć rozważałem możliwość skosztowania miejscowego piwa. Teraz miałem tam iść służbowo.

- Chain, a ty wiesz coś o nim?

- Ja? Nie. Był taki skiśnięty, że wcale się nie zdziwiłem, kiedy odszedł. On i stary prowadzili przez cały czas jakieś konszachty. Olewał forszę, o ile wiem. Po prostu nie miał dokąd pójść.

- Tyler?

- Nie znałem go, ale wiem, że w tej knajpie był kimś. Gość był chyba wilkołakiem, bo zmieniał skórę, kiedy miał babę w zasięgu wzroku. Uznałem, że znalazł sobie miejsce, gdzie chciał być bardziej niż tutaj.

Fajnie. Żywi byli dziwakami, martwi jeszcze większymi.

Szliśmy dość szeroką ławą, ale i tak było nas za mało. Znajdowaliśmy kolejny ślad, kiedy już zgubiliśmy poprzedni. Rozstawiliśmy się jeszcze szerzej i szliśmy dalej. Postępy były niewielkie.

- Jak ci się zdaje, Garrett, kto to robi? - zapytał Peters.

- Nie mam pojęcia.

- Będzie wiedział, kiedy zostanie tylko jeden - zadrwił Chain.

- To by się mogło udać - przyznałem.

- A ja bym stawiał na Snake'a - wtrącił Tyler. — Na wyspach mu kompletnie odbiło. Jeśli za długo nie byliśmy w akcji, szedł sam na polowanie.

Znałem kilku takich. Byli to chłopcy, którzy uczepili się zabijania. Nie przeżyli. Śmierć ma zwyczaj pożerać swoich akolitów.

- Tutaj! - zawołał Peters. Znalazł w wysokiej trawie miejsce, gdzie upiórzec się zatrzymał. Odtąd wydeptany w trawie ślad był doskonale widoczny i prowadził na bagna, o których wspominał Peters.

- Słyszeliście kiedyś o Kef Sidhe?

- Kef co?

- Sidhe. Tak jak nazwa rasy. Kef sidhe to profesjonalni zabójcy. Religijni mordercy.

- Nie. Do licha, najbliżsi sidhe są o kilka tysięcy mil stąd. Nigdy takiego nawet nie widziałem. Ja też nie.

- Są trochę podobni do elfów.

- I co z nimi?

- Snake został uduszony garotą Kef sidhe. Nie jest to bardzo znana broń w tych stronach.

Peters wyglądał na zdziwionego, o ile mogłem stwierdzić w blasku latarni. Cholera, jakież on brzydki.

- A może wiecie coś o sztylecie paradyśnym pułkownika Venagetich? Widzieliście może coś takiego wśród pamiątek?

- Czarna rękojeść ze srebrnym medalionem? Długie ostrze?

- Tak.

- Mogę zapytać, o co chodzi?

- Możesz. Nie powiem ci, dopóki nie dowiem się czegoś więcej o sztylecie.

- Snake miał taki sztylet. Zabrał go pułkownikowi Venagetich, którego uciszył podczas jednego ze swoich prywatnych wypadów - odparł Chain.

-Psiakrew!

- O co chodzi?

- Ktoś wsadził mu go w pierś, kiedy garotą nie zadziałała dość szybko. - I kto by pomyślał? Nadziany na własny rożen? Cholera, zaraz się dowiem, że popełnił samobójstwo.

Nasz morderca miał prawdopodobnie więcej szczęścia niż rozumu i mnóstwo trików, które przypadkiem okazywały się skuteczne.

- Jasny gwint - mruknął Chain. - Chyba mamy problem.

- Co? - zapytał Peters.

- Patrzcie no.

Podeszliśmy bliżej. Trzymał latarnię najwyżej, jak mógł.

Teraz w trawie widać było dwa ślady, biegnące równolegle w odległości metra. Peters i ja spojrzeliśmy po sobie wymownie, a potem na Chaina.

- Tyler! Chodź no tu!

Tyler nie przyszedł. Jego latarnia wisiała na wysokości pół metra nad ziemią, gdy pochylał się, żeby coś sprawdzić.

- Czekaście chwilę...

- Co tam masz? - zapytałem. - Wygląda jak...

Coś jak ruchomy cień za nim..

- Uważaj!

Upiórzec złapał Tylera za gardło i uniósł. Strzelił kręgosłup. Tyler wydał z siebie pisk jak zarzynany królik, latarnia spadła na ziemię i rozbiła się. Ogień prysnął na stopy upiorca. Stwór podniósł Tylera nad głowę i cisnął w ciemność. Potem zwrócił się w naszą stronę.

- Rozdzielić się!

- Tym razem lepiej zrób coś, a nie gap się jak głupi! - warknął Chain.

Ogień płonął, dopóki był olej. Ale wilgotna trawa nie zajęła się. Upiórzec też nie. I jedno, i drugie było za wilgotne.

- Posiekamy go - szepnąłem. - Jak tamtego.

- Nie gadaj, tylko do roboty - warknął Chain.

Nie chciałem. Ale ten upiórzec nie był wybredny w wyborze celu. Nienawidził życia. Gdyby chodziło o Tylera, padłby sam, martwy, po dopełnieniu zemsty. Ale on chciał dopaść nas.

Nie miał wielu szans przeciwko naszej trójce. Byliśmy szybsi i uzbrojeni. Ale szedł. I szedł. I szedł. Trudno pociąć na kawałki coś, co właśnie cię goni.

Po kilku minutach strach i odraza nieco nas opuściły. Zacząłem myśleć.

- Czy ktoś z was wie, kto to był?

- Pączuś - odparł Chain. Skoncentrował się jak zegarmistrz, precyzyjnie odmierzając każdy gest i cios.

- Co za Pączuś? Co to za nazwisko?

- Przewisko - wyjaśnił Peters. - Naprawdę nazywał się Simon Riverway. Nie lubił tego nazwiska, a Pączusia tak. Tak go przeważały panienki w Fuli Harbor. Mówiły, że jest słodziutki jak pączuszek.

Dziwactwo. Walnąłem upiorca na odlew przez kark, zgarniając po drodze dłoń. Mój cios wbił mu się w nadgarstek do połowy, o jedną kość za blisko. Stwór ruszył na mnie, gdy usiłowałem złapać równowagę, zagarniając mnie drugą ręką.

Chwycił mnie za rękaw. Już myślałem, że jest po mnie. Chain dopadł go dwuręcznym ciosem znad głowy, w który włożył cały impet. Trafił stwora w ramię na tyle mocno, by nim zachwiać.

- Dzięki, Chain, masz to u mnie! - Odskoczyłem w tył o kilka metrów, uznałem, że pójdę w ślady Chaina, i odstawiłem latarnie na ziemię. Upiórzec doczepił się do mnie. Skorzystali z tego Peters i Chain. Peters naskoczył na niego od tyłu i ciał paskudnie przez prawe ścięgno Achillesa, zahaczając w drodze powrotnej o udowe. A stwór szedł dalej, choć już nie tak szybko jak przedtem. Wydawało się, że to trwa wieczność, ale go zamęczyliśmy. Padł i już nie mógł wstać. Pocięliśmy go starannie, dla pewności, zużywając mnóstwo energii, jaką naładował nas strach. Kiedy wreszcie skończyliśmy, wziąłem do ręki latarnię.

- Może lepiej przyczaić się do świtu. Jeśli były aż dwa, może i ich tu być więcej. Szukać można i za dnia.

- A mówiłeś, że nie chodzą stadami - poskarżył się Peters

- Może się myliłem? Nie chcę tego sprawdzać na własnej skórze. Wynośmy się stąd.

- Pierwsza mądra rzecz, jaką usłyszałem od ciebie - mruknął Chain. Zbadał Tylera. - Martwy. Myślisz, że to on ich pozabijał?

- Nie sądzę. Nie stawiałbym na to. Ten tutaj nie zastanawiał się, kto go zabił. Po prostu sam też chciał kogoś zabić.

- Jak w tym starym kawale o głodnym myszołowie? Zabierajmy się stąd, zanim Tyler wstanie i ruszy za nami. Tego już bym nie zniósł.

Nie sprzeczałem się. Zasadniczo upiorce powinny przeleżeć trochę w stanie nieżywym, zanim wstaną, ale nie miałem zamiaru sprawdzać prawdziwości tych historii na własnym grzbiecie.

Garret 04 Stare cynowe smutki

XX

Z

aledwie dotarliśmy do domu, popędziłem sprawdzić, co z Dellwoodem, Kaidem i Wayne. Byli na tylnym dziedzińcu. Rozpalili potężne ognisko i właśnie ładowali do niego kawałki pierwszego upiorca.

- Wrzućcie wszystko i wchodźcie do środka - poleciłem.

- Sir? - zaczął mnie Dellwood. Odzyskał już własną barwę.

- Może być ich więcej. Wpadliśmy na takiego, który za życia nazywał się Pączuś. Zabił Tylera. Lepiej nie sprawdzać, co jeszcze może na nas czyhać w ciemności.

Nie zwlekali dłużej. Nie zadawali pytań. Wsypali upiorca do ognia i ruszyli w stronę domu. Wlokłem się za nimi, myśląc o tym, co się dzieje z Morleyem.

Ci, którzy przeżyli, zebrali się wokół fontanny. Kiedy podszedłem, rozmawiali właśnie o Snake'u i Tylerze. Wayne i Kaid uważali, że drugi upiórecz dopadł właściwego człowieka.

- Nie jestem tego pewien - odpowiedziałem. - On chciał zabijać i Tyler go wcale nie zadowolił. Dellwood, sprawdź drzwi. Peters, czy są tu jeszcze jakieś inne wejścia?

- Kilka.

- Weź Kaida i Chaina i sprawdź je. Zostajemy w grupach po trzech, dopóki słońce nie wzejdzie.

- Po co? - spytał Chain.

- Morderca pracuje sam, a przynajmniej tak mi się wydaje. Jeśli na niego trafimy, mamy przewagę dwa do jednego.

- Aha.

- Zapytaj chłopców o to coś sidhe - odpowiedział Peters.

- Racja. Dellwood, Wayne, Kaid. Wiecie coś na temat Kef sidhe? A zwłaszcza garoty Kef sidhe? Zmarszczyli czoło. Dellwood zadyszał się trochę, biegnąc do a drzwi.

- A co to jest? - zapytał.

Opisałem przedmiot, który znalazłem na szyi Snake'a.

- Generał miał coś takiego w gabinecie.

Peters rozjaśnił się.

- Tak! Pamiętam to. Leżało razem z całą kupą innego złomu, pejczy i takich tam.. W kącie, koło kominka.

Przypominałem sobie pejcze, ale przyznam się, że nie zwracałem na nie szczególnej uwagi.

- Dellwood, następnym razem, kiedy będziesz w gabinecie, sprawdź, czy ciągle tam jest. Dowiedz się od generała, skąd ją ma. I spytaj, co się z nią stało, gdyby jej tam nie było. Dellwood skinął głową. Niechętnie go zwalniałem, ale nie mogłem zostawić na mojej liście podejrzanych. Jeśli odliczę Petersa, który musiałby być stuknięty, żeby mnie wynająć, gdyby był winny, nie zostało mi wielu podejrzanych.

Inni chyba też tak uważali. Chain, Kaid i Wayne nagle zaczęli trzymać się od siebie z daleka.

Peters wstał.

- Zaczekaj - zatrzymałem go. - Jest jedno pytanie, które powinienem był zadać już wcześniej. Byłem zbyt zajęty morderstwami, żeby pamiętać o kradzieżach. Czy ktoś z was miał może problemy z

prochami? Albo z hazardem? Albo ma jakąś babę na boku? - Takie słabości mogłyby wyjaśnić kradzieże.

Wszyscy zgodnie pokręcili głowami.

- Nawet Hawkes, Snake i Tyler? - Trzech w ciągu jednego dnia. Stary nie będzie zbyt uradowany wynikami mojej pracy, choć nie wynajął mnie akurat po to, żeby utrzymać swoich ludzi przy życiu.

- Nie - odparł Peters. - Nie przeżyjesz Kantardu, jeśli jesteś niewolnikiem swoich nałogów.

Prawda. Choć właśnie nałogi królowały w miejscach takich jak Fuli Harbor, gdy rzadko dostawaliśmy przepustki i urlopy. Fuli Harbor to piekło dla dzieciaków. Ale tam przynajmniej nauczyłeś się żyć. A kiedy wyjechałeś, byłeś już wolny od złudzeń.

Karenta nie zdążyła jeszcze ewakuować Full Harbor, choć Glory Mooncalled już zapowiedział, że mają się wynieść. Jego pięć minut już minęło. Wkrótce pewnie coś się tam stanie. Jakiś solidny wybuch. A Glory Mooncalled nie będzie miał swoich zwykłych forów. Nie będzie już ani szybszy, ani sprytniejszy, ba, nie będzie mógł nawet skrycie najechać warownego miasta, które czeka nań już od dawna. A jego przeciwnikami będą tu najwięksi czarnoksiężnicy Karenty. Przed nimi nie ma obrony.

Nie sądzę, żeby zdołał zająć Full Harbor. Ale na pewno spróbuje. Tym razem pyskował o jeden raz za dużo. Będzie musiał dotrzymać słowa.

Los Full Harbor nie miał teraz oczywiście żadnego znaczenia. Mieliśmy tu własne oblężenie, oblężenie przerażenia.

Grupa Petersa rozdzieliła się, żeby sprawdzić, czy nikt nie wdarł się do domu. Pozostali zatrzymali się przy fontannie, jako rezerwa. Po chwili zapytałem:

- Dellwood, co zamierzasz zrobić po najdłuższym życiu generała?

Spojrzał na mnie dziwnie.

- Właściwie nigdy się nad tym nie zastanawiałem, panie Garrett. Trudno mi było w to uwierzyć. Powiedziałem to na głos. Wayne zachichotał.

- Wierz mu, Garrett. Ten facet nie jest realny. On tu nie jest dla forsy. On się naprawdę opiekuje starym.

- Tak? A dlaczego ty tu jesteś?

- Trzy sprawy. Forsa. Nie mam dokąd iść. I Jennifer. Uniosłem brew. Ostatnio nie miałem wielu okazji, żeby używać mego ulubionego triku.

- Córka generała?

- Ta sama. Chcę ją mieć.

No, no. Niezłe wyznanie.

- A co na to generał?

- Nie wiem. Nigdy z nim o tym nie rozmawiałem. Nie zamierzam niczego zaczynać, zanim nie zejdzie.

- Co chcesz zrobić ze swoją częścią?

- Nic. Niech leży. Nie będę jej potrzebował, jeśli dostane Jenny, no nie?

No tak.

- Dlatego nie jestem twoim mordercą, mój panie. Nie muszę nikogo ukatrupić, żeby dostać połowę majątku.

Zgoda.

- A co na to Jennifer? - Do tej pory nie wykazywała żadnego zainteresowania Waynem.

- Prawdę? No, nie jest specjalnie oszołomiona. Ale nie dostała innych ofert i chyba raczej nie dostanie. W odpowiednim czasie sama przyjdzie.

Ładna postawa. Widać było, że facet dobrze wie, czego chce i jak to osiągnąć.

- A co ty o tym sądzisz, Dellwood?

- Niewiele, sir. Ale panna Jennifer będzie kogoś potrzebować.

- A co z tobą?

- Nie, sir. Nie mam wystarczająco silnej osobowości, żeby z nią żyć. A poza tym to dość niesympatyczna osoba.

- Doprawdy? - Już miałem zamiar rozwinąć temat, gdy Wayne podskoczył, wskazując na coś palcem.

Przez tylne drzwi widać było niewyraźny kształt. Szkło nie pozwalało dojrzeć szczegółów, ale przypuszczałem, że to Morley, bo zaczął szarpać za klamkę. Powoli podszedłem. Niech sobie poczeka.

Byłem w połowie drogi, gdy do szkła przylgnęła jakaś twarz. Teraz mogłem już rozróżnić zmienione rozkładem rysy. Przystanąłem.

- Jeszcze jeden. Bez paniki. Nie sądzę, żeby mógł się tu wedrzeć. Jeśli zdoła to zrobić, zejdziesz mu z drogi.

Zawróciłem do fontanny i usiadłem, zaniepokojony, ale nie wystraszony. Upiorce nie są bardzo niebezpieczne, jeśli jesteś przygotowany na spotkanie z nimi. Upiórzec w środku nocy jest dość nieprzyjemny, ale nie taki nieprawdopodobny... jeśli nie liczyć ataku na zdrowy rozsądek. W tym świecie może zdarzyć się prawie wszystko, i zdarza się, ale nigdy wcześniej nie miałem okazji zobaczyć trupa, który sobie wstał i spaceruje. Nigdy nie znałem nikogo, kto by je widział, jeśli nie liczyć wampirów, ale to całkiem osobna historia. One są ofiarami choroby i nigdy tak naprawdę nie umierają, tylko zapadają w rodzaj transu w pół drogi między życiem i śmiercią.

Jeden to niemiłe zdarzenie, dwa - podwójnie niemiłe zdarzenie, ale trzy to ciut za dużo, żeby zbudziły je jedynie nienawiść i głód zemsty. Nie jednej i tej samej nocy.

Masy wstające z martwych, znane z historii i legend zawsze były powoływane przez kogoś z zewnątrz, na przykład przez nekromantę. Przez czarownika.

- Hej, Dellwood. Czy ktoś tu nie jest przypadkiem szkolonym czarownikiem? Albo przynajmniej amatorem.

- Nie, sir. - Zmarszczył brwi. - Dlaczego?

- Może by nam trochę pomógł ukołysać do snu te niespokojne dusze - skłamałem.

- Snake - odezwał się Wayne. - On umiał robić takie dziwne rzeczy. Nauczył się od nekromantki.

Przez jakiś czas był jej gorylem. Namalował jej portret, a ona za to nauczyła go swoich sztuczek. - Prychnął pod nosem. Niezłe to musiały być sztuczki. — Ale nie był w tym za dobry.

- A teraz nie żyje.

- No właśnie. Tak się stąd wychodzi. Ale...

- A jeśli umiał myśleć jak czarownik?

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Co chcę...? Niech się zastanowię. Miałem się z nim spotkać. Zamierzał powiedzieć mi, kim jest morderca. Wydawał się pewny, że wie. Był ostrożny. Ale ktoś go dopadł pomimo jego wiedzy i ostrożności. A może wiedział, że tak się ma stać? A może, skoro już wiedział i chciał go załatwić, zrobił z siebie pułapkę?

- Ktoś tu ma nierówno pod sufitem..

- Pochlebca. Słuchaj, takie rzeczy się zdarzają. To klątwa, która się do ciebie przyczepia, gdy zabijesz czarownika. A co, jeżeli on skonstruował ją w ten sposób, że jeśli go zamordują, wszyscy inni, których zamordował jego morderca, wstaną i zaczną go ścigać?

- Może - burknął Wayne. - Znając tego stukniętego, zwariowanego bękarta, skonstruował ją tak, że wstaną i będą gonić wszystko, co się rusza.

To by też pasowało. Nieraz jestem tak błyskotliwy, że sam siebie oślepiam.

No i co dalej? Załóżmy, że to prawda. Wyjaśniłem obecność, upiorców, ale to niczego nie załatwiło. Morderca wciąż chodził wolny - o ile nie był nim Tyler. Nigdy się nie dowiemy, jeśli niej uderzy znowu.

Jeśli ma choć uncję rozumu, wycofa się, dopóki może jeszcze umknąć w jednym kawałku.

Mam takie zaufanie do ludzkiej natury.

- Panowie, padam z nóg. Idę spać.

- Sir - zaprotestował Dellwood.

- To paskudztwo tu nie wejdzie. - A wciąż próbowało. I nic mu z tego nie wychodziło. - Nasz morderca, jeśli jeszcze żyje ma wielką szansę. Może teraz zwalić wszystko na Tylera.

To się nazywa zasianie ziarna myśli u wolno myślących.

Byłem tak zmęczony, że nie mogłem już utrzymać otwartych oczu. Musiałem gdzieś się zakamuflować na kilka bezpiecznych godzin.

- Dobranoc wszystkim

Garret 04 Stare cynowe smutki

XXI

K

iedy wszedłem, Morley siedział w moim salonie, z nogami na blacie mojego biurka.

- Starzejesz się, Garrett, już nie możesz robić na nockę.

- He? - Właśnie miałem wszystko pod kontrolą. My, detektywi, mamy umysły niczym stalowa pułapka. Zawsze jesteśmy gotowi z celną ripostą.

- Słyszałem, jak przemawiasz do swoich oddziałów, pozbywasz się ich, żeby sobie pospać.

- To moja druga nocka z rzędu. Jak tu wlałeś? Wydawało mi się, że pozamykaliśmy wszystko.

- Może tak wam się zdawało. Sztuka polega na tym, żeby wejść do środka, zanim zaczną zamykać.

Poszliście gonić chodzącego nieboszczyka. A ja poszedłem do frontowych drzwi i sam się wpuściłem. Trochę powęszyłem w domu, a potem, kiedy pani trollowa zaczęła szczekać garnkami i talerzami, przyszedłem tutaj.

- Aha. - Miałem wrażenie, że błyskotliwość moich wypowiedzi tej nocy pozostawiała co nieco do życzenia. A może raczej tego ranka? Słabe, mdłe światło dnia przesączało się już przez okna.

- Zajrzałem do kuchni. Ludzie, co wy jecie. Jak ja się poświęcam!

Nie pytałem. Kucharka uwielbia sycące, wiejskie zarcie: ciężkie jak diabli, mięso, gęste sosy i placki. Mnóstwo tłuszczu. Ale to, co jadłem na mój pierwszy posiłek, chyba by mu nawet smakowało.

Powiedział, że zamierza tu zostać. Poszedł nawet jeszcze dalej.

- Uznałem, że przydałby ci się jakiś pomocny duch, żeby zrównoważyć ich upiory.

- He? - Wciąż jeszcze nie zdążyłem wrócić do siebie.

- Będę tu straszyl. Kręcił się po nocy, gdy nikt nie patrzy, robił rzeczy, które ty byś robił, gdybyś nie był zajęty ich uspokajaniem.

To miało sens. Miałem listę stu i jednej rzeczy, które chciałem zrobić, takich jak szukanie tajnych przejść i zakradanie się do pokoi, żeby powęszyć. Brakowało mi na to czasu, i pewnie dalej będzie go brakować, bo wciąż ktoś mi wisi u spodni.

- Dzięki, Morley. Będę ci wdzięczny.

- Jeszcze nie musisz, jeszcze nie. Ale zbliżamy się do wyrównania rachunku.

Miał na myśli parę brzydkich kawałów, które mi kiedyś wykręcił. Najgorszym było wniesienie trumny z wampirem w środku do domu człowieka, którego nie lubił. Nie ostrzegł mnie z jednego rozsądnego powodu: gdybym wiedział, tobym mu nie pomógł. Niczego się nie domyślałem, dopóki wampir nie wyskoczył.

A wtedy byłem z lekka zaskoczony.

Od tego czasu często rewanżował mi się drobnymi usługami.

- Opowiedz mi wszystko, żebym nie musiał wymyślać koła od nowa.

Najpierw wyjąłem chusteczkę.

- Ten katar zaczyna wyglądać nieładnie. Czuję, jak głowa zamienia mi się w przysłowiowy kłęb waty.

- Kwestia diety - odparł. - Jeśli jesz to co trzeba, nigdy nie? dostajesz kataru. Spójrz na mnie. Nigdy w życiu nie kichnąłem.

- Pewnie. - Elfy nie miewają kataru. Opowiedziałem mu wszystko, tak jakbym zeznawał Truposzowi. Jednocześnie miałem go na oku, obserwując reakcje. Kiedy już mi się wkręci do pomocy, zawsze znajdzie jakąś okazję, żeby skorzystać. Znałem go na tyle, że mogłem się zorientować, kiedy na coś się rzuca.

Najlepszym sposobem byłoby wynajęcie gangu i splądrowanie domu. Trudniej byłoby później uciekać przed podnieconą i żądną krwi klasą wyższą. Ale to by go chyba raczej nie powstrzymało. Samego generała Stantnora chyba raczej nie potrzebują, ale jako klasa nie tolerowałiby takiego precedensu. Każdy strażnik burzy, lord ognia, czarownik, nekromanta, i co tam jeszcze, wszyscy uznaliby za stosowne rzucić się na winowajcę i bardzo, ale to bardzo przykładowo go ukarać.

- A więc mamy tu trzy oddzielne wątki - podsumował Morley. - Kradzież. Być może morderstwo. I jedna masówka. Kradzież mamy nakręconą i idzie własnym torem, możemy o niej zapomnieć. Generał... trzeba coś zrobić, żebym mógł go obejrzeć ja i lekarz. Jeśli chodzi o drugiego mordercę, nic się nie wymyśli. Trzeba rozmawiać z ludźmi i eliminować podejrzanych.

- Nie ucz ojca dzieci robić, Morley. To moje zadanie.
- Wiem, wiem, nie skacz tak. Ja tylko głośno myślę.
- Zgadzasz się, że Dellwood i Peters wydają się mało prawdopodobni?
- Jasne. Wszyscy są tacy. Stary jest przykuty do łóżka, a nawet jeśli, trudno byłoby mu przypisać jakiś motyw.

Generała w ogóle nie brałem pod uwagę.
- Ten typ Kaid jest za stary na to tempo i nie dość silny, żeby rzucać pozostałymi chłopakami.
- Może. Cechą charakterystyczną mordercy jest podstęp. Stary człowiek potrafi być podstępny.
- Zgoda. Potem jest niejaki Wayne, który chce się ożenić z majątkiem. I kto nam zostaje, jeśli wszyscy inni są uczciwi?

- Chain. - Antypatyczny, kłótniwy, tłusty Chain, którego nie cierpiałem od pierwszego wejrzenia.
-I córunia. I może ktoś z zewnątrz. Nie wspominając o tym, który odszedł, ale nie zniknął, bo ktoś go zamordował.

- Czekaj, czekaj. Czekaj! Co ty mówisz?
- Masz czterech ludzi, którzy odjechali w siną dal, tak? Przypuszczalne zdolności nekromanty Snake'a Bradona przywołały trzech. A gdzie czwarty? I który to? Jakie były zapisy w testa-mencie, które ich dotyczyły?

Nie pamiętałem. Jeden chyba został wykluczony. Ale jeśli ktoś mógł dostać działkę, nawet jeśli go nie było w pobliżu, a wszyscy myśleli, że odszedł albo nie żyje, to ma teraz doskonałe pole do działania. Narobi świństw, a potem jakby nigdy nic zjawi się na czytanie testamentu.

- Ten, który dopadł Hawkesa, zawrócił w stronę domu.
- Zgubiłeś ślad. Też prawda.
- A jeśli to ktoś, kogo nie było w domu, mógł nie wiedzieć o tym, że generał spalił testament.
- No widzisz? Może działać dalej.

Znowu prawda.
- Ktoś chciał poczęstować mnie toporem.
- Jeszcze i to. Ale może to mieć związek z innymi twoimi kłopotami.
- Morley, jeśli będę próbował to rozwiązać, zwariuję. Nawet nie chcę o tym myśleć. Obdarzył mnie spojrzeniem, które wydawało się prawie złośliwe.

- Dobrze myślisz. Zgłupiałeś już dostatecznie.
- Słuchaj no - odparłem. - Teraz już nic nie robię, tylko się rzucam i próbuję sprawić, żeby coś się zaczęło dziać. Kiedy niegrzeczni chłopcy się zdenerwują, zrobią coś głupiego i się zdradzą.

- Masz styl, Garrett, nie ma co. - Morley zachichotał. - Jak byk morski. I co ci pomoże miotanie się dokoła, jeśli twoim mordercą był Tyler?

- Niewiele - przyznałem.

— A co z kucharką? Jeśli jest tu od czterystu lat, może uważać, że rodzina zawdzięcza jej coś więcej niż to, co zamierzał jej zaoferować stary.

Rozwazałem to już. Wziąłem pod uwagę fakt, że nieludzkie rasy myślą inaczej niż my, a trolle są dość prymitywne. Jeśli wejdiesz trollowi w drogę, to on ci przejdzie po grzbiecie i tyle.

- Kucharka ma alibi na czas śmierci Hawkesa. Poza tym, gdyby wsiadła na konia, a ten by się pod nią nie załamał, ich ślady byłyby głębokie na trzydzieści centymetrów.

- To tylko luźne rozważania. A jak to wygląda w przypadku podtruwania starego?

Wzruszyłem ramionami.

- Ma środki i możliwości, ale nie widzę motywu. Wychowała go od szczeniaka. Sądzę, że można tu nawet mówić o czymś w rodzaju miłości.

- Masz rację. - Prychnął. - Nie będziemy już nic wymyślać. Prześpij się z tym, a ja trochę sobie postraszę.

- Nie wchodź do sypialni - ostrzegłem. - Przygotowałem tam topór na przywitanie nieproszonych gości.

Postanowiłem wrócić na piernaty. Podłoga w garderobie była zdecydowanie zbyt twarda. Może przeniosę się później, tak jak planowałem.

Morley kiwnął głową i uśmiechnął się szeroko.

- Szkoda, że nie ma tu twojej zwykłej czeredy ślicznotek. Byłoby o wiele ciekawiej.

Z tym nie mogłem się nie zgodzić.

Garret 04 Stare cynowe smutki

XXII

W

ydawało mi się, że ledwie zasnąłem, kiedy ktoś zaczął walić w drzwi... choć światło w oknie świadczyło o czymś innym. Przekląłem tego kogoś. Nie jestem w najlepszym nastroju, kiedy ktoś mnie ściąga z łóżka.

Przewracając się na drugi bok, łypnąłem okiem. Nie od razu dotarło do mnie to, co zobaczyłem. To było niemożliwe. Głębiej wtuliłem się w puch.

I usiadłem, jakby ktoś wbił mi szpilkę w siedzenie.

Blondynka uśmiechnęła się, wypływając z drzwi mojej sypialni. Nawet nie wrzasnąłem, tylko wytrzeszczałem gały.

Jeszcze przed chwilą siedziała na brzegu łóżka i przyglądała mi się. Weszła tu i nie została przecięta na pół. Sprawdziłem pułapkę. Była tam i gapiała się na mnie, gotowa rozbryznać krew na pół hrabstwa, gdyby jakiś łotr zechciał współpracować i ją uruchomić. Siedzę tu i czekam, szefie.

A drzwi były otwarte.

Pułapka nie zadziałała.

Ciarki przeszły mi po grzbiecie. A jeśli to nie moja śliczna nocna adoratorka? A jeśli to ktoś obdarzony szczególnymi zdolnościami?

Wyobraziłem sobie, że zostałem przybity do łóżka niczym motyl na szpilce.

Zanim przebrnąłem przez wszystkie podejrzenia i rozważania, i wygramoliłem się z sypialni, blondynki już nie było. Nie korzystała z drzwi korytarza, w które jakiś cholerny kretyn walił bez pamięci, próbując zwrócić moją uwagę. Już mi się naraził, zaraz na wstępie.

Wziąłem moją „łamigłówkę” i wyszedłem zobaczyć, kogo diabli niosą o tak nieprzyzwoitej porze...

- Dellwood? Co się znowu dzieje?

- Sir? Nic się nie dzieje. Miał pan spotkać się dziś rano z generałem, to wszystko.

- Nooo. Przepraszam, byłem tak zajęty chrapaniem, że zapomniałem. Spóźniłem się na śniadanie, co? Do licha, i tak powinienem być na diecie. Daj mi dziesięć minut, żebym się upodobił do ludzi.

Spojrzał na mnie tak, jakby sądził, że i roku by mi na to nie wystarczyło.

- Tak, sir. Będę tam czekał na pana.

- Świetnie.

Starzeję się. Zajęło mi to więcej niż dziesięć minut. Minęło dwadzieścia, zanim pocłapałem przez poddasze do skrzydła starego. Myślałem o blondynce. Myślałem o Morleyu. Zastanawiałem się, dlaczego właściwie nie idę do domu. Ci ludzie to świry. Cokolwiek zrobię, w niczym nie pomogę prawdzie i sprawiedliwości. Powinienem zniknąć i wrócić za rok, żeby sprawdzić, jak się rzeczy mają.

Byłem w cudownym nastroju.

Dellwood czekał w korytarzu przed drzwiami generała. Wprowadził mnie. Wstęp był rutynowy. Dellwood wyszedł. Kaid za nim, ale najpierw sprawdził, czy temperatura i wielkość ognia jest odpowiednia i zbliżona do piekielnej. Spociłem się.

- Proszę siadać - zaproponował generał. Usiadłem.

- Czy Dellwood poinformował pana o wszystkim?

- O wydarzeniach w nocy? Tak. Czy wiesz, co się właściwie stało? Albo dlaczego?

- Tak. Ku memu zaskoczeniu. — Opowiedziałem mu o Snake'u. — Dellwood sugerował, że garota mogła pochodzić z tego pokoju.

- Kef sidhe? Tak, rzeczywiście, mam coś takiego. Odziedziczyłem ją po moim dziadku. Zetknął się z tym kultem na przełomie wieku, kiedy był jeszcze młodym porucznikiem z misją rozbicia kręgów zbrodni na wybrzeżu. Wtedy byli bardzo aktywni. Jeden z nie-ludzkich lordów zbrodni sprowadził kilku morderców sidhe. Garota powinna tam być razem z pejcjami i resztą.

Sprawdziłem.

— Nie ma jej tu. - Zdumienie nie powaliło mnie z nóg. Jego też nie. - Kto mógł ją zabrać?

- Każdy. W każdej chwili. Od lat nie zwracałem na nią uwagi.

- Kto wiedział, że tu jest?

- Wszyscy słyszeli, jak opowiadałem o przygodach mojego dziadka. I o przygodach wszystkich innych Stantnorów. Od śmierci mojego syna nie mam już przyszłości, w którą mógłbym spoglądać. Dlatego żyje chwałą przeszłości.

- Rozumiem, sir. Był dobrym oficerem.

- Służyłeś pod nim. - Twarz mu się rozjaśniła. Ostrożnie, Garrett. Albo spędzisz resztę czasu na wysłuchiwanie jeremiad starego.

- Nie, sir. Ale znałem ludzi, którzy służyli. Dobrze o nim mówili. To chyba wiele znaczy.

Jeśli weźmie się pod uwagę, jakich słów używają zaciężni w rozmowach o swoich oficerach.

- Istotnie. - Przeniósł się na chwilę do innych czasów, kiedy wszyscy byli szczęśliwsi... albo przynajmniej tak mu się teraz wydawało. Umysł to wspaniały instrument, gdy mowa o przeprojektowaniu historii.

Nagle powrócił do rzeczywistości. Pewnie przeszłość też nie była cała usłana różami.

- Upiorna noc. Opowiedz mi o tych martwych ludziach. Przedstawiłem mu swoją teorię o tym, że to Snake ich obudził.

- Możliwe - odparł. - Całkiem możliwe. Niewidzialna Czarnucha była właśnie taką dziwką, która uznała, że to zabawne uzbroić niewykształconego Marine w narzędzia umożliwiające coś takiego.

Imię nic mi nie mówiło, poza tym, że inna czarownica także je przyjęła. Jej prawdziwe nazwisko brzmiało prawdopodobnie Henrietta Sledge.

- Czy nie masz nic weselszego do powiedzenia, Garrett? — Jeszcze nie.

- A podejrzani?

- Nie, sir. Podejrzani są wszyscy. Mam problemy ze zrozumieniem całej sytuacji. Nie znam jeszcze tych ludzi zbyt dobrze.

Spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakby chciał powiedzieć, że powinienem być żywą ilustracją jednego z haseł Korpusu: „Trudne sprawy załatwiamy natychmiast, niemożliwe zajmują trochę więcej czasu”.

- I co teraz będziesz robił?

- Macam w ciemności. Rozmawiam z ludźmi, dopóki czegoś nie wychwyć. Wstrząsnę nimi. Tej nocy przyszła mi do głowy pewna myśl. Człowiek, który załatwia pozostałych, może być jednym z tych, którzy pana opuścili... jeśli uważa, że będzie mógł zjawić się dopiero na czytaniu pańskiego testamentu.

- Nie, przyjacielu. Każdy z moich ludzi dołączył do mnie po demobilizacji na mocy pewnej umowy. Aby pozostać w kręgu wybrańców, musiał pozostać tutaj.

Teraz jakbym stracił do niego trochę szacunku. Przekupił ich i wymusił pozostanie, żeby nie być

samotnym. A więc żaden filantrop. Jego motywy były całkowicie egoistyczne.

Generał Stantnor był maską. A za nią krył się ktoś nie całkiem sympatyczny.

Nie nazwałbym tego świętym przekonaniem, lecz przecuciem, w którego prawdziwość wierzyłem. Wstrętny, złośliwy staruch w starannie przygotowanym przebraniu.

Przyjrzałem mu się nieco uważniej. Nie wyglądał zbyt dobrze. Chwila spokoju chyba się skończyła i wrócił na swoją drogę do piekieł.

Przypomniałem sobie, że nie do mnie należy osąd.

A potem przypomniałem sobie, że kiedy coś sam sobie przypominam, to zwykle szukam usprawiedliwienia.

Ktoś zastukał do drzwi. To zaoszczędziło mi zmieszania, a generał stracił jedyną okazję, żeby się zrehabilitować.

Czułem, że tak będzie.

- Wejść.

Dellwood otworzył drzwi.

- Jest tu pan Tharpe i chce się widzieć z panem Garrettem. Generał spojrzał na mnie.

- To człowiek, który próbuje dla mnie wysledzić pewne przedmioty - wyjaśniłem.

- Przyrowadź go tu, Dellwood. Dellwood zamknął drzwi.

- Tutaj? - zdziwiłem się.

- Czy może mieć do powiedzenia coś, czego miałbym nie słyszeć?

- Nie. Po prostu nie chciałem przeszkadzać. - Ależ nic z tych rzeczy.

Diabli nadali. Znowu szuka darmowej rozrywki. Nic go nie obchodzi, co Saucerhead ma mi do powiedzenia. Po prostu nie chce być sam. :

- Panie Garrett, czy mógłby się pan pofatygować dla mnie i dołożyć do ognia?

Jasna cholera. Już miałem nadzieję, że nie zauważył, jak piekielny ogień przygasł do poziomu wulkanu. Ciekawe, czy Kaidowi wystarcza czasu na znoszenie paliwa.

Saucerhead przyniósł ze sobą torbę. W jego łapsku wydawała się zupełnie malutka. Jest wielki jak niedźwiedź. Dellwood wydawał się cokolwiek onieśmielony. Stary za to był pod wrażeniem.

- Jak go kucharka zobaczy, to się zakocha - zaskrzeczał. To był pierwszy raz, kiedy z jego ust usłyszałem żart. - To wszystko, Dellwood.

Dellwood wyszedł.

Saucerhead otarł czoło.

- Hej, Garrett, nie mógłbyś trochę uchylić tego cholernego i okna? Co to za stara śliwka?

- To szef. Bądź grzeczny.

- Dobra.

- Co jest? - Byłem zaskoczony, że się pofatygował aż tu, biorąc pod uwagę, ile mu płacę.

- Chyba znalazłem jakieś rzeczy. - Wywalił zawartość torby na biurko. Srebrne lichtarze. Nie byłoby w nich nic ciekawego, gdyby srebro nie osiągało ostatnio takich cen.

- Generale, czy to pańskie? - zapytałem.

- Spójrz na podstawy. Jeśli należą do rodziny, powinny mieć pieczęć konika morskiego obok próby.

Spojrzałem. Były tam małe morskie stworki.

- No to chyba mamy poszlakę. Co mi opowiesz, Saucerhead? Głos Saucerheada przypominał kwiczenie świni. Wcale nie pasował do jego postury.

- Gadałem sobie z koleśkami wczoraj u Morleya i kłamałem na robotę. Że niby nic się nie posuwa. Gadaliśmy o tym i owym, wiesz, jak to jest. A potem jeden facet spytał, czy może byłaby nagroda za

te rzeczy. Nie wiedziałem, bo nie mówiłeś Morleyowi nic takiego, ale powiedziałem, że możliwe, i zapytałem, czy coś wie.

- A w kilku słowach?

- Znał paserów, których ja nie znałem. Goście z zewnątrz. No więc dzisiaj rano poszedłem ich sprawdzić. U pierwszego znalazłem świeczniki. Trochę żeśmy pogadali. Trochę mu pogroziłem. On się trochę przestraszył. Wspomniałem, że wiem, że jeszcze nie został przedstawiony kacykowi, a ja jestem jednym z osobistych Chodo, więc mogę mu załatwić prezentację. A on nagle zrobił się chętny do pomocy. Pożyczył mi te świeczniki. Obiecałem, że je odniosę.

Co oznaczało, że gdyby generał wyciągnął po nie łapę i próbował odzyskać, Saucerhead przeszedłby mu po grzbiecie i po grzbietach reszty domowników. Zawsze dotrzymuje obietnic.

- Kojarzę. A czy paser może wskazać złodzieja?

- Nie wie nic. Kupił to hurtem od gościa z zagranicy. Ale sprzeda nazwisko hurtownika.

- Rozumie pan, generale?

- Tak mi się wydaje. Ten dealer skradzionych przedmiotów kupił je od innego dealera bliżej nas.

Za pewną cenę wyda tego człowieka.

- Zgadza się.

- Idź wybij to z niego.

- To tak nie działa, generale. Zaoferował uczciwą transakcję. Musimy stosować się do jego warunków.

- Robić interesy z kryminalistami, jakby byli uczciwymi ludźmi

- Całe życie pan to robi z tymi bandytami z Góry. Ale nie kłóćmy się. Mamy ślad. Możemy już dzisiaj załatwić sprawę kradzieży. Saucerhead, ile ten facet chce?

Myślałem teraz długofalowo. Paser bez powiązań? Będzie potrzebował kumpli. Można go dożywiać, głaskać po główce, a pewnego dnia stanie się dobrym źródłem informacji - być może. Jeśli zostanie przy życiu. Ludzie nie boją się paserów tak, jak boją się Morleya Dotesa i Chodo Contague'a.

Saucerhead wymienił uroczo niską cenę.

- To okazja, generale, Możemy na to iść. Ile jeszcze chce pan stracić, żeby zaoszczędzić te kilka marek?

- Weź je od Dellwooda. On się zajmuje domowymi finansami! Zabrzmiało to jak jedyna możliwa wymówka, żeby opuścić to miejsce.

- Zajmę się tym, sir.

Może Stantnor wyczuł, że się źle czuję. Nie protestował. Ale w jego oczach dostrzegłem chyba urazę.

Nigdy nie widziałem czegoś takiego u starszej osoby, ale nie znam ich wiele. Widziałem to u dzieci, ten sam ból, że dorósł nie ma dość czasu, by się nimi zajmować.

Ugodziło mnie to w pewne miejsce, dzięki któremu wciąż jeszcze zaliczam się do dobrych ludzi. Poczucie winy. Zazdroszczą Morleyowi, że go nie ma. Morley nigdy nie czuje się winny. Morley robi to, co chce, albo to, co musi zrobić, i jest zdziwiony zachowaniem tych, którzy mieli kiedyś matki. Skąd się to wzięło to dręczące małe paskudztwo?

Garret 04 Stare cynowe smutki

XXIII

T

en stary nie wygląda najlepiej, Garrett. - zauważył Saucerhead. - Co mu jest?

- Nie wiem. Ty pomożesz mi się dowiedzieć. - Co?

- Dellwood, generał powiedział, żebyś dał mojemu przyjacielowi pewną kwotę na niezbędne wydatki. Ile potrzebujesz, Saucerhead? - Dałem mu szansę rekompensaty za fatygę.

Nie załapał. Nie jest zbyt mądry.

- Dwadzieścia. Jeśli facet mnie wykiwa, wyrwę mu uszy. Zrobi to. I zawiąże na kokardkę.

- Najpierw nazwisko. Potem facet. Jasne? Ale znajdź jakiegoś lekarza i przyprowadź go tu.

- Lekarza? Nie nadążam za tobą, Garrett. Po jasną cholere ci lekarz?

- Żeby spojrzeć na starego. On ma coś z głową na punkcie łapiduchów. Jedyne sposoby, by podejść generała, to zrobić go w konia.

- Ty płacisz fracht.

- Spiesz się, jak możesz. - Jasne. Podobno był za głupi na sarkazm, ale i tak wyczuwałem w tym słowie potężny ładunek.

Dellwood dał mu dwadzieścia marek. Saucerhead wyszedł. Podszedłem do drzwi frontowych, obserwując, jak odjeżdża powozem, który pewnie wypożyczył od naszego wspólnego kumpla Kochasia. Pomruczałem trochę nad jego rozrzutnością. Stary dał mi ładną zaliczkę, ale nie wiedziałem, że będę miał aż tyle wydatków.

Dellwood dogonił mnie w holu.

- Czy mogę zapytać, o co w tym wszystkim chodzi, sir?

- Możesz zapytać. Co nie znaczy, że ci odpowiem. Część zadania. Powiesz generałowi, że napuszczam na niego lekarza?

Przemyślał to sobie.

- Nie, sir. To właściwe. Z wyjątkiem wczorajszego wieczoru, bardzo szybko podupada na zdrowiu. Udaje dziś że mu lepiej, ale ostatnia noc go zżarła. Jeśli jest jakiś sposób... Proszę mi powiedzieć, jeśli będę mógł pomóc w tym spisku.

- Powiem. Mam dziś dużo do zrobienia. Powiem ci, zanim Tharpe wróci.

- Doskonale, sir.

Rozstaliśmy się. Poszedłem na górę, żeby sprawdzić, czy Morley wrócił do apartamentu. Miał do odegrania pewną rolę. Kiedy dotarłem na górny balkon, zobaczyłem moją przyjaciółkę w bieli po drugiej stronie. Pokiwałem jej ręką. Ku mojemu zdumieniu, odpowiedziała takim samym gestem.

Morleya nie było. Cały on - nie ma go pod ręką, kiedy jest mi potrzebny. Bezmyślny typ. Chwyciłem płaszcz i wyszedłem.

Blondynka wciąż tam była. Nie patrzyła w moją stronę. Postanowiłem jeszcze raz spróbować i podkraść się. Przemknąłem po stryszku, na drugą stronę i zszedłem na dół.

Ha! Jeszcze tam jest!

Tyle że... poniosła mnie wyobraźnia. To nie była moja blondynka, tylko Jennifer, odziana w biel, i to nie taką samą jak tamta. Kiedy do niej podszedłem, uśmiechnęła się jakoś smutno.

- Co się stało? - spytałem.

- Życie - odrzekała i oparła się łokciami o poręcz. Podeszedłem bliżej, zachowując jednakże odległość kilku kroków. Poniżej, w dole, rycerz wciąż pozostawał spleciony w śmiertelnych zmaganiach ze smokiem. Chain przeszedł, nawet na nich nie spojrzął. Wiedziałem, jak się czuje rycerz. My, bohaterowie, lubimy otrzymywać aplauz za nasze wysiłki.

Odpowiedziałem Jennifer jednym z „Uhm?”, oznaczających, że słucham, jeśli i ona ma ochotę podzielić się swymi problemami.

- Garrett, czy ja jestem brzydka? Spojrzałem na nią. Nie, nie była.

- Raczej nie. - Znałem wiele równie pięknych kobiet, które nie były pewne swojej urody. - Chłopak, który tego nie widzi, pewnie jest martwy.

- Dzięki. - Dostrzegłem ślad uśmiechu, ślad ciepła. Przesunęła się o jakieś kilka centymetrów w moją stronę. - To mi pomaga. - Zrobiła półminutową przerwę. - Ale nikt tego nie widzi. Nawet tego, że jestem kobietą.

I jak tu powiedzieć babce, że to nie chodzi o jej urodę, ale o wnętrze? Że, choć taka śliczna, sprawia wrażenie pajęczycy czarnej wdowy?

Nie mów tego. Musisz kręcić, żeby uniknąć okrucieństwa i nienawiści.

Nawet teraz, kiedy stała w pobliżu, pragnąc stać się czymś obiektem pożądania, nie mogłem się doszukać w sobie żadnego zainteresowania.

Zacząłem się o siebie martwić.

- Nie zauważasz mnie.

- Zauważam, i to jeszcze jak. - Tylko ktoś o mocno zwichniętych standardach, może człowiek-szczur, powiedziałby jej prawdę prosto w oczy. - Ale jestem zajęty.

Wyjście dobre jak każde inne.

- Ach, tak. - I znów ten nieskończony smutek. No właśnie. Smutek. Smutek, który ciągnie się od pierwszych dni jej życia. Przepaść, która może pochłonąć świat. - Jak ma na imię?

- Tinnie. Tinnie Tate.

- Czy jest ładna?

- Tak. - Mój rudzielec jest tej samej klasy co Jennifer. To znaczy, że mógłbyś dla niej wyć do księżycy. Ale mamy swoje problemy. Jednym z nich jest to, że dążymy donikąd. Taki układ „razem źle, osobno jeszcze gorzej”, a żadne z nas nie ma dość odwagi, żeby zaryzykować pełniejsze zaangażowanie.

Mogłem, z Mayą... A może ona tak często powtarzała, że za mnie wyjdzie, iż uznałem tę możliwość. Ciekawe, co teraz robi Ciekawe, czy przypadkiem nie oczekuje, że ją odnajdę. Ciekawe, czy kiedykolwiek wróci.

- Bardzo jesteś zamyślony, Garrett.

- To wszystko przez Tinnie. I to miejsce... ten dom.

- Nie przepraszaj. Mieszkam tu. Wiem. To smutne miejsce Miasteczko duchów, nawiedzane przez to, co mogłoby się stać. Niektórzy z nas żyją przeszłością, inni przyszłością, która nigdy nie przyjdzie. A kucharka żyje w całkiem innym świecie, jest opoką, na której wszyscy się opieramy.

Nie mówiła do mnie, raczej próbowała ubrać w słowa swoje uczucia.

- Od frontowych drzwi odchodzi droga, Garrett. Nie ma więcej jak półtora kilometra. Po jej drugiej stronie jest TunFaire, Karenta, cały świat. Nie przeszłam przez tę bramę, od kiedy skończyłam czternaście lat.

- A ile masz teraz?

- Dwadzieścia dwa

- Co cię tutaj trzyma?

- Nic, tylko ja sama. Boję się. Wszystko, czego pragnę w moich złudzeniach, znajduje się właśnie tam. A ja boję się tam jechać i zobaczyć. Kiedy miałam czternaście lat, kucharka zabrała mnie do miasta na targowisko. Tak bardzo chciałam jechać. To był ten jeden jedyny raz, kiedy wyjechałam poza posiadłość. Przeraziło mnie to

Dziwne. Najpiękniejsze kobiety nie mają z tym problemów, bo przez całe życie ktoś nad nimi czuwa.

- Znam moją przyszłość. Ona także mnie przeraża.

Spojrzałem, przekonany, że ma na myśli Wayne'a. Też bym był zaniepokojony, gdybym był obiektem takich planów.

- Zostanę tu, w sercu tej twierdzy, i zamienię się w starą, szaloną kobietę, a dom zawali się wokół mnie i kucharki. Nigdy nie zdobędę się na to, żeby sprowadzić robotników i wyremontowali dom. Obcy mnie przerażają.

- Nie zawsze musi tak być.

- Musi. Mój los został przesądzony tego dnia, kiedy się urodziłam. Może, gdyby mama żyła... Ale też pewnie niczego by nie zmieniła. Sama była dość dziwna, z tego, co słyszałam. Córka lorda ognia i strażniczki burz, wychowana w środowisku równie zimnym jak moje, poślubiona mojemu ojcu na podstawie umowy pomiędzy jego i jej rodzicami. Nie znali się przed ślubem, ale i tak ją pokochał. To, co się stało, naprawdę go zraniło. Nigdy o tym nie wspomina. Nie chce o niej mówić. Ale ma w sypialni jej portret. Nieraz tylko leży w łóżku i patrzy na nią godzinami.

I co możesz odpowiedzieć komuś, kto mówi ci takie rzeczy? Nie możesz pocałować i podmuchać, żeby nie bolało. Niewiele możesz zrobić. Ani powiedzieć. A ja powiedziałem:

- Idę na spacer. Może weźmiesz płaszcz i pójdiesz ze mną?

- Czy jest bardzo zimno?

- Nie aż tak. - Zima dopiero się straszyla, krzątała, trochę blefowała, zbyt tchórzliwa, żeby po prostu wskoczyć i zmrozić świat. Dla mnie to lepiej. Zima nie jest moją ulubioną porą roku.

- Dobrze. - Odepchnęła się od poręczy i skierowała w stronę schodów, wiodących w dół, do jej apartamentu. Powlokłem się za nią. Nie protestowała, dopóki nie dotarliśmy do jej drzwi. Wtedy stała się nerwowa. Nie chciała, żebym wszedł.

W porządku. Na razie jej forteca niech pozostanie niezdobyta. Zawróciłem do korytarza.

Jeśli miałem wątpliwości co do jej braku obycia towarzyskiego, zmieniłem zdanie, kiedy wróciła po niecałej minucie. Nie znam kobiety, która nie spędziłaby pół godziny na zmianie obuwia. A ona zrobiła nie tylko to, lecz włożyła jeszcze bardzo rozsądny płaszcz zimowy, typu wojskowego, który świetnie na niej leżał. Skupiałem uwagę na jej twarzy. A twarz sprawiła mi ból, gdyż drzemało w niej ukryte takie piękno, jakiego nie umiałem sobie wyobrazić. I wszystko na marne. Taka twarz, jak wspaniały obraz, powinna być wystawiona na widok publiczny, by cieszyć oczy.

Zeszliśmy na dół, do wielkiego holu, mijając po drodze rzędy przodków Stantnorów, którzy spoglądali na nas z wielką dezaprobatą. Tak samo powitał nas Wayne, który chyba myślał, że próbuję go wykołegować z interesu.

Nie było tak ciepło, jak obiecywałem. Od czasu, gdy odprowadzałem Saucerheada, zerwał się wiatr. Nieźle szczypał, ale Jennifer nawet tego nie zauważyła. Zeszliśmy ze schodów. Poprowadziłem ją tą samą drogą, którą szliśmy wczoraj z Chainem, Petersem i Tylerem.

- Może chciałabyś zobaczyć miasto? - zapytałem. - Gdybyś mogła to zrobić bezpiecznie i spokojnie, chciałabyś?

Miałem zamiar napuścić na nią Saucerheada. On jakoś potrafi sprawić, że kobieta poczuje się bezpiecznie... choć gustuje raczej w panienkach mających mniej niż półtora metra wzrostu.

- Już za późno. Jeśli chciałbyś mnie uratować.

Nie odpowiedziałem. Moją uwagę przykuły ślady wczorajszej nocy.

- Widziałam dzisiaj coś dziwnego - odezwała się, nagle zmieniając temat. — Nieznanego mi mężczyznę. Szukałam go właśnie tam, gdzie mnie spotkałeś, ale już go nie było.

Morley. Na pewno.

- Może chłopak mojej blondynki?

Spojrzała na mnie ostro. Był to pierwszy raz, kiedy podniosła wzrok, odkąd opuściliśmy dom.

- Żartujesz sobie ze mnie?

- Nie. Może z sytuacji. Ciągłe widuję jakąś kobietę. Tyle że nie widzi jej nikt inny. A przynajmniej nikt nie chce się do tego przyznać. Teraz i ty zaczynasz widywać duchy.

- Garrett, ja go widziałam.

- Nie mówię, że nie.

- Ale mi nie wierzysz.

- Ani wierze, ani nie wierze. Moją główną zasadą jest zachowanie otwartego umysłu - drugą jest pamiętanie, że wszyscy kłamią.

Dotarliśmy do miejsca, gdzie zginął Tyler. Ciała nie było. Upiorca też nie. Krążyłem przez chwilę, próbując dojść, co się stało. Nic z tego. Miałem tylko nadzieję, że to Peters i reszta ich zabrali. Muszę sprawdzić.

Wiatr szczypał w twarz, trawa była brązowa, niebo szare a ponury dom Stantnorów wisiał nad nami jak burzowa chmura rozpaczy. Spojrzałem na sad, na te wszystkie nagie gałęzie wyciągnięte ku niebu. Wiosna nadejdzie dla drzew, ale nie dla Stantnorów.

- Lubisz tańczyć? - zapytałem. Może uda mi się sprowadzić radość do tego miejsca, choćby na ostrzu miecza.

- Nie wiem - udało jej się zażartować. - Nigdy nie próbowałam.

- Hej, chyba robimy postępy! Zaraz się uśmiechniesz. Przez jakieś pół minuty nie odpowiadała, po czym znów walnęła mnie obuchem.

— Jestem dziewczicą, Garrett.

Nic zaskakującego. To się rozumiało samo przez się. Ale po co mi to mówi?

- Tego dnia, kiedy mnie przyłapałeś na grzebaniu w twoim plecaku, przypuszczałam, że jesteś tym, który to zmieni. Ale nie jesteś, prawda?

- Raczej nie.

- Peters mnie ostrzegał...

- Że mam odpowiednią opinię? Może. Ale w tej sytuacji po prostu się nie godzi. Musimy być w porządku, Jennifer. - Ostrożnie, Garrett, ostrożnie. Piekło nie zna takiej furii... i tak dalej. -Nie możesz tego pragnąć tylko z tej przyczyny, że już nie chcesz być dziewczicą. Powinnaś to zrobić tylko dlatego, że właśnie tego pragniesz. Ponieważ jesteś z kimś szczególnym i chcesz z nim dzielić szczególną chwilę.

- Jak będę chciała kazania, zgłoszę się do kucharki.

- Przepraszam. Próbowałem ci tylko powiedzieć, co ja o tym myślę. Jesteś śliczną kobietą. Jedną z najpiękniejszych, jakie w życiu widziałem. Ludzie tacy jak ja mogą tylko śnić o tobie. Gdybym był gościem, który potrafi wykorzystać kobietę i odrzucić, jak ogryzioną kość, rzuciłbym się na ciebie bez chwili namysłu. I nie obchodziłoby mnie, że to cię boli.

Chyba pomogło.

Wierzcie mi, ta cała analiza i dreptanie na kocich łapkach sprawiły, że stałem się okropnie nerwowy i miotałem się w tłumie mieszanych uczuć.

- Myślę, że chyba rozumiem. To naprawdę miłe z twojej strony.

- To cały ja. Pan Miły Gość. Za każdym razem muszę się wywijać gadką z kręgu zwycięzców.

Spojrzała na mnie wilkiem.

- Przepraszam. Nie jesteś przyzwyczajona do mojego poczucia humoru.

Powoli szedłem wzdłuż śladów upiorców, wspiałem się na łagodne wzniesienie i skierowałem ku rodzinnemu cmentarzowi. Jennifer wydawała się zbyt zaaferowana, by zauważyć, dokąd zmierzamy. Po kolejnych pięćdziesięciu metrach przystanęła.

- Zrobiłbyś coś dla mnie?

- Jasne. Nawet to, o czym rozmawialiśmy, gdyby kiedykolwiek to było w porządku.

Malutki, spięty uśmiezek.

- Dotknij mnie.

- Hę? - znów rozpruł się worek z moimi błyskotliwymi ripostami.

- Dotknij mnie.

Co u licha? Wyciągnąłem dłoń, dotknąłem jej ramienia. Uniosła rękę, chwyciła moją i przesunęła do policzka. Delikatnie dotknąłem go palcami. Miała najbardziej jedwabistą skórę, jakiej w życiu dotykałem.

Zaczęła drżeć. I to okropnie. Oczy napelniły jej się łzami. Odwróciła twarz, nie wiem, czy była zakłopotana, czy przestraszona. Po chwili wyprostowała się i ruszyliśmy dalej. Gdy dotarliśmy do, niskiego ogrodzenia otaczającego cmentarzyk, powiedziała:

-I to by było wszystko.

- Co?

- Nikt wcześniej mnie nie dotykał. Nigdy. A jeśli nawet, to byłam za mała, żeby pamiętać. Podejrzewam, że może kucharka, kiedy mnie przewijała, robiła wszystko, co się robi z niemowlęciem.

Zatrzymałem się jak wryty, obejrzałem na to ponure, stare domiszcze. Nic dziwnego, że jest takie cholernie ponure. Spojrzałem na nią.

- Chodź tu.

- Co?

- Po prostu chodź tu.

Kiedy podeszła bliżej, przyciągnąłem ją do siebie. Była sztywna jak żelazny słup. Obejmowałem ją przez chwilę, po czym puściłem.

- Może jeszcze nie jest za późno. Każdy kiedyś musi kogoś dotknąć. Trzeba nie być człowiekiem, żeby nie chcieć.

Teraz rozumiałem, czego potrzebowała, kiedy chciała przestać być dziewicą. Seks nie miał z tym nic wspólnego. Może sama sobie tego nie uświadamiała, ale uważała, że seks jest ceną, jaką musi zapłacić, żeby dostać to, czego pragnie.

Ileż to razy Morley powtarzał, że jestem naiwniakiem, łasym na zbłąkane i kulawe owieczki? Więcej, niż chciałbym pamiętać. I ma rację... jeśli pragnienie ukojenia czyjegoś bólu oznacza, że się jest łasym naiwniakiem.

Minąłem furtkę cmentarzyka i ująłem dłoń Jennifer. Dziewczyna zahaczyła o coś rąbkiem sukni, która chyba nie była uszyta z myślą o przechadzkach po wiejskich drózkach. Zakłęta pod nosem. Podtrzymałem ją, dopóki się nie uwolniła, rozglądając się wokół. Mój wzrok padł na nagrobek wyraźnie nowszy od pozostałych, bardzo zwyczajny, niczym kamień przy drodze. Zwykła płyta granitu z wyrytym napisem: Eleanor Stantnor. Nawet nie było na nim daty.

- To moja matka - powiedziała Jennifer, podchodząc bliżej. I to wszystko? Tak wygląda miejsce

spoczynku kobiety, która zrujnowała tyle ludzkich istnień i zmieniła dom Stantnorów w siedzibę rozpaczy? Myślałby kto, że zbudują jej świątynię... oczywiście. To dom stał się jej mauzoleum, jej pomnikiem. Dom zniweczonych snów.

Jennifer zadrżała i przysunęła się bliżej. Objąłem ją ramieniem. Kąsający lodowaty wiatr, szary dzień i cmentarz. Ja też potrzebowałem czyjejś bliskości.

- Przemyslałem to sobie - odezwałem się. - Nie wiem dlaczego, ale spędź dziś ze mną noc.

Nie wyjaśniałem. Nie powiedziałem nic więcej. Ona też nic nie powiedziała. Żadnych protestów, zaskoczenia, oskarżenia. Tylko leciutko zeszywniała, co stanowiło jedyny znak, że usłyszała.

Był to prawie impuls, zainicjowany przez tę część mojej osoby, która nie lubi oglądać ludzkiego cierpienia.

Może istnieje coś takiego jak karma. Nasze dobre uczynki zwykle bywają nagradzane. Gdybym stłumił w sobie ten impuls, pewnie byłbym dziś martwy.

Garret 04 Stare cynowe smutki

XXIV

S

taliśmy tak, gapiąc się na nagrobek.

- Co wiesz o swojej matce? - zapytałem cicho.

- Tylko to, co już ci powiedziałam. To, co mi opowiadała kucharka. Ojciec nigdy nic o niej nie mówił. Po jej śmierci zwolnił wszystkich, z wyjątkiem kucharki, więc nikt inny nie mógł mi nic opowiedzieć.

- A twoi dziadkowie?

- Nic o nich nie wiem. Mój dziadek Stantnor umarł, kiedy byłem niemowlęciem. Babcia Stantnor odeszła, gdy ojciec był dzieckiem. Nie wiem, kim byli dziadkowie ze strony matki, poza tym, że ona była strażniczką burz, a on lordem ognia. Kucharka nie chciała mi powiedzieć. Myślę, że stało im się coś złego, a ona nie chce, żebym o tym wiedziała.

Ting! W głowie rozdzwonił mi się malutki dzwoneczek.

Ulubioną rozrywką naszej klasy panującej jest spiskowanie w celu przejęcia tronu. Ostatnio trochę im przeszło, ale bywały czasy, gdy zmienialiśmy królów jak majtki. Jednego roku mieliśmy ich trzech.

Kiedy miałem siedem albo osiem lat, była wielka rozróżba. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy urodziła się Jennifer.

Jakaś nieudana próba zabójstwa, tak paskudna i podła u samego źródła, że niedoszła ofiara wkurzyła się, całkiem zresztą słusznie, i zrobiła czystkę. Żadnych przebaczanek i abolicji. Szyje zaznajamiała się ze sznurem. Głowy i ciała szły każde w swoją stronę. Ręce i nogi rozpięzchły się po całym królestwie i były grzebane na rozstajach dróg. Konfiskowano ogromne majątki. Nie były to dobre czasy dla krewnych konspiratorów, nawet bardzo dalekich.

W moim środowisku mieliśmy z tego zamieszania świetną zabawę, gdy klasa panująca ścigała własny ogon, który ostatecznie przytrzasnęła sobie drzwiami. Każda metafora w tym stylu była dobra. Kiedy dzieją się takie rzeczy, wszyscy z zewnątrz mają szczerą nadzieję, że tłuszcza w końcu ich zeżre. Ale to się nigdy nie udaje. Odławiają tylko najmniej kompetentnych spiskowców.

Nietrudno będzie sprawdzić, kim byli jej dziadkowie.

- Chciałabyś wiedzieć? - zapytałem. - Czy to dla ciebie ważne?

- Nie, to nie jest ważne. To i tak nie zmieni mojego życia. Nie wiem, czy mnie to w ogóle obchodzi. -I dodała po dłuższej chwili: - Kiedyś zwykłam o nich śnić. We śnie przyjeżdżali po mnie i zabierali do swojego pałacu. Byłam prawdziwą księżniczką. Wysłali mnie wraz z matką, aby nas ukryć przed wrogami, a potem stało się coś złego. Może zapomnieli, gdzie nas ukryli. Nie wiem. Nigdy nie dowiedziałam się, dlaczego nie wrócili. Po prostu udawała, że kiedyś przyjadą.

Zwykła dziecięca gra w wyobraźnię. Ale...

- To może być prawda, Jennifer. To były bardzo niespokojne czasy. Być może to małżeństwo zaaranżowano po to, by umieścić twą matkę w bezpiecznym miejscu. Jeśli twoi dziadkowie zginęli, być może ojciec jest ostatnią osobą, która wie, kim naprawdę jesteś.

- Żartujesz sobie.

- Nie. Byłem za mały, żeby dobrze to pamiętać. Jacyś ludzie próbowali zabić króla. Nie udało im

się. Król oszalał ze złości. Zginęła masa ludzi, nawet takich, którzy nie mieli nic wspólnego ze spiskiem. - Czasem trzeba kłamać jak z nut. Nie zaszkodzi, jeśli będzie myślała, że jej dziadkowie zginęli jako niewinne ofiary politycznej burzy.

Zaśmiała się cicho.

- Czy to nie byłoby wspaniałe? Gdyby mój dziecięcy sen się spełnił?

- Czy dalej ci nie zależy?

Mogłem dowiedzieć się wszystkiego o jej dziadkach nawet nie kiwając palcem. Wystarczyło przekartkować kilka starych rejestrów. Warto zadać sobie tyle trudu, żeby rozjaśnić jej życie.

- Myślę, że jednak chciałabym.

- No to się dowiem. - Ruszyłem znów przed siebie. Podążyła za mną, pogrążona w rozmyśleniach, nie zwracając uwagi na to, że znów wszedłem na ścieżkę upiorców. Doszliśmy prawie do drogi, kiedy się zorientowała, że wciąż oddalamy się od domu. Pewnie nawet by tego nie zauważyła, gdybyśmy wtedy właśnie nie weszli w ciernie.

- Dokąd idziemy? - W jej głosie usłyszałem niemal panikę. W oczach miała coś dzikiego. Rozejrzała się dokoła, jakby nagle zbudziła się na terytorium wroga. Nad wzgórzem, gdzie znajdował się cmentarz, widoczne były tylko szczyty dachu domu. Gdy dojdziemy do drogi, zniknie nam z oczu.

- Śledzę, skąd wyszła ta istota, która przysłała do domu zeszłej nocy. - W istocie śledziłem wszystkie trzy. W zaroślach widać było trzy wyraźne ślady, ale nie zauważyłem drogi powrotnej. To mnie trochę zdenerwowało. W końcu zlikwidowaliśmy tylko dwa upiorce. - Podejrzewam, że to przyszło z bagien, które podobno są tam, za drogą.

- Nie, chcę już wracać. - Rozejrzała się wokoło, jakby się spodziewała, że zaraz coś na nas wyskoczy. A mogło wyskoczyć. Te upiorce nie zachowywały się jak przyzwoite upiorce z legend. Kto powiedział, że nie są odporne na światło dnia? A ja nie miałem nic, żeby się przed nimi bronić. Nie przyszło mi do głowy, żeby brać ze sobą jakiś cięższy oręż.

Pomimo to nie denerwowałem się za bardzo. Za dnia, gdy nie mogły ukryć się w ciemności, nie miały szans, żeby nas zaskoczyć.

- Nie ma się czego bać. Wszystko będzie dobrze.

- Ja wracam. Jeśli koniecznie chcesz tam iść... - Słowo „tam” wymówiła, jakby chodziło o inny świat. - Jeśli chcesz, to idź.

- Wygrałaś. Jeśli się widziało jedno bagno, to tak, jakby się widziało wszystkie. A ja się już dokładnie napatrzyłem na nie na wyspach.

Jennifer już ruszyła w stronę domu. Musiałem podbiec, żeby ją dogonić. Przyjęła to z wyraźną ulgą.

- I tak już prawie czas na lancz.

Rzeczywiście. A ja jeszcze musiałem znaleźć Morleya i przeciwiczyć go przed powrotem Saucerheada.

- Powinienem ci chyba podziękować. Opuściłem już tyle posiłków, że kreci mi się w głowie.

Poszliśmy wprost do kuchni. Zjedliśmy. Pozostali łypali na nas z zaciekawieniem. Wszyscy wiedzieli, że byliśmy na spacerze. Każdy przypisywał temu wydarzeniu swoją własną interpretację. Nikt nie mruknął ani słowa, choć Wayne wyglądał tak, jakby miał co nieco do powiedzenia.

Peters wstał i zbierał się do wyjścia.

- Gdzie cię mogę później złapać? - zapytałem.

- W stajni. Muszę nadgonić robotę po Snake'u. - Nie był z tego powodu szczególnie zadowolony. Ja bym też nie był zachwycony taką robotą.

- Przyjdę później. Muszę cię o coś zapytać.

Skinął głową i poszedł. Wkradłem się do łask kucharki, pomagając jej przez chwilę. Nie mówiła wiele, bo Jennifer została w kuchni, kręcąc się niespokojnie. Kucharka nigdy nie mówiła wiele przy trzeciej osobie. Ciekawe, ciekawe.

Miałem nadzieję, że Jennifer nie przyczepi się do mnie na dobre. A, niestety, zanosilo się na to.

Chciałem być dobry dla zbłąkanej duszy. Ale szczeniaki właśnie tego szukają, dobroci. Moja wina. Naiwniak, jak mawia Morley.

Musiałem się z nim zobaczyć i dogadać popołudniowe plany. Powiedziałem kucharce, że wrócę później, żeby jej pomóc, i ruszyłem na górę, w nadziei że zastanę Morleya w swoim apartamencie. Jennifer wlokła się za mną, dopóki nie stało się oczywiste, dokąd idę. Wtedy stchórzyła. Wystraszyła się gościa z moją reputacją.

Pożegnałem się i zachowałem śmiertelną powagę do chwili, gdy zamknąłem za sobą drzwi.

Morleya nie było. Ani śladu. Ciekawe.

Poczułem się niepewnie. Morley to wędrowny ptak, ale zwykle pozostaje w kontakcie.

Przez jedną paskudną chwilę wyobraziłem go sobie martwego, schwytanego w jakąś pułapkę. Niezbyt przyjemna myśl, że twój przyjaciel zginął, pomagając ci w sprawie, w której nie miał żadnego interesu. Ale Morley był zawodowcem. Jego nie można było tak załatwić. Błędy, które popełniał, były zupełnie innego rodzaju. Jeśli kiedyś oberwie, to dlatego, że jakiś wściekły małżonek wpadnie do niego niespodziewanie, gdy ten nie będzie w stanie zareagować.

Przeliczyłem sobie szybko w głowie, ile czasu zajmie Saucerheadowi droga tam i z powrotem, i doszedłem do wniosku, że muszę sobie radzić bez Morleya. Cóż, ma jeszcze Czarnego Pietrka. Włożyłem płaszcz i ruszyłem w stronę stajni, sprawdzivszy uprzednio, czy wszystkie pułapki są na miejscu.

Rozglądałem się za moją blond gwiazdeczką, ale jedyną osobą, jaką zobaczyłem, był Kaid. Stał na balkonie na czwartym piętrze i planował sobie, jak i gdzie będzie tu straszyl po śmierci.

Kaid był blisko generała. Powinienem spędzać z nim trochę więcej czasu. Może podpowiedziały mi, kto naprawdę chce się pozbyć generała.

Garret 04 Stare cynowe smutki

XXV

Z

ajrzałem do stajni, ale nie zauważyłem Petersa. Kilka koni wyszczerzyło do mnie zęby, jakby myślały, że nadeszła ich godzina.

- Myślcie sobie, co chcecie - powiedziałem im. - Umówiłem się z generałem, że może mi zapłacić w koniach. A konie, które mnie denerwują, kończą zwykle w garbami.

Nie wiem, po co to powiedziałem. Czysta bzdura, oczywiście. I tak w to nie uwierzą. Chciałbym wiedzieć, dlaczego właśnie konie budzą we mnie najgorsze instynkty.

- Peters? Jesteś tam? - Byłem trochę zirytowany, że nie znalazłem go od razu. Już dość miałem trupów.

- Tutaj. - Był z drugiej strony.

W tym końcu było ciemno. Szedłem ostrożnie, nawet jeśli nie uważałem Petersa za jednego z bandytów.

Znalazłem go na tyłach pomieszczenia, w samej czeluści, jak należy, ciężko pracującego widłami.

- Ten cholerny Snake musiał przez cały czas bawić się farbami - burknął. - Nie sprzątał tu od miesięcy. Patrz, co za syf.

Spojrzałem i zmarszczyłem nos. Peters przerzucał na wóz gnój i brudną słomę.

- Nie jestem ekspertem, ale czy to właściwa pora roku na nawożenie?

- I tu mnie masz. Nie wiem. Uważam tylko, że to trzeba wyczyścić i załadować na ten wóz - wymamrotał kilka ponuro brzmiących abrakadabr i innych barwnych komentarzy pod adresem przodków Snake'a Bradona. Wreszcie spytał:

- I bez tego mam kupę roboty. Co się dzieje, Garrett? I może byś tak złapał się za widły i pomógł mi trochę, kiedy nie pracujesz?

Złapałem za widły, ale niewiele pomogłem. Zawsze miałem kupę szczęścia, nawet w Marines, i nigdy nie musiałem nauczyć się praktycznej strony hodowli koni.

- Wiesz, co się dzieje? Znalazłem pasera, który kupił skradzione rzeczy. Jeden z moich wspólników przywiezie go tu dzisiaj po m południu.

Przestał ładować. Gapił się na mnie tak długo, że już zacząłem się zastanawiać, czy nie jest mniej niż zachwycony.

- A więc jednak coś robisz. Już zadawałem sobie pytanie, czy nie sprowadziłem tu trutnia. Czy przypadkiem jedynym wysiłkiem, jaki czynisz, nie jest przekonanie Jennifer, żeby ci się oddała.

- Nic z tego. Nie jestem zainteresowany. Nie mój typ. - Zdaje się, że miałem groźny ton głosu, bo dał sobie spokój.

- Chciałeś mi tylko przekazać wieści?

- Nie. Potrzebuję twojej pomocy. Mój wspólnik przywiezie też lekarza.

- I chcesz, żebym odwracał uwagę starego tak długo, aż łapiduch go sobie obejrzy?

- Chce, żebyś wyjechał im na spotkanie i wyjaśnił doktorkowi, jak się ma zachowywać, żeby nie wykopali go od razu, tylko dopuścili do starego. I tak nie mam wielkiej nadziei, że czegoś się dowie bez badania.

Peters burknął coś i znów zaczął przerzucać końskie gówna.

- Kiedy przyjadą?

Próbowałem już odgadnąć prawdopodobny czas jazdy tam i z powrotem. Z Saucerheadem nie należy się spodziewać opóźnień. Weźmie ich po prostu za kołnierz i przywlecze.

- Myślę, że jeszcze jakieś dwie godziny. Jeśli nam się uda, spróbuję wprowadzić pasera tak, żeby nikt go nie zobaczył. Wtedy możemy go napuścić.

- Opuszczasz się - burknął. Rzucaliśmy dalej przez chwilę.

- Dam sobie radę - rzekł w końcu. - Najpierw muszę się zobaczyć ze starym. Tu ciągle jest coś do roboty.

- Wiążę z tym duże nadzieje - wyjaśniłem.

- Tak?

- Może wreszcie sprawy przybiorą inny obrót. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, zamkniemy sprawę przed zmrokiem.

- Zawsze przesadzałeś z optymizmem.

- Ty tak nie uważasz?

- Nie. Nie masz do czynienia z normalnymi przeciętnymi idiotami. Ci chłopcy nie popuszczą w gacie. Nie będą panikować. Uważaj lepiej na swoje plecy.

- Mam taki zamiar. Odłożył widły.

- No, do roboty. Ja idę się umyć.

Patrzyłem w ślad za nim, jak szedł w stronę otwartej bramy. Wyszczrzyłem zęby. Uszy odstawały mu jak uchwyty garnka.

Wrzuciłem jeszcze ze trzy porcje i zostawiłem. Mama Garrett nie wychowała swojego chłopca do przerzucania gnoju.

Zrobiłem już z tuzin kroków w stronę domu, gdy przysłała mi do głowy pewna myśl. Zawróciłem i wprosiłem się do mieszkania Snake'a Bradona. Przez jakieś pięć minut męczyłem się, żeby zapalić lampę. Snake'a już nie było. Ciekawe, co z nim zrobili. Przecież nikt nie kopał na cmentarzu.

Cholera! Miałem zapytać Petersa o Tylera i upiorca!

Brakowało mi gderania Truposza. Straciłem czujność. Zacząłem za bardzo zwracać się ku własnemu wnętrzu, albo co? Nie jestem dość uważny. Nigdy mi się to nie zdarzało, dopóki Truposz podpowiadał mi, co robić. Robiłem listę i szedłem punkt po punkcie.

No dobrze. Nie zdążyłem na spotkanie ze Snakem. Nie znaczy to, że Bradon już mi nic nie powie, według słów Truposza. Wszyscy mi mogą coś opowiedzieć, czy chcą, czy nie, jeśli się dobrze skoncentruję. No to zaczynaj, Garrett. Tu i teraz.

Przeleciałem wszystko po kolei, tak jak wtedy, gdy znalazłem Snake'a. Tym razem też niczego się nie dowiedziałem. Ali zwróciłem uwagę na stół popstrzony farbami. Przedtem tego nie zrobiłem. W ogóle nie brałem pod uwagę tej strony osobowości Snake'a.

Kucharka mówiła, że miał ogromny talent malarski. Ktoś inny powiedział, że malował Czarownicę Niewidzialną Czarnuchę! Tu i tam wspomniano, że w dalszym ciągu był aktywnym artystą. Ta strona jego charakteru według mnie nie pasowała do reszty wizerunku Bradona. Artyści wywodzą się z lordów z Góry. Choćby byli nie wiem jak dobrzy, nie są w stanie utrzymać się z tego, co robią. Nie uznałem Bradona za artystę, ponieważ nie pasował do szablonu.

Ten stół był dowodem, że dużo pracował. Ale gdzie wyniki tej pracy? Przecież nie namalował tylko plam na stole?

Zacząłem dokładne poszukiwania, posuwając się kręgami od centralnego punktu życia Snake'a Bradona. W pomieszczeniu nią znalazłem nic ciekawego, z wyjątkiem schowanych przyborów malarskich. Przypomniałem sobie, że kiedy sprawdzaliśmy, co siej stało z Hawkesem, miał

poplamione spodnie. Widocznie akurat nad czymś pracował.

Obok pokoiku Snake'a znajdował się składzik, jakieś dwadzieścia na piętnaście. Nie został kamień na kamieniu.

Stałem w progu, zaskoczony. Czy ktoś aż tak martwił się o Snake'a po jego odejściu? Ojjoj. A Garrett nie był na tyle cwany żeby wejść tu jako pierwszy.

Jeśli szukający natrafił na coś, wykonał dobrą robotę, żeby się tego pozbyć. Teraz znalazłem tu tylko kilka rozrzuconych pędzli, niektóre rozdeptane i połamane. Ciekawe, czy hobby Bradona było tajemnicą? Taką, co to wszyscy o niej wiedzą, a nikt nie mówi. Malowanie obrazów to niemęskie zajęcie, niegodne Marine. Może nie dzielił się nim z innymi.

Miałem trochę problemów, żeby doszukać się w tym wszystkim sensu. Znowu. Dalej.

Zatrzymałem się i zacząłem zastanawiać, gdzie bym coś schował, gdybym był Snakem. Poszukiwacz też pewnie się tak zastanawiał, a znał go lepiej niż ja.

Błyskotliwy ze mnie myśliciel, bo w efekcie uzyskałem wielkie nic.

No cóż, jak nic, to nic. Ogólne przeszukanie. Każdy kąt, każda szparka. Ten, kto był tu przede mną, nie miał tyle czasu. Musiał być widziany tam, gdzie się go spodziewano. Do licha. Może nawet zapolował sobie, zanim Morley i ja zeszliśmy tu ostatniej nocy? A może wtedy, gdy miał ładować gnój na wóz?

W każdym razie istniała duża szansa, że nic nie znalazł.

Jeśli w ogóle coś było.

Zrobiłem szybki obchód dolnego poziomu. Nic mnie nie zastanowiło. Czułem, że spotkanie ze złodziejem zbliża się nieubłaganie, i spieszyłem się coraz bardziej, chyba mając nadzieję, że w chwili prawdy będę miał dodatkową strzałę w kołczanie.

Wspiąłem się na poddasze, usiadłem i mruknąłem:

- A właściwie, czego ja tu szukam?

Obrazów? Widać było, że malował. A produkcji jakoś ani śladu. Ale co mi powiedzą obrazy, nawet jeśli je znajdę?

Wzruszyłem ramionami, wstałem, rozejrzałem się dokoła. Snake miał tu duży zapas siana. Wszystko ładnie popakowane w bele. Z tego, co pamiętałem z opowieści chłopaków ze wsi, to raczej mało popularny sposób. Normalnie napełnia się poddasze sianem, ale luzem.

- Ha! - Przypomniałem sobie coś. Chłopak w mundurze, Tulsa jakiś tam, cholernie dobry łucznik. To on nas zawsze osłaniał. Chłopak z farmy. Biedak. Zginął na tej wyspie. Ale chętnie opowiadał o tym, jak się zabawiał z lordównami z pobliskiego zamku. Robili to w tajnej kryjówce, zbudowanej na poddaszu największej szopy ich tatuśka.

Podniosłem wysoko lampę i dokładniej przyjrzałem się stertom słomy, a także, jak są rozmieszczone. Czy ta kupa może być pusta w środku? Dumałem.

- To chyba będzie to – mruknąłem.

Zacząłem dziabac tu i tam, z zewnątrz, zastanawiając się, jak Bradon dostawał się do środka. Drogą eliminacji znalazłem trzy miejsca, które nadawały się do tego celu. Postawiłem lampę na belce i zabrałem się do roboty.

Przeniosłem może z dziesięć bel, zanim zdecydowałem, że zacząłem nie od tego miejsca co trzeba. Przesunąłem się do kolejnego punktu, przeniosłem kolejne dziesięć bel i poczułem się jak dureń. Chyba znowu przeszedłem samego siebie.

Moje działania zwróciły uwagę tubylców. Przyłączyły się do mnie trzy parszywe koty, w tym jeden stary i pstrokaty. Przenoszenie bel wypłoszyło myszy. Koty miały przekąskę. Pracowały drużynowo, nie jak zwykłe koty, przynajmniej według mojej wiedzy. Kiedy przewracałem belę, jeden

skakał na puste miejsce, żeby przepłoszyć myszy na otwartą przestrzeń. W pewnej chwili pstrokaty miał po myszy pod każdą z przednich łap i jeszcze jedną w pyszczku.

- Widzicie - powiedziałem do nich. - Wcale nie jestem, taki zły Jeszcze jedna próba. Do trzech razy sztuka, jak powiadają. Przerzuciłem kilka bel. Koty uwijały się dokoła. I patrzcie! Trafiłem na pustą niszę, wysoką na metr, szeroką na pół, ciemną jak serce duchownego i ciągnącą się daleko w głąb sterty. Wziąłem lampę i zwróciłem się do kotów:

- Czy któryś z was zechciałby może wejść do tej dziury i sprawdzić, co tam jest? Nie? Właśnie tak sobie myślałem.

Opadłem na czworaki i wpełzłem do środka.

Garret 04 Stare cynowe smutki

XXVI

T

rochę śmierdziało. Nie bardzo, ale był to intensywny zapach podkiszzonego siana. Co wcale nie pomagało na katar. Z nosa ciekło mi jak z fontanny.

W sianie była pusta przestrzeń, większa, niż się spodziewałem. Snake podparł belki deskami, żeby siano z góry się nie zapadło. Miała ze dwa metry szerokości i trzy długości. Trzymał tu swoje obrazy, wraz z innymi skarbami, które komuś mogłyby wydawać się trywialne lub tanie. Głównie złom z czasów wojny. I medale. Snake miał prawie cały gar medali i dumnie prezentował je na wyblakłym sztandarze karentyńskim, rozłożonym pod węższą ścianą.

Nie mogłem mu nie współczuć. Tak skończył bohater wojenny. Za to oddawał życie dla swojej ojczyzny.

A nasi władcy zastanawiają się, dlaczego Glory Mooncalled jest bohaterem.

Obie boczne ściany były zastawione obrazami, bez ram, opartymi tylko jedno o drugie, po trzy, po cztery. Były dokładnie tak dobre, jak mówiła kucharka. Może nawet lepsze. Nie jestem ekspertem, ale wyglądały na wykonane przez szalonego geniusza.

Nie były to wesołe obrazy. Przedstawiały pomiot ciemnością wizje z piekła rodem. Jeden natychmiast przykuł mój wzrok i jakby rąbnął mnie pięścią w dołek. Było to bagno. Może nie takimi jak to, które stało się moim domem, kiedy przebywałem daleko od domu, ale inne, równie straszliwe miejsce. Nie był to zwyczajny obrazek, bo ponury krajobraz został ledwo dotknięty ciemnością. Bagienne owady roiły się tam tak, jakby od miesiący doprowadzały cię do szału. Komary wielkości os, oczy, obserwujące cię z mroku, stojąca, martwa woda. Ludzkie kości.

Na pierwszym planie znajdował się wisielec. Ścierwojady już się nim zaopiekowały. Ciemnopióry ptak siedział mu na ramieniu, dziobiąc twarz. W kompanii było kilku chłopców, którzy rzeczywiście popełnili samobójstwo, bo nie mogli już dłużej wytrzymać.

Bogowie, wydawało mi się, że mogę wpaść w ten obraz i znaleźć się w przeszłości.

Drżąc, przeszedłem wzdłuż rzędu obrazów po tej stronie, a potem po drugiej. Żaden inny nie wstrząsnął mną tak dogłębnie, ale wszystkie emanowały tym samym genium. Na pewno poruszają właściwego widza.

- On był szalony – mruknąłem.

Nie słyszałem niczego, ale odniosłem wrażenie, że konie w stajni są niespokojne. Jeszcze raz obszedłem kryjówkę, sprawdzając te obrazy, które znajdowały się pod spodem.

Większość z nich była mniej szalona, bardziej ilustracyjna, alei bez wątplenia przedstawiały miejsca widziane tym samymi okiem, które oglądało wojnę na poprzednich obrazach. Jeden rozpoznałem jako pejzaż Fuli Harbor, wykrzywiony w piekielny obraz jak z koszmarne go snu, kolejny dowód, że Snake przelewał na płótno wszystkie swoje wspomnienia i koszmary.

Nie był wyłącznie malarzem krajobrazów. Pierwszy portret, na jaki natrafiłem, przedstawiał Jennifer, prawdopodobnie z czasów kiedy generał powrócił do domu. Była jakby nieco młodsza i chyba jeszcze piękniejsza, ale widziana oczami szaleńca. Długo mu się przyglądałem, ale nie wiedziałem, o co chodzi. A jednak Snake zrobił z Jennifer coś takiego, że ciarki przeszły mi po plecach.

Były tu także portrety innych. Kaid wyglądał na starego, zmęczonego i znużonego; miało się wrażenie, że śmierć zagląda mu przez ramię. Portret generała miał w sobie coś z upiornego wyrazu, który emanował z podobizny Jennifer, i coś z lisa. Chain wyglądał po prostu na złośliwca. Wayne - niczym zachłanny mieszczuch. Jest! Przynajmniej częściowo. Częścią interpretacji było ubranie, w jakie ich Bradon odziewał. Ale także twarze, namalowane tak, jakby człowiek z pędzlem był w stanie odczytać dusze tych osób.

Dalej pojawił się późniejszy portret Jennifer, bardziej okrutny od pierwszego, ale dama była na nim piękniejsza. Potem kilku mężczyzn, których nie znałem, pewnie tych, którzy zniknęli. I jeszcze Dellwood, jako żywo przypominający psa rasy basset. Chyba Snake chciał powiedzieć, że to wierny stary pies bez własnej duszy i umysłu. I portret Petersa - albo klęska artysty, albo ślepotą widza, bo nie wynikało z niego zupełnie nic. I kucharka, przedstawiona z mocno przesadzonym romantyzmem, niczym święta i matka całego świata. I jeszcze jeden portret Jennifer, prawie wstrętny w swej podwójnej wymowie - piękna i horroru.

Kiedy wreszcie przyszedłem do siebie, przyjrzałem mu się o wiele dokładniej. Część efektu pochodziła prawie z poziomu podświadomości. Nie wiem, jak on to zrobił, ale narysował dwie twarze, jedną na drugiej, zewnętrzną olśniewająco piękną, a drugą jako trupa czaszkę. Aby zobaczyć tę drugą, trzeba było patrzeć długo i wytrwale.

Konie na dole były mocno podekscytowane. Zastanawiałem się dlaczego, ale pochłaniała mnie magia, nie - CZARY sztuki Snake'a Bradona.

Jeśli grzechem było ukrywanie przed światem urody Jennifer, zbrodnią stulecia byłoby nie pokazać mu obrazów Bradona i skazać je na śmierć w pleśni i wilgoci.

Zanim rozstałem się z Jennifer, przyrzekłem, że znajdę sposób, aby wydobyć obrazy na światło dzienne. Snake Bradon nie może odejść w zapomnienie.

Czy on kochał Jennifer? Była jedyną osobą, którą namalował więcej niż, raz, z wyjątkiem sceny, wyglądającej, jakby przedstawiała jakieś święte miejsce nie-ludzi przed i po przejściu ludzkiej bitwy. Obraz „po” cuchnął rozkładem, zasłany trupami, krukami i kośćmi. Wyglądał jak parabola świata.

Wydmuchałem nos, trafiając w ściek. Zanim się znowu zasmarkałem, poczułem jakiś dziwny zapach. Co to takiego? Wzruszyłem ramionami i wróciłem do obrazów.

- Przekleństwo! Przekleństwo na moje oczy! - To nie obelga przyjaciele. To był wrzask tryumfu.

Snake namalował moją damę w bieli. Uchwycił ją jako wcielenie piękna - choć i ona nosiła w sobie cień okrucieństwa, które przelał na portrety Jennifer.

Biegła pod wiatr, przerażona, z rozwianym włosiem. Za nią czaił się mrok. Wiedziałaś, że ją ściga, ale trudno było powiedzieć, co to jest. Im dłużej się patrzyło, tym trudniej było powiedzieć, co to takiego. Kobieta patrzyła mi wprost w oczy! W oczy artysty. Właśnie zaczęła unosić prawą rękę w geście błagania o pomoc. Z jej spojrzenia można było wywnioskować, że wie, iż osoba, na którą patrzy, orientuje się, co znajduje się za jej plecami.

Skamieniałem. Obraz miał ten sam wydźwięk co krajobraz bagien. Ale tym razem nie wiedziałem dlaczego, ponieważ nie mogłem go interpretować w kategoriach osobistych doświadczeń.

Znów wydmuchałem nos i znów poczułem ten dziwny smród. Tym razem go rozpoznałem.

Dym!

Ta cholerna stajnia płonęła! Nic dziwnego, że konie tak szalały.

Wygramoliłem się z otworu, do krawędzi poddasza.

Płomień z rykiem pożerał ten kąt, w którym pracował Peters. Zwierzęta wydostały się i uciekły. Z zewnątrz dochodziły krzyki. Rozszalał się potworny żar.

Jeszcze nie było za późno - dla mnie. Jeśli się pospieszę, może ujdę z życiem.

Wiedziałem, co powie Morley, kiedy się dowie, że skoczyłem z powrotem do dziury wiodącej do kryjówki Snake'a. Będzie mnie męczył przez cały rok, że ryzykowałem życie dla kilku kleksowi na płótnie.

Zebrałem z tuzin tych gryzmołów w stertę tak wielką, że z trudem ją wytaszczyłem z dziury. Pożar rozprzestrzenił się szybko. Płomienie sięgały mi prawie do stóp, kiedy wyskoczyłem. W twarz uderzyła mnie fala gorąca. Poczulem, jak brwi mi się skręcają, oczy wysychają. Zataczając się, odskoczyłem. Płomienie podążyły za mną.

- Cholerny dupek - mruknąłem do siebie. Żar parzył mi kark. Oczy zaczęły łzawić, niemal mnie oślepiając. Miałem minimalne szansę, nawet bez tych pieprzonych obrazów.

Ale nie mogłem ich zostawić. Były tak ważne, że uznałem, iż warto ryzykować dla nich życie. Jakimś zakątkiem duszy już opłakiwałem te, które zostały.

Pożar w dole rozprzestrzenił się szybciej niż u góry. Był już przede mną, w tym miejscu, gdzie kiedyś mieszkał Snake. Tamtędy na pewno nie wyjdę.

Pomiędzy pionowymi deskami tworzącymi frontową ścianę widziałem przesączające się światło dnia. Z lekka tylko obrobione drewno skurczyło się z czasem, tak że niektóre szpary były szerokie na dwa palce. Było to jak zagłądanie przez pręty w bramach piekieł. Od wewnątrz. Tak blisko. I tak daleko.

Ogarniała mnie panika. Rzuciłem się w tę stronę.

Stajnia była stara, spróchniała i prawie się waliła, i gdyby była choć w połowie tak spróchniała, jak się wydawała, powinno się udać. Może zrobię wyrwę. Uderzyłem w ścianę ramieniem, od dołu. I jedno, i drugie zatrzęszczało niebezpiecznie. Żadne nie było złamane, ale ściana miała chyba przewagę. Położyłem się na plecach i walnąłem piętą. Deska ustąpiła trochę. To na-pełniło mnie nadzieją i chyba siłą maniaka. Walnąłem znowu. Czterdziestocentymetrowa deska wygięła się na zewnątrz i odpadła pod własnym ciężarem. Byłem tak głupi, że najpierw wyrzuciłem obrazy Bradona, a potem dopiero zacząłem poszerzać otwór, żebym i ja się zmieścił.

Dym omal nie pozbawił mnie przytomności, ale się pozbierałem. Skoczyłem.

Leżałem przez chwilę, dysząc ciężko, jak przez mgłę uświadamiając sobie, że jestem tu sam, z dala od krzyków po drugiej stronie stajni. Wspiąłem się na murek ogrodzenia i wyprostowa-łem, rozejrzałem wokoło, policzyłam ręce i nogi, czy żadnej nie zapomniałem. Wciąż byłem sam. Pozbierałem moje cenne łupy.

Jeśli są jacyś bogowie, to chyba zgadzali się ze mną co do tych obrazów. Nie były uszkodzone. Zebrałem je do kupy, pokulałem a do obory i ukryłem pod sianem na stryszku. Moje skrzywione poczucie humoru podpowiadało mi, że to jedyny właściwy krok. A potem pokuśtykałem dookoła stajni.

Cała banda latała wokół jak stado kurczaków, próbując dokonać beznadziejnego dzieła, przynosząc kubły wody ze studni. Brakowało tylko generała i Petersa.

- Garrett! - wrzasnęła Jennifer. - Co się stało?

Jestem takim przystojnym sukinkotem, że ledwie mnie zobaczą, miękną jak wosk.

Zdrzemnąłem się tam - skłamałem.

Pobladła trochę. Obdarzyłem ją heroicznym uśmiechem.

- Nie martw się, przebiłem głową ścianę i oto jestem. - Chwycił mnie atak kaszlu. W dobrej chwili. Cholerny dym. - Nie umiem powstrzymać głosu serca.

- Mogłeś zginąć.

- Mogłem. Ale nie zginałem. Za szybki jestem.

- Ktoś cię próbował zabić, chłopie - wykrzyknął Kaid, kuśtykając obok z dwudziestolitrowym kubłem wody.

Spojrzałem na rozszalałe piekło. To mi jakoś nie przyszło do głowy, a powinno.

Nie. Nie zabija się kogoś, podpalając stodołę. Za łatwo byłoby uciec. Można by podpalić, żeby go wykurzyć, ale... tu by to nie wyszło. Za dużo świadków.

Nawet w moim stanie oszołomienia doskonale zdawałem sobie sprawę z tego, że podpalacz chciał pozbyć się samej stajni wraz z zawartością, której nie zdołał odszukać w trakcie pospiesznych poszukiwań.

Cudownie. Informacja Snake'a umknęła mi po raz kolejny.

Nawet kucharka wyszła z nory i nosiła wodę. A Peters nie. Już opadły mnie podejrzenia, kiedy przypomniałem sobie, dlaczego go tu nie ma.

Cholera, Saucerhead się spóźnia.

- Traciecie czas, chłopcy - rzuciłem. - Nie pozwólcie tylko, żeby przeniósł się na inne budynki.

- A jak myślisz, co właśnie teraz robimy, gówniarzu? - warknął Chain. - Jeśli nie masz zamiaru pomagać, zjeżdżaj stąd, do diabła.

Właśnie takiej rady było mi trzeba.

- Idę do domu, zrobić coś z tymi oparzeniami.

Miałem ich trochę, ale nie byłem pewien, czy są groźne. Wierzyłem, że nie. Nie mogły mnie teraz rozpraszać. Wystarczył mi katar, jeśli o to chodzi.

Poszedłem sobie. Inni nawet nie zwrócili na to uwagi.

Garret 04 Stare cynowe smutki

XXVII

D

otarłem do drzwi frontowych, mijając walczących bohaterowi i wszystkich martwych Stantnorów. Byłem w stajni dłużej, niż myślałem. Saucerhead spóźniał się, jeśli to nie ja się pomyliłem, szacując czas, jaki zajmie mu znalezienie lekarza i przetrenowanie paru paserów w skoku przez obręcz.

Wyszedłem znowu na zewnątrz. Oparzenia dawały o sobie trochę znać, ale nie bardzo. Miałem nadzieję, że doktorzek przywiezie coś na te rany.

Nic w zasięgu wzroku.

- Saucerhead, co cię zatrzymuje? Ile czasu może ci zająć wykręcenie ręki facetowi?

Na stopniach prowadzących na ganek pojawiło się kilka kropel deszczu. Spojrzałem na niebo. Znowu te ołowiane płyty. Ciekawe, czy dom Stantnorów ma inne na składzie. Już miałem dość.

Zerwał się wiatr. To nie pomoże przy gaszeniu pożaru. Jediną nadzieją było to, że może deszcz nie będzie zwlekał.

Rzeczywiście, zaczął padać równo i mocno. Nie jakaś tam ulewa, ale powinien pomóc. Wiatr zacinał deszczem na ganek. Cofnąłem się trochę, gdy ujrzałem powóz.

Cholerny Saucerhead. Tym razem powóz był wynajęty.

Zatrzymał się przed gankiem, wyrzucając gromadkę ludzi. Pierwszy galopował Peters, ciągnąc za sobą dystygowanie wyglądającego gościa, którego uznałem za lekarza. Za nim szedł niski facet o gębie łasicy, a pochód zamykali Saucerhead i Morley Dotes.

- Gdzieś ty się podziewał? - zapytałem Morleya. - Szukałem cię przez cały ranek.

Obrzucił mnie dziwnym spojrzeniem.

- Byłem w domu, zajmowałem się interesami! Saucerhead przerwał.

- Do roboty, Garrett. To jest doktor Stones. - Wskazał na łasicowatego gościa. - Obedrze cię ze skóry, jeszcze portki zabierze. A tam masz pasera. Zawarliśmy pewną umowę. Żadnych nazwisk.

- Nie ma sprawy. Niech tylko pokaże palcem. Peters, idziemy na górę.

Peters zrobił zdziwioną minę.

- Co się dzieje?

— Ktoś próbował spalić stajnię, ze mną w środku. Chodźmy. Doktorku, masz może coś na oparzenia?

Właśnie weszliśmy do domu. Saucerhead zapytał:

- Co, chcesz mu dać jeszcze drugie portki?

- Co wam zajęło tyle czasu? - Peters poszedł przodem i skręcił w stronę schodów.

- Morley. Długo szukał lekarza, który by wyglądał na kolesia pasera.

To miało sens.

- No tak, muszę to docenić. Morley, myślałem, że miałeś wałęsać się po domu i robić to, na co ja nie mam czasu, ponieważ wciąż muszę być na scenie.

Znowu spojrzał na mnie dziwnie, Jakbym za dużo gadał. Peters też.

- Robię, co mogę, Garrett - powiedział Dotes. - Ale mam swoje sprawy i nie mogę przez cały czas być poza domem.

- Przecież ciągle słyszałem, jak wchodziłeś i wychodziłeś. Zatrzymał się.

- Przez jakąś godzinę po twoim zaśnięciu kręciłem się po domu, nic nie znalazłem, więc stwierdziłem, że lepiej będzie, jeśli wrócę i sprawdzę, czy Klin mnie do końca nie obrobił, kiedy nie patrzyłem. Nie wracałem do twojego pokoju.

Zadrżałem. Wielkie, lodowate szczury zaczęły mi tańcować po grzbiecie.

- Nie?

- Nie.

- Do licha. Raz mi się nawet zdawało, że cię widziałem.

- To nie byłem ja.

Na pewno. Wstałem, żeby skorzystać z nocnika. Mruknąłem nawet jakieś „cześć” i nawet usłyszałem jakąś odpowiedź. Powiedziałem mu to.

- Nie, Garrett, to nie byłem ja. Poszedłem do domu - odparł bezbarwnym, niespokojnym głosem.

- Wierzę ci na słowo - mój głos był równie bezbarwny. - Więc kto to był?

- Ktoś, kto zmienia kształty?

Wpadłem na takiego parę razy. Wolałbym nie powtarzać tego doświadczenia.

- Jak? Zmienni muszą zabijać ludzi, żeby przybrać ich kształty. Wchłaniają ich dusze czy coś tam. A nawet wtedy nie są w stanie zawsze zmylić ludzi, którzy ich dobrze znają.

- Aha. A ten wyglądał jak ja?

- Byłem cholernie zmęczony. Palila się tylko jedna lampa. A ja tylko przeszedłem, nie zwracając za bardzo uwagi, choć przysięgłbym, że to ty.

- To mi się nie podoba. Denerwuje mnie to, Garrett, naprawdę denerwuje.

Mnie też, drogi chłopcze. Jeszcze tylko tego nam brakowało, żeby zaczął tu sobie hasać jakiś drań, który potrafi się podszyć pod każdego z nas. To by dopiero skomplikowało sprawy.

Morley martwił się wyłącznie o Morleya Dotesa i o nic więcej. Jego życie było wystarczająco skomplikowane bez kogoś, kto swobodnie tarzałby się w brudzie z jego nazwiskiem i twarzą.

Ja patrzyłem na to z szerszej perspektywy. Jeśli ktoś tutaj może udawać Morleya, może udawać również mnie lub kogokolwiek innego. A zatem nikt z nas nie będzie miał pewności, z kim rozmawia. Co podważa same podstawy rzeczywistości. Zaczyna się robić wesoło.

- Wynoś się stąd, dopóki możesz - zaproponował Morley. Kusilo mnie. Kusilo jak diabli, jak nigdy przedtem. Ale...

- Nie mogę. Wziąłem tę robotę. Jeśli ją porzucę teraz, kiedy zaczyna się robić trudna, nie będę musiał długo szukać pretekstu, aby porzucić kolejną. Kilka takich spraw i już jesteś bez-robotny.

Uprzejmie powstrzymał się od podkreślenia faktu, że większość mojej energii spędzam właśnie na unikaniu pracy.

- Podejrzywałem, że powiesz coś takiego. Dobra. Skończmy z tym wreszcie. Ja chcę się stąd wynieść, nawet jeśli ty nie. - Ruszył w górę ostatnim ciągiem schodów. - Dużo mleka pijesz, Garrett?

- Nie. Piwo.

- Właśnie tak mi się zdawało.

- Dlaczego? - Pozostali gapili się na nas, jakbyśmy byli klaunami.

- Nie wiem, co jest w mleku, ale dobrze robi na zęby, kości i na mózg. Człowiek, który pije mleko, zawsze ma zdrowy instynkt samozachowawczy. Piwosze w tej dziedzinie są coraz słabsi.

Ubierał ostrzegawczy komunikat w kolejną ze swoich durnych teorii dietetycznych. W ten sposób chyba łatwiej mu było wyrazić, że boi się, iż ugrzęzłem w syfie powyżej uszu.

- Nie wiem, o czym rozmawiacie, Garrett - wtrącił Peters. - Niewiele mnie to obchodzi, ale chyba powinniśmy się pospieszyć.

Obejrzał się na szklaną tylną ścianę domu. Przeświecała przez nią słaba luna płonącej stajni. Wydawało się, że najchętniej rzuciłby wszystko i pobiegł tam.

- W porządku. Idź, przygotuj starego. - Zapatrzyłem się w płomienie. Reszta ruszyła w stronę apartamentu generała.

- Garrett!

- Idę.

Naprzeciwko zobaczyłem przelotnie buzię mojej blondynki, popatrującej zza filaru. Uśmiechnęła się i wyglądała tak, jakby tylko czekała, żebym do niej pokiwał ręką, chcąc mi odwzajemnić ten gest.

Stęknąłem i ruszyłem w głąb korytarza.

Jej portret znajdował się pośród tych, które udało mi się uratować. Przyniosę go tu i zadam parę pytań. I do jasnej cholery, wydobędę odpowiedzi.

Już się zmęczyłem rolą miłego gościa.

Garret 04 Stare cynowe smutki

XXVIII

P

eters pograżył się w otchłani apartamentu starego. Pozostali czekali w biurze. Zabijałem czas, rzucając polana do ognia i wymieniając pełne zadumy spojrzenia z Morleyem. Każdy z nas zastanawiał się, do jakiego stopnia ten drugi go nabiera.

Generał pojawił się opatulony, jakby się wybierał na Arktykę. Spojrzał na ogień, na mnie, gdy próbowałem trochę rozrzucić węgle, aby dołożyć jeszcze kilka polan, i z uśmiechem skinął głową.

- Dziękuję, panie Garrett. To bardzo miłe. - Powiódł wzrokiem po zgromadzonym tłumie. - A kim są ci ludzie?

- Pan Morley Dotes, restaurator i mój wspólnik. - Morley skinął głową.

- Doprawdy? - Stary wyglądał na zaskoczonego, jakby to nazwisko coś mu mówiło. Spojrzał na mnie ostro, widocznie wprowadzając korektę do oceny mojej osoby.

- Pana Tharpe'a już pan zna - mówiłem dalej. - Pozostali pragną zostać anonimowi, ale zgodzili się wskazać złodzieja.

- Och. - Pusty, głuchy dźwięk. W obliczu prawdy nie spieszył się tak bardzo, żeby ją poznać. Przypomniałem sobie instrukcje - jego własne - by nie pozwolić .mu uciec przed prawdą.

- A gdzie reszta? - zapytał.

Poleciałem Petersowi, żeby ich sprowadził. Nie ruszył się, dopóki generał nie potwierdził rozkazu.

- Próbują opanować pożar w stajni - wyjaśniłem. - Ktoś ją podpalił.

- Pożar? Podpalenie? - Widać było, że nie nadąża.

Doktor i Morley przyglądali mu się uważnie.

- Tak, sir. O ile zdołałem zrozumieć, ten, kto zabił Bradona obawiał się, że coś w stajni pozwoli połączyć jego osobę z morderstwem. Całą stajnię przeszukano, Ten, kto to zrobił, uznał widocznie, że nie zdąży przeprowadzić tego dokładnie, więc wybrał gorsze, ale szybsze rozwiązanie.

- Och. - Znow ten głuchy dźwięk.

Podszedłem do drzwi, wyrząłem. Nic.

- Saucerhead, ostrzeż nas, kiedy tłum się zjawi. Burknął coś i podszedł.

- Przetrenowałeś ich - szepnąłem.

Kolejne burknięcie. Nie miał czasu na wyjaśnienia. Musiałem mu zaufać.

- Generale, czy mogę stanąć tak, jak stałem ostatnio? Pan Tharpe i pan Dotes będą pilnować drzwi.

- Chyba tak, chyba tak. - Ogień rozbłysnął nagle i oświetlił lepiej jego twarz, której barwa była tak samo paskudna jak pierwszego dnia.

Zająłem swoje miejsce. W kilka minut później Saucerhead oznajmił:

- Idą

- Wpuść ich, ale nie wypuszczaj.

- Jasne.

Doktor wycofał się do kącika. Paser też. Morley stanął przy drzwiach, naprzeciwko Saucerheada.

Weszli. Byli zmęczeni, zrezygnowani, ale czujni. Popatrzeni na Morleya i Saucerheada, jakby ci

przyłapali ich na gorącym uczynku. Nawet Peters, choć wiedział, co się dzieje.

- Pan Garrett ma dla nas nowiny - oznajmił generał. Spojrzałem na pasera. Pan Tharpe też, z taką miną, jakby gość nie miał wyjść z domu żywy, jeśli nie wskaże, kogo trzeba.

Nie musiał. Złodziej sam się zdradził.

- Ktoś okradł generała z różnych drobiazgów na kwotę koło dwudziestu tysięcy marek. Generał chciał wiedzieć kto. Teraz, kiedy już to wiemy, Dellwood, ciekaw jestem dlaczego.

Przyjął to zdumiewająco dobrze. Może zdawał sobie sprawę, że wpadka jest nieunikniona.

- Żeby pokryć domowe wydatki. Nie było innego sposobu, by zdobyć pieniądze.

Generał padł ofiarą ciężkiego przypadku gwałtownej niechęci do poznania prawdy. Nadał się. Jego ludzie zachowali kamienne twarze, ale miałem dziwne wrażenie, że nie czują sympatii ani współczucia dla swego pracodawcy.

Przez krótką chwilę zastanawiałem się, czy przypadkiem wszyscy nie chcą go załatwić.

Dellwood ciągnął dalej:

- Generał dostarcza kwot, które wystarczyłyby na utrzymanie dziesięciu ludzi w czasach, kiedy wyjechał z Kantardu. Nie uwierzyłby, jak podskoczyły ceny od tego czasu. Ani jeden miedziak nie poszedł do mojej kieszeni. Nasi dostawcy odmówili nam kredytu.

Co za piekło być bogatym bankrutem.

- Mogłeś mi powiedzieć - wykrztusił generał. - Zaoszczędziłbyś mi tego upokorzenia.

- Mówiłem to panu wiele razy, sir. Przez całe dwa lata. Ale pan zapatrzył się tylko w przeszłość, nie chcąc uwierzyć, że czasy się zmieniły. Miałem do wyboru: robić to, co robiłem, albo pozwolić, żeby zjedli pana wierzyciele. Postanowiłem pana osłaniać. A teraz pójdę po moje rzeczy. - Skierował się ku drzwiom.

Saucerhead i Morley zastąpili mu drogę.

- Generale? - zagadnąłem.

Stary nie odezwał się ani słowem.

- Jeśli to coś pomoże, sir, wierzę, że on mówi prawdę.

- Chcesz powiedzieć, że jestem skąpcem?

- Nic takiego nie powiedziałem. Ale ma pan taką opinię. - Poczulem się urażony. Nigdy nie wyskakiwałem ze skóry, żeby pochlebiać klientowi... w każdym razie, nie płci męskiej.

Pluł jeszcze przez chwilę.

A potem dostał jednego z tych swoich ataków.

Przez moment sądziłem, że to wybieg. Inni chyba też. Może już kilka razy tak ich nabrał. Każdy czekał tylko, kiedy to skończy. I nagle wszyscy rzucili się w jego stronę, potykając się o własne i cudze nogi. Dałem Saucerheadowi znak, że może wypuścić pasera.

Dellwood prowadził atak. Nikt się nie ościągał. Trochę źle to wróżyło moim nadziejom, że rozwiązując jedną zagadkę, uda mi się zmusić pozostałe, by rozwiązały się same.

- Odstąpcie - zawołałem. - Dajcie mu trochę odetchnąć.

Najgorsze już przeszło.

- Saucerhead, wypuść Dellwooda.

Dellwood wyszedł z niezwykłą godnością. Zadumałem się nad odkryciem, że prawdopodobnie moja płaca, wynagrodzenie Saucerheada, i wszystkich innych, są prawdopodobnie finansowane z jego starań. Obejrzałem się na kucharkę. Mówiła, że to stary biedak, który nie ma nawet porządnego nocnika. I patrzcie, żyje ze swego pryncypała, nawet o tym nie wiedząc.

Czy inna jeszcze, pomocna dusza, próbowała uratować majątek, przyspieszając wędrówkę jego niekompetentnego, skąpego właściciela ku wiecznej nagrodzie?

Generał opanował się wreszcie.

- Nie dziękuję panu za to, co pan zrobił, panie Garrett, chociaż sam o to prosiłem. Dellwood.

Gdzie jest Dellwood?

- Odszedł, sir.

- Sprowadźcie go z powrotem. Nie może odejść. Co zrobię bez niego?

- Nie mam własnych przemyśleń na ten temat, generale. Uważam, że zrobiliśmy tu już wszystko.

- Dobrze. Tak. Masz rację. Zostawcie mnie. Ale przyprowadźcie Dellwooda.

- Wszyscy wychodzą! Peters, zostań z nim lepiej. Kaid? Morley, Saucerhead, chodźcie, muszę z wami porozmawiać. - Wybiegłem pierwszy.

Garret 04 Stare cynowe smutki

XXIX

Z

łapałem Dellwooda w jego kwaterze. Nie zatroszczył się nawet o to, żeby zamknąć drzwi. Wpychał swoje rzeczy do toreb.

- Przyszedłeś sprawdzić, czy nie ukradłem rodzinnych klejnotów?

- Przyszedłem powiedzieć, że stary chce, żebyś został.

- Większość życia spędziłem na zaspokajaniu jego zachcianek. I wystarczy. Z ulgą będę znowu wolnym człowiekiem. - Kłamał. - Lojalność ludzka ma swoje granice.

- Jesteś zdenerwowany. Zrobiłeś to, co musiałeś, i wpakowałeś się w kłopoty. Nikt cię o to nie oskarża. Nawet ja.

- Bzdura. Będzie mi to wyrzucał przez całe życie. To już taki typ człowieka. Zrobiłem coś, co mu poszło nie po myśli, niezależnie od powodów. On nie przebacza, choćby nie miał racji.

- Ale..

- Znam go. Możesz mi wierzyć.

Wierzyłem.

- Odejdiesz, to wszystko stracisz.

- Spadek i tak niewiele dla mnie znaczył. Nie jestem biedny, panie Garrett. W służbie niewiele miałem wydatków. Oszczędzałem pieniądze i dobrze je zainwestowałem. Nie potrzebuje jego spadku, żeby przeżyć.

- Wybór należy do ciebie. - Nie poruszyłem się.

Przestał wrzucać rzeczy do toreb i spojrzał na mnie.

- Co?

- Generał nie wynajął mnie tylko po to, żeby znaleźć złodzieja pamiątek rodzinnych. Chciał też dowiedzieć się, kto próbuje go zabić.

- Zabić. - Prychnął. - Nikt nie próbuje go zabić. To tylko jego przeciążona wyobraźnia.

- Tak samo jak kradzież, gdy tu przyjechałem. Z wyjątkiem ciebie. Wtedy miał racje i teraz też ją ma.

- Bzdura. Kto by na tym skorzystał?

- Dobre pytanie. Nie sądzę, żeby majątek miał z tym coś wspólnego. A innego motywu nie potrafię znaleźć. Jeszcze nie. - Spojrzałem na niego wyczekująco. Nic nie powiedział.

- Żadnych tarć, z nikim? Kiedykolwiek?

- Nie mogę panu dać tego, co pan chce, panie Garrett. Wszyscy mieliśmy swoje problemy z generałem... ale nie należały do tych, za które się zabija. Kwestia dyscypliny, to wszystko.

- I żaden z tych ludzi nie ma tendencji do chowania urazy?

- Chain, tak. To wielki, głupi chłopak wiejski, który obrósł w tłuszcz na tyłku i między uszami. Może chować urazę przez całe życie, ale nigdy nie żywił urazy w stosunku do generała. Czy pan pozwoli, sir?

- Jeszcze nie. Wiedziałaś, że ta chwila nadejdzie, kiedy się tui zjawiłem, prawda?

- Nie byłem zdziwiony, że pan mnie odkrył. Ale byłem zaskoczony, że znalazł pan człowieka, który ode mnie kupował. Czyi to już wszystko?

- Nie. Kto zabił Hawkesa i Snake'a.

- Nie mam pojęcia kto. Mam nadzieję, że pan go znajdzie. Jest pan pierwszej klasy wyszukiwaczem i kopaczem.

- To mój zawód. Czy ty przypadkiem nie próbowałeś mnie zniechęcić, kiedy stwierdziłeś, że moja obecność oznacza dla ciebie kłopoty?

- Słucham, sir?

- Odkąd tu jestem, trzy razy ktoś próbował zamachu na moje życie. Zastanawiałem się, czy to nie ty próbowałeś w ten sposób zatrzeć ślady...

- To nie mój sposób działania. Udało mi się przetrwać służbę w Marines, nie zabijając nikogo. Nie mam zamiaru zaczynać teraz. Powiedziałem już, że nie mam tu nic do stracenia.

Może. A może jesteś po prostu przekonującym kłamcą. Wzruszyłem ramionami.

- Nie wiem, ile to warte, ale nie uważam, żebyś zrobił źle, i nie pusz się tak, zabierając tyłek w garść i więcej.

- Nie mam do pana urazy. Był pan jedynie agencją, która przyniosła nieuniknione. Ale chciałbym dotrzeć do drogi przed zmrokiem.

- Przemyśl to sobie jeszcze. Bez ciebie stary nie pociągnie długo.

- Kaid się nim zajmie. I tak powinien był zajmować się nim od początku.

- A wiesz, kim jest jasnowłosa kobieta? - Nic już nie będzie miał do stracenia, jeśli powie mi teraz.

- Podejrzewam, że to owoc pańskiej wyobraźni. Nie ma to żadnej blondynki. Widuje ją tylko pan.

- Bradon też. Namalował jej portret. To go przystopowało.

- Naprawdę?

Uwierzył mi.

- Snake był stuknięty - mruknął bez przekonania.

Byłem teraz pewien, że nie wie nic o żadnej blondynce, co tym bardziej czyniło z niej interesującą zagadkę.

Odszedłem od drzwi, dając mu do zrozumienia, że może sobie iść.

- Nie powiesz mi, co mogłoby zapobiec zamordowaniu kolejnego człowieka?

- Nie. Gdybym mógł, tobym powiedział. Podniósł torby.

- Zabierz się z moimi współnikami - zaproponowałem. Chyba chciał mi powiedzieć, żebym sobie poszedł do diabła. Ale nie powiedział.

- Dziękuję. - Padało, a torby wyglądały na ciężkie.

- Jeszcze jedno - zatrzymałem go. - Co się stało z Tylerem i upiorem?

- Zapytaj Petersa. Ja nic nie wiem. Moje obowiązki trzymają mnie w domu.

- Ten upiór, który próbował wejść tylnymi drzwiami, gdzieś się zapodział. Nie wrócił na bagna. Gdzie mógł się schować w ciągu dnia? - Cały czas przyjmowałem, że jak upiory z opowieści, nie lubi światła słonecznego.

- W budynkach dla służby. Teraz już naprawdę muszę iść, panie Garrett.

- W porządku. Dziękuję, że zechciałeś ze mną porozmawiać. Wyszedł, sztywny w karku, bez cienia skruchy. Zrobił to, co było trzeba, i nie wstydził się tego. I nie można go było namówić, żeby został.

- O kolejnego mniej - westchnąłem.

Teraz było już tylko sześcioro spadkobierców. Dola dla drobnych legatów wynosiła jakieś pół miliona na łeb.

Morley, Saucerhead i doktor czekali na mnie koło fontanny. Nie spieszyłem się do nich. Przez

cały czas zastanawiałem się, jak zwołać polowanie na upiorca.

Kucharka wyszła z kuchni i dopadła Dellwoda przed frontowymi drzwiami. Kłócąc się, weszli do sieni. Ona też nie chciała, żeby odchodził.

Garret 04 Stare cynowe smutki

XXX

D

ołączyłem do Morleya i reszty.

-I jaki werdykt?

Morley wzruszył ramionami.

- Nie dygotał na tyle i nie miał takich problemów z mówieniem, żeby to było to, co myślałem.

Widziałeś kiedyś u niego takie objawy?

- Czasem dreszcze i chyba nie miał problemów z mówieniem. A co z atakiem?

- Nie wiem. Spytaj lekarza. Spytałem.

-Nie wiem na pewno - odparł. - Powinienem lepiej się przyjrzeć i porozmawiać z pacjentem. Ale z tego, co widziałem, wydaje mi się, że bardziej potrzebujecie egzorcysty niż lekarza.

-Czego?

Morley był tak samo zaskoczony jak ja. Nigdy nie widziałem, żeby tak wytrzeszczył oczy. Uwaga zaskoczyła go kompletnie.

- Egzorcysta. Demonolog. Może nekromanta. Może wszyscy trzej, choć pierwszym krokiem powinno być badanie, żeby wiedzieć, czy sobie czegoś nie wyobrażam.

- Od początku. Zupełnie zawróciłeś mi w głowie.

- Miedzy nami mówiąc, pan Dotes i ja mamy dość dużą wiedzę na temat trucizn. Nie znamy takiej, która powodowałaby tę właśnie kombinację objawów, jakie obserwujemy u tego człowieka. W każdym razie wpłynęłaby ona na niego o wiele bardziej radykalnie, odbierając mu kontrolę nad mową i członkami... jeśli w ogóle by to przeżył. Choroba jest bardziej prawdopodobna niż trucizna. Kto wie, co przywiózł do domu? Spędziłem tam osiem lat. Widziałem mnóstwo dziwnych chorób, choć niczego podobnego do tej. Czy bierze jakieś leki?

- Żartujesz? Chybaby pierwszej skonał! - Coś mi przyszło do głowy.

- A może to malaria? - Byłem jednym z nielicznych szczęśliwców Marinę, którzy nie złapali malarii. - Albo jakaś żółta febra?

- Też o tym myślałem. Wyjątkowo jadowity przypadek malarii, leczony bardzo silnymi dawkami chininy, mógłby dawać większość tych objawów. Niezbyt czysty lek mógłby dokonać reszty. Ale sam mówisz, że prędzej by umarł, niż zażył lekarstwo. Muszę naprawdę poznać jego historię choroby, zanim zacznę zgadywać.

- A co z tym egzorcystą?

- Moje główne podejrzenie leży w królestwie ciemności. Symptomy, jakie obserwujemy, mogą być spowodowane wtargnięciem różnych złośliwych duchów. Radziłbym dokładniej przyjrzeć się jego przeszłości. Może znajdziecie w niej coś, co wyjaśniłoby to, co się dzieje. Możecie szukać też źródła choroby w nieprzyjaznej magii. Jakiś wróg mógł nasłać na niego złego ducha.

Czarny Pietrek pojawił się na czas, aby załapać się na większość tej tyrady.

- I co, wiesz coś z tego? - zapytałem. - Czy generał ma wrogów, którzy chcieliby go w ten sposób wykończyć?

Pokręcił głową.

- Garrett, jestem pewien, że odpowiedź znajduje się tutaj. On nie ma wrogów, którzy chcieliby go

zabić. Najgorsi, jakich ma, zapewne posłużyliby się osobą taką, jak twój przyjaciel. - Machnął ręką w stronę Morleya.

- Nie ma tu żadnych czarowników. Jeśli nie liczyć Bradona, który zginął. Doktorze, czy amator nekromanta mógłby na niego coś nasłać, choćby przypadkiem, co pozostałoby nawet po śmierci czarownika?

- Amator? Wątpię. Może raczej ktoś bardzo potężny. Jeśli się znali, to także jako duch. Nienawiść jest zazwyczaj motorem ożywiającym duszę, które zzerają cię od środka. A ja mówię o nienawiści tak zadawnionej, że nagina nawet prawa natury. Nienawiści, która pragnie, by jej obiekt cierpiał przez całą wieczność. Ale nie jestem ekspertem. Dlatego zasugerowałem demonologa, egzorcystę lub nekromantę. Musicie odkryć naturę tego ducha, a następnie go przepędzić. Albo go zbudzić, dowiedzieć się, co powoduje tę nienawiść, i uspokoić.

- To szaleństwo, Garrett - odezwał się Peters. - Generał nigdy nie narobił sobie aż takich wrogów.

- Rozmawiamy o możliwościach. Doktor mówi, że to wszystko może być po prostu chorobą. Potrzebne jest normalne badanie. Potrzebuję też szczegółowej historii choroby. Jakie mamy szansę?

Spojrzał na mnie, na lekarza, potem na Morleya i Saucerheada.

- Większe niż sądzicie - głos mu stwardniał. - Ten stary drań może już tylko grozić. Nie damy mu żadnego wyboru. Wracam za pięć minut. - Ruszył w stronę kuchni.

Morley usiadł na skraju fontanny w cieniu smoczego skrzydła.

- A teraz co?

- Czekamy. Pogada z kucharką. Jeśli ona się zgodzi, będziesz mógł obejrzeć Stantnora. - Może kucharka nie była matką świata, lecz bezsprzecznie była królową domostwa Stantnorów. - Doktorze, czy możesz podpowiedzieć, jaki jeszcze ekspert mógłby tu pomóc?

- Najpierw zobaczymy, czy uda nam się zbadać pacjenta. Jeśli nie znajdę przyczyny fizycznej, powiem, co dalej. Ale to nie będzie tanie.

- A kto jest, jeśli nie liczyć mnie.

Morley zrobił durną minę.

- Wiesz, to mówi człowiek, który kupił dom i zapłacił za niego gotówką z jednej sprawy.

- A na każdą taką jedną mam pięćdziesiąt innych, gdzie pół wynagrodzenia daje Saucerheadowi, żeby mógł płacić innym. Wiesz coś na temat świata sztuki?

- To zmiana tematu. Wiem coś o wszystkim, jeśli potrzebuje. A tobie co jest potrzebne?

- Załóżmy, że odkryłem geniusza malarskiego, którego prace zasługują na wystawienie. Z kim musiałbym się spotkać, żeby uruchomić coś takiego?

Wzruszył ramionami i wyszczerzył zęby.

- I tu mnie masz. Gdybyś znał jakichś starych, cenionych mistrzów, mógłbym pomóc. Znam ludzi, którzy znają elastycznych moralnie kolekcjonerów. Ale jeśli masz coś takiego, jak mówiłeś, powinieneś porozmawiać ze swoim kumplem z warzelni.

-Z Weiderem?

- Siedzi po uszy we wszystkim, co ma związek z kulturą, honorowy dyrektor tego i tamtego. Ma swoje kontakty. No więc co z tymi starymi mistrzami, co? - Rozejrzał się. Jestem pewien, że robił już inwentaryzację potencjalnej zdobyczy.

- Tu nie ma nic, tylko portrety wąsatych staruchów z marskością wątroby, malowane przez ludzi, o których nawet nie słyszałeś.

- Zauważyłem ten komitet powitalny. Ciekaw jestem, ile czasu zajmuje Stantnorom oduczenie swoich młodych od śmiechu?

- Może to dziedziczne. Nigdy nie widziałem, żeby Jennifer przestała wyłącznie markować.

- Wraca twój kumpel.

Peters pędził z kuchni pod pełnymi żaglami. Wiedziałem, co powie, zanim jeszcze się odezwał.

Ale i tak usłyszałem:

- Stary nie ma prawa głosu.

- Wydziedziczy cię.

- Spytaj mnie, gdzie to mam. Idziemy. - Sam jednak zwlekała spojrział na mnie tak, że wiedziałem, iż potrzebuje chwili prywatnej rozmowy. Pozwoliłem, żeby pozostali oddalili się od nas o długość schodów.

-Co?

- Ta sprawa z testamentem. W całym zamieszaniu zapomniałem ci powiedzieć. Kopia, którą spalił generał, nie była jedyna, Zawsze robił dwa egzemplarze każdego dokumentu. Nieraz na-wet trzy.

- O? - Ciekawe. To znaczy, że nic się nie zmieniło, jeśli morderca o tym wiedział. - Ile ich jest?

- Jedna na pewno. Dał mi ją dla ciebie. Jak prosileś. Zaniósłem ją do mojej kwatery, a potem zapomniałem, dopóki nie zacząłem rozmawiać z kucharką, a ona powiedziała to samo co ty, to znaczy o wydziedziczeniu.

- I to nie było dla ciebie takie ważne?

- Nie. Wyświadczyłem ci przysługę, ale zapomniałem tego zrobić do końca. Dopóki nie zrozumiałem, co może oznaczać istnienie kopii.

- To może znaczyć, że morderca się nie wycofa, jeśli o niej wie. A kto wie?

- Dellwood i Kaid. Byli tam. I wszyscy wiedzą, że generał robi kopie dokumentów.

- Gdzie ją włożyłeś? Daj mi swój klucz. Zaraz ją zabiorę. A ty idź pierwszy i zajmij się starym.

Obdarował mnie paskudnym spojrzeniem. Wiedziałem, co sobie myśli. Chciałem przetrzepać mu chatę.

- Nie sądzę, żebyś miał coś do ukrycia - powiedziałem.

- Garrett, jesteś sukinsynem. Postawiłeś mnie w takiej sytuacji, że cokolwiek zrobię, będzie źle.

- A masz coś do ukrycia?

- Nie! - Zmierzył mnie znowu.

- No to idź i weź go sam. Wierzę ci na słowo. - Przypomniałem sobie ogień, za który mógł być odpowiedzialny. Zostanę tu, ryzykując własne bebechy. - Byłe szybko.

Dał mi klucz.

- W szufladzie biurka.

Na schody wbiegła kucharka. Jej cielsko podskakiwało w rytm kroków.

- No i co, będziemy coś robić? - zapytała. - Czy mleć ozorami po próżnicy?

Mądra kobieta z tej kucharki. Stary na pewno jej nie wyrzuci. Kiedy na niego usiądzie, biedak będzie mógł tylko kłać i słuchać.

- Dzięki - szepnąłem.

Posłała mi upiorny wyszczerz.

- A niby za co? Przecie to mój dzidzius.

- Aha... - Obserwowałem, jak biegną, żeby przegonić resztę. Generał będzie w najgorszej pozycji taktycznej swego życia. Nie może nic zrobić Morleyowi, Saucerheadowi, doktorowi ani kucharce. A byłby potwornie głupi, gdyby zadarł z Petersem. Jeśli wyrzuci Czarnego Pietrka, pozbędzie się całej pieprzonej pomocy, jaką ma. Musi myśleć o przeżyciu w aspekcie innym niż wyłącznie osobisty. Musi myśleć o zachowaniu majątku.

Podejrzewam, że jego wartość spadała cholernie szybko.

Obracałem w palcach klucz Petersa. Rozejrzałem się. Miałem wrażenie, że ktoś mnie obserwuje, ale nikogo nie widziałem. Pewnie znowu moja blondynka, pomyślałem. Ciekawe, gdzie reszta. Pewnie pracują.

Krwiożerczy duch-wampir? Oprócz upiorców? Co za uroczy dom.

Garret 04 Stare cynowe smutki

XXXI

C

oś było nie tak. Drzwi Czarnego Pietrka nie były zamknięte. A przecież nie należał do niedbaluchów.

Kiedyś mi to już pomogło, złapałem wiec tarcze i wpadłem do środka. Ale i tym razem niczego nie znalazłem.

Ten cholerny dom był nawiedzony przez jakichś pieprzonych żartownisiów. Rzuciłem tarcze pod drzwi, wyjąłem „łamiągówkę” i podszedłem do biurka. Pokój był zwierciadlanym odbiciem mojego salonu. Usiadłem przy identycznym biurku.

Chyba usłyszałem szmer stopy na dywanie. Zacząłem się obracać, uchylać. No właśnie, tylko zacząłem.

Coś uderzyło we mnie jak padający monument. Zobaczyłem deszcz gwiazd. Chyba nawet zawyłem. Rzuciłem się w przód i moja twarz spotkała się z blatem. Nie było to spotkanie w przyjaznej atmosferze.

Bardzo trudno jest kogoś znieczulić. Albo uderzasz za słabo, w którym to przypadku ofiara zaczyna cię gonić, albo za mocno i biedak odwala kitę. Jeśli masz choć blade pojęcie, co ro-bisz, nie wal nigdy w czubek głowy, chyba że chcesz roztrzaskać komuś czaszkę.

Ten cios wycelowany był właśnie w moją głowę. Poruszyłem się. Spadł mi na kark i chyba przetrącił ramię. Nie straciłem przytomności - w każdym razie nie więcej niż w dziewięćdziesięciu! dziewięciu procentach. Za to mnie sparaliżował. Przez pół minuty jak przez mgłę uświadamiałem sobie obecność jakiegoś ruchomego kształtu. A potem ktoś zgasił światło.

Powinienem być trzymać się z dała od mokrej roboty, myślałem, gdy odzyskałem przytomność. Za stary już na to jestem. Kac nie jest tego wart.

Wydawało mi się, że leżę na moim biurku w domu. Prawda dotarła do mnie, gdy próbowałem wstać. Ujrzałem nieznajome otoczenie. W głowie mi się kręciło. Upadłem, walnąłem szczęką o krawędź blatu, zwinąłem się na podłodze i pozbyłem lanczu. Zaledwie próbowałem się ruszyć, żołądek podnosił bunt.

W pewnej chwili tej całej zabawy ktoś przebiegł koło mnie i rzucił się w stronę drzwi. Kątem oka spostrzegłem tylko brązową smugę, ale niewiele mnie to obeszło.

Wstrząs mózgu, pomyślałem. Trochę się przeraziłem. Widziałem już chłopców, którym po ciosie w głowę pomieszało się w mózgowicy. Niektórzy byli sparaliżowani. Niektórzy zasypiali, nigdy się nie budząc.

Nie możesz zasnąć, Garrett. Nie możesz zasnąć. Tak mówią lekarze. Wstawaj, Garrett. Do licha z rzyganiem. Naprzód. Niech ciało podda się twojej woli.

Problem w tym, że woli niewiele zostało.

Po chwili udało mi się podciągnąć kolana pod siebie i popęznąć w stronę drzwi. W czasie tej wyprawy kilka razy zaryłem nosem w podłogę, ale ćwiczenie dobrze mi zrobiło. Dotarłem na miejsce na tyle trzeźwy, że zacząłem się już bać, iż nie umrę. Nabrałem nawet takiej ambicji, że otwarłem drzwi i wypełzłem na korytarz. Przebyłem prawie cały metr, zanim padłem i znów zemdląłem.

Delikatne, czułe palce lekko wędrowały po mojej twarzy, wyczuwając jej rysy. Kiedyś w ten sposób dotykała mnie niewidoma kobieta. Jakimś cudem obróciłem się na plecy i uchyliłem powiekę na jedną milionową cala.

Moja słodka pani w bieli przysłała mi na ratunek. A przynajmniej wydawała się zatroskana. Poruszyła wargami, ale niczego nie usłyszałem.

Panika. Słyszałem też o chłopcach, którzy stracili słuch.

Odskoczyła. Nie musiała. Nie byłbym w stanie nawet rozdeptać pieprzonego ślimaka. Co więcej, drzwi pokoju Czarnego Pietrka zatrzasnęły się na moich nogach. Byłem uwięziony jak mysz w pułapce.

- Nie odchodź, proszę - wydusiłem z siebie słabiutkim głosem. Zagrała detektywistyczna żyłka. Chciałem wiedzieć. Wróciła. Osunęła się na kolana, wróciła do masowania mi głowy.

- Bardzo boli? - jej głos był cieniem szeptu. Dźwięczała w nim troska. Z oczu też wyglądała troska.

- Tylko serce. Ciągłe mi uciekasz. - My, detektywi, jesteśmy niezniszczalni. Zawsze mamy na oku najważniejszy cel. - Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem w życiu.

Oczy jej zabłyśły. Dziwne, jak kobiety lubią słyszeć, że są piękne. Dziwne jak to, że upuszczony kamień spada na ziemię. Uśmiechnęła się nawet - na jedną setną sekundy.

- Kim jesteś? - Pomyślałem, że powinienem jej powiedzieć, że ją kocham, ale wydawało mi się to trochę przedwcześnie. Dam jej jeszcze dziesięć minut.

Nie odpowiedziała. Po prostu masowała mi czoło i skronie, nucąc coś tak cicho, że nie mogłem rozróżnić słów.

Kim jestem, aby kwestionować wolę bogów? Zamknąłem oczy i niech się dzieje.

Śpiew zabrzmiał trochę głośniej. Kołysanka. W rodzaju „śpij kochany, śpij”. Nie ma sprawy. Do diabła z robotą. To jest życie.

Coś musnęło mi wargi, lekkie jak piórko, ciepłutkie. Uchyliłem powieki. Była o centymetr ode mnie i uśmiechała się.

Taaak...

Wszystko nagle odpłynęło z jej twarzy. Poderwała się i uciekła. Bam! Zanim pokonałem bezwład i odwróciłem głowę, już jej nie było.

W korytarzu rozległ się tupot stóp, najpierw krok był wyrównany i spokojny, potem pospieszny.

- Garrett! Co się stało? - Peters przykląkł obok mnie. Nie był ani w części tak śliczny jak jego poprzedniczka.

- Ktoś w twoim pokoju - wyskrzeczalem. - Rozkwasił mi makówkę.

Zerwał się i skoczył do środka. Miałem na tyle rozumu, żeby podwinąć nogi, zanim drzwi się zamkną z powrotem. I to wszystko. Wydawało mi się, że przeharowałem cały dzień.

Peters wyskoczył.

- Wszystko wyrócili do góry nogami. - Trzymał coś w ręku. - Tu jest testament. Czego innego mogli tam szukać?

- Może właśnie tego. Zmarszczył brwi.

- Musiałeś wszystko zahartować?

- No. Człowiek robi to, co musi.

- Wiec czemu go nie zabrał, jeśli o to mu chodziło?

- Upadłem na biurko. Nie mogłem go wziąć, jeśli nie chciał mnie ruszyć, bo wtedy mogłem się zbudzić. Zwiął, kiedy zacząłem przychodzić do siebie. Kto mógł słyszeć naszą rozmowę?

- Na pewno ani kucharka, ani Kaid. Byli na górze ze starymi Wayne jest na zewnątrz. Chowa

Snake'a, Hawkesa i Tylera.

Pozwoliłem, żeby pomógł mi usiąść.

- Gdzie oni byli?

- W budynku studni. Tam jest chłodniej. Co za różnica?

- Zostaje Chain, prawda? Albo Dellwood, jeśli wrócił.

- Chain miał być na pogorzeliisku i pilnować, żeby nie było zarzewi, a oprócz tego miał ratować, co się da, ze stajni.

- To raczej nie był duch. A już na pewno nie upiórzec. Aha znaleźliście tego trzeciego?

- Nikt nie miał czasu szukać.

- No to on nas znajdzie. - Wyciągnąłem rękę. Pomógł mi wstać. Wspólnymi siłami jego i ściany udało im się utrzymać mnie w pionie.

- I jaki wyrok w sprawie starego? - zapytałem. Głowa bolała mnie tak bardzo, że nie czułem oparzeń. Nie ma jak dobre znieczulenie.

- Właśnie cię szukali, żeby ci opowiedzieć.

- No to mi opowiedz.

- Wyrzucił mnie i Kaida. Powiedzieliśmy, żeby szedł do diabła, bo my się stąd nie ruszymy,

- Z tego wnoszę, że nie masz zamiaru mi opowiedzieć.

- Nie chce o tym mówić. To nie takie łatwe do uwierzenia.

I już wszystko wiedziałem. Pozwoliłem jednak, żeby sprowadził mnie na dół, do holu. Uczepiłem się fontanny i do momentu pojawienia się Morleya i reszty próbowałem ustalić, gdzie jest góra, a gdzie dół.

- Z tego wynika, że idę sobie kupić demonologa? - stwierdziłem.

- Nie patrz tak na mnie - zaprotestował Morley. - To nie moja wina.

- Wyglądasz na wystraszonego.

- Bo straszyla mnie straszą, Garrett. Potrafię sobie poradzić nawet z wampirem i wilkołakiem, ale ze straszylem sobie nie poradzę.

- Mhm. - Nie chciał wierzyć, że ten dom jest nawiedzony. Ja też nie całkiem byłem gotów to kupić. Łatwiej przełknąć coś takiego, kiedy stawką nie jest spadek. Już nie po raz pierwszy fałszywy duch służył jako przykrywką dla krwawych porachunków.

I, oczywiście, to nie żadne straszyle załatwiło Hawkesa i Bradona. To nie duch próbował mnie zamknąć w pułapce, posiekać toporem, spalić żywcem czy wybić mi dziurę w głowie.

Wszyscy stali kręgiem wokół mnie, jakbym to ja dowodził.

- Łeb mi pęka - powiedziałem. I dodałem: - Morley, zostaniesz tu dzisiaj? Pomożesz mi?

- Obawiałem się, że o to poprosisz.

To taki przemiły sposób mówienia „tak”.

- Płacę gotówką - obiecałem.

- Skąd weźmiesz gotówkę, jeśli stary nic nie ma?

Nie wyjaśniłem, że wziąłem forszę z góry, choć wydatki już prawie pochłonęły cały narzut.

- Coś wymyślę. Jak on to przyjął?

- Nie był zadowolony, oględnie mówiąc. Spojrzałem na lekarza.

- Nie mogłeś znaleźć przyczyny fizycznej? Łasica pokręcił głową.

- Nie powiem, że to coś, czego nie znam. Albo kombinacja. Ale wezwij demonologa. Do licha, sam ci go przyślę. Najpierw trzeba wyeliminować to co nadprzyrodzone. Jeśli nie ma pocho-dzenia nadprzyrodzonego, poślijcie po mnie. Ciekawe wyzwanie.

Morley zaśmiał się ponuro.

- Wy dwaj pracujecie tak dobrze, że powinniście tym zarabiać na życie. On próbuje wykorzystać nieznaną chorobę, a ty znaleźć mordercę, który jest bardziej cwany od ciebie.

- Moja część jest prosta - warknąłem. - Muszę pozostać przy życiu, aż zostanie tylko jeden podejrzany.

Łeb mi pękał, co cudownie działało na mój humor.

- Doktoru, masz coś na ból głowy?

- A co się stało?

Opowiedziałem mu.

Nalegał, żeby mnie zbadać i udzielić zwyczajowego zestawu rad przy wstrząsach mózgu. Może nie był złodziejem w stu procentach. Mam kiepską opinię o zawodowcach, zwłaszcza o lekarzach i prawnikach. Sprawdzoną na własnej skórze.

Dał mi potężną dawkę dyżurnego syropu, zawierającego paskudny w smaku wywar z kory gałęzi wierzbowych. Z tak pokrzepionym żołądkiem uznałem, że najlepiej będzie zacząć działanie od działania.

- Peters, wkrótce kolacja. Chłopcy mogą być głodni. Załatw to z kucharką, jeśli będą chcieli jeść. Ja skoczę do generała.

Peters mruknął coś pod nosem, zapytał, czy ktoś chce jeść. Saucerhead i doktor chcieli, i to bardzo, a Morley i tak zostawał na noc.

Wchodząc na schody, przypomniałem sobie, że Dellwood za moją radą miał się zabrać do miasta powozem. Ciekawe, czy stoi tam jeszcze i czeka, marznąc na deszczu wraz z woźnicą?

Wciąż lało. Rozglądałem się też za Waynem i Chainem. Choć za tym ostatnim nie tak bardzo. Miałem go. Trzeba było go tylko zapakować do pudełka i zawiązać kokardkę.

- Wywał go - wychrypiął Stantnor do Kaida, kiedy się wprosiłem do gabinetu.

Kaid zmierzył mnie wzrokiem

- Wątpię, czy się da, sir - powiedział całkiem poważnie, ale w oczach migotały mu wesołe iskierki. Obrócił się twarzą w stronę ognia, żeby ukryć uśmiech.

- Słyszał pan diagnozę, generale? - zapytałem.

- Panie Garrett, nie wynająłem pana, żeby się pan wtrącał w moje życie, tylko po to, żeby pan znalazł złodzieja.

- I mordercę. I przyszłego mordercę, który chce pańskiego skalpu. A to oznacza, że częścią zadania jest utrzymanie pana przy życiu. W tym celu muszę wiedzieć, jak pana próbują zabić. Przypuszczaliśmy, że to trucizna. Przypuszczenie okazało się błędne.

Wyglądał na zaskoczonego. Może mu nie powiedzieli. Może stał się już tak upierdliwy, że woleli wyjść.

- Pan Dotes to ekspert od trucizn. Doktor też, ale on jest również ekspertem od chorób tropikalnych. - Co to szkodzi, żeby trochę ubarwić fakty? - Powiedzieli, że to nie trucizna, chyba że tak egzotyczna, że oni sami nigdy o niej nie słyszeli. I nie cierpi pan na żadną znaną chorobę, choć doktor twierdzi, że ma pan anemię i żółtaczkę. Chorował pan kiedy na malarię, generale?

Chyba był trochę wzruszony, że ludzie pomimo wszystko tak się o niego troszczą.

- Tak. Trudno jej uniknąć na wyspach.

- Ciężką?

- Nie.

- Bierze pan może potajemnie chininę? Doktor twierdzi, że zanieczyszczona chinina może stanowić źródło pańskich kłopotów.

- Nie! Ja nie... - Dopadł go kolejny spazm. Czy to mogło być serce?

Tym razem poszło lekko. Zaczął przychodzić do siebie, zanim jeszcze Kaid do niego dotarł.

- Nie, Garrett - wykrztusił. - Żadnych leków. Odmówiłbym nawet, gdyby mi zalecili.

- Tak myślałem. Ale musiałem się upewnić, zanim powiem, co naprawdę myślę.

- To znaczy? - Szybko dochodził do siebie.

- Jest pan opętany.

- Co? - Tym razem go naprawdę zaskoczyłem. Spojrzał na Kaida, który tylko gapił się tępo.

- To jest problem natury paranormalnej. Pańskim wrogiem jest duch. Albo ktoś, kto jest w stanie nasłać na pana ducha. Peters twierdzi, że nie ma pan takich wrogów. Doktor mówi, że tego kogoś należy szukać w pańskiej przeszłości.

Myślałem, że to niemożliwe, a jednak stracił kolor jeszcze bardziej. Zrobił się cholernie szary na twarzy.

A jednak coś było. Jakiś mroczny moment przeszłości, znany jedynie jemu, tak straszliwy, że ktoś gotów był sięgnąć zza grobu, by przywrócić równowagę. Do licha, takie miejsce, jak dom Stantnorów, nie byłoby kompletne bez jakiegoś przerażającego zdarzenia w przeszłości, bez przekleństwa.

- Lepiej porozmawiajmy o tym - zaproponowałem. - Będzie my musieli wynająć ekspertów. - Posłałem Kaidowi znaczące spojrzenie. Stary nie wypowiada się z dawnych grzechów przed tłumem słuchaczy.

- Demonolog. Egzorcysta. Może nawet medium lub nekromanta, który będzie mógł porozumieć się z duchem.

Kaid stał murem i ani mrugnął.

Generał milczał przez chwilę, dopóki się nie upewnił, że powie tylko tyle, ile chce powiedzieć.

To znaczy:

- Wynoś się, Garrett.

- Dopiero wtedy, kiedy zacznie pan mówić.

- Wynoś się, zostaw mnie samego. Do diabła, wynoś się z mojego domu! Wynoś się z mojego życia...

Dostał kolejnego ataku. Tym razem nie poszło tak lekko.

- Dawaj tu tego lekarza! - wrzasnął Kaid. Z jego twarzy trudno byłoby wyczytać choćby ślad przebaczenia, że tak zdenerwowałem starego.

Dziwni ludzie, wszyscy po kolei.

Garret 04 Stare cynowe smutki

XXXII

P

oszedłem do kucharki. Byliśmy w kuchni sami.

- Pomóc ci?

- Chyba znowu usiłujesz mnie od czegoś odwieść tymi słodkimi słówkami, co? Przejrzałam cię na wylot, chłopcze. Powinieneś już wiedzieć, że nie rzucam słów na wiatr. Nie mówię nikomu o niczym, co nie jest moją sprawą.

- Oczywiście, że nie. - Zakasałem rękawy i z, odrazą zmierzylem wzrokiem stos brudnych naczyń. Niewielu rzeczy nienawidzę tak jak zmywania. No, ale porwałem z pieca kocioł wrzątku, przygotowałem zlew, nastawiłem więcej wody na grzanie i zabrałem się do roboty. Minęło dziesięć minut całkowitego milczenia. Czekałem, aż jej ciekawość będzie można kroić nożem.

- Byłaś tam, kiedy badali generała. Co o tym sądzisz?

- Ten felczer jest tak głupi, jak twierdzi generał. - Nie wyglądała na przekonaną o prawdziwości własnych słów, raczej na zatroskaną.

- Wiesz, jakie jest jego zdanie na ten temat?

- Wiem, co powiedział. Zgłupiał, jeśli tak uważa. Tu nie ma duchów.

- Jeśli nie liczyć trzech upiorców.

Westchnęła ciężko. Te upiorce też leżały jej na sercu. Gdyby się nie pojawiły, nawet przez chwilę nie dałaby wiary pomysłowi lekarza.

- Ludzie powtarzają mi, że generał nie ma takich wrogów, którzy chcieliby go zabić. Nikt też nie ma powodu, żeby go popędzać w drogę na tamten świat, nawet biorąc pod uwagę wielkość schedy.

- Raczej tego, co zostanie, odkąd zostawił ją na pastwę losu. Przysięgam, że ta cholerna choroba zaraziła cały dom - mówiła słabym głosem. Nie była już tą samą kobietą co przedtem. Różne rzeczy działały się w jej głowie. Nie miała chwili wolnej na rozmyślania.

- Jeśli nikt dziś nie chce go zabić ani torturować powolnym umieraniem i piekielną agonią, kto mógłby tego chcieć w przeszłości? Jestem głęboko przekonany, że ta sprawa zaczęła się jeszcze przed jego wyjazdem do Kantardu.

Burknęła coś, rzucając sztućcami, i nie odpowiedziała.

- Co się stało? Jedynym tragicznym wydarzeniem, o jakim wiem, jest śmierć jego żony. Czy może ma to z nią coś wspólnego? Jej rodzice... Jennifer mówiła, że wydaje się jej, iż to był lord ognia i strażniczka burz, ale nie wie dokładnie. Czy został po nich jakiś spadek? Jakaś spóźniona klątwa?

Wciąż nie miała odwagi, żeby odpowiedzieć.

- Czy byli może wplątani w intrygę Niebieskich za czasów Kenricka III?

- Wyciągasz daleko idące wnioski z niczego, chłopcze.

- Właśnie z tego żyję i za to mi płacą. Myślę, że dziadkowie Jennifer byli w to wplątani. Myślę, że matka Jennifer przyjechała tu głównie po to, żeby się ukryć przed ewentualnymi represjami, gdyby spisek się nie powiódł. Miała szczęście, bo rzeczywiście się nie powiódł. A Kenrick zniszczył wszystkich, nawet pośrednio z nim związanych. Zastanawiam się, czy doktor, który podał jej niewłaściwy lek, nie był na królewskiej liście płac. Może Jennifer przeżyła tylko dlatego, że nie zdobył się na zabicie! noworodka?

- Rzeczywiście, wyciągasz wnioski.

Zamilkłem w nadziei, że wypełni lukę.

Zmywałem, ustawiając naczynia do wyschnięcia. Było tu dla mnie dość pracy, żeby zmienić zawód, kiedy się znudzę poprzednim. Miałem na to ochotę.

- Matka pani nazywała się Charon Jasna. Jej ojcem był Koszmar Niebieski.

- Wesoły gość. - Koszmar Niebieski był tym, który zmontował spisek Niebieskich. Był złośliwy i podły jak mało kto. Powiadano, że tylko groźba wycofania się większości kluczowych konspiratorów zmusiła go do ograniczenia spisku jedynie do osoby króla. Miał zamiar wyczyścić cały dom Kenricka. Zła krew pomiędzy nimi wywodziła się z jakiegoś tajemniczego wydarzenia z dzieciństwa.

Charon Jasna była podobno tak niewinna, jak tylko może być żona. Prawdopodobnie do samego końca nie wiedziała o spisku. Istniały jednak powody, żeby podejrzewać, iż to ona była odpowiedzialna za klęskę spisku, właściwie w ostatniej chwili ostrzegając króla.

Nigdy się nie dowiemy... chyba że ktoś zbudzi umarłych i zapyta. Nikt z tych ludzi nie przeżył. Nie sądzę, żeby ktoś próbował. Wskreszenie czarownika to głupia zabawa... chyba że jesteś potężniejszym czarownikiem.

- Czy matka przywiozła tu Eleanor, żeby ją ukryć? Kucharka zamruczała coś pod nosem, chyba żałowała, że się tak rozgadała. Przez kilka minut siedziała cicho. Nabrałem więcej gorącej wody.

- Matka ją przywiozła. W środku nocy. To była diabelska noc, grzmoty, błyskawice i wiatr, który wył jak stado udręczonych dusz. Sharon Jasna była jakąś daleką krewną Stantnorów. Nie pamiętam jej rodzowego nazwiska. Fen coś tam. Przywiozła dziecko tak przerażone, że się zmoczyło. Była taka jak Jennifer, nigdy nie wychodziła z domu. I taka śliczna mała...

- Jak Jennifer.

- Była mniej śmiała niż Jenny. Jenny potrafi się zmusić do czegoś. To prawdziwa aktorka. Ubiera się w rolę jak w sukienkę, biedne dziecko. Ale młoda panienska Eleanor była inna. Bała się własnego cienia.

Teraz to ja jęknąłem,

- Stary generał i Sharon Jasna wymyślili to właśnie tutaj, w kuchni. Podawałam herbatę. Ożeniam to dziecko z młodym Willem, tylko dla pozorów, więc będzie bezpieczna. To było tylko na kilka dni przedtem, jak rozpętała się burza. Kenrick nie mógł nic zrobić, żeby zdenerwować starego generała, bo był on wtedy jedyną opoką pomiędzy Karenta a klęską w Kantardzie. Wtedy wojna niewiele dla mnie znaczyła. Mój ojciec nie żył od wielu lat, został tam zabity, a ja byłem za młoda, żeby się tymi przejmować. Ale pamiętam, że w tamtych latach szczęście nie sprzyjało Karencie i mówiło się, że starszy Stantnor jest jedynym człowiekiem, który może sobie poradzić z Venageti. Chcesz znać moje podejrzenia? Sądzę, że Sharon Jasna miała zamiar ubić interes. Sprzedała spisek za własną nietykalność. Nie wiem, czy właśnie tak zrobiła, ale nie przeżyła tego.

- Zaczyna mi się wszystko plątać - wyznałem. - Myślałem, że właśnie wtedy urodziła się Jennifer. I że miała starszego brata.

- Przyrodniego. Jego matką była pierwsza żona generała. Przyspieszony ślub z konieczności, kiedy miał szesnaście lat. Córka służącej. Ale tego akurat nie musisz wiedzieć.

- Muszę wiedzieć wszystko, jeśli mam znaleźć sens w tym, co się dzieje. Ukryte sekrety zabijają. Co się stało z pierwszą żoną ?

- Pozostali małżeństwem, dopóki chłopak nie dorósł, by mieć nauczycieli i niańki. Potem ją odstawił. Stary generał odesłał całą jej rodzinę.

- Ukryta uraza?

- Okropna. Ale stary generał ich przekupił. Wypominał to młodemu Willowi codziennie.

Zwłaszcza kiedy ten wracał z nocy spędzonej na dziwkach. Za młodych lat był naprawdę ohydny rozpustnikiem. Można by powiedzieć, że miał obsesję. - Nie brzmiała to tak, jakby go uważała za zabawnego łobuziaka. Sądząc z tego co mówiła, chybabym go nie polubił.

Przez piętnaście minut próbowałem wydobyć z niej coś więcej. Do tej pory dowiedziałem się tylko, że mogłem zgadywać iż młody Stantnor był chamskim dupkiem, opętany rozpustą i że jego życie nabrało znaczenia i celu dopiero wtedy, gdy znalazł się na stałe w Kantardzie.

- A więc nie był miłym chłopcem. Kto z tamtych lat nienawidził go na tyle, by...

- Nie - przerwała bez wahania; - Takie jest życie, Garrett. Cierpienie nie trwa wiecznie. Każdy robi głupoty, kiedy jest młody.

Ale niektórzy nie przestają z wiekiem.

- Każdy z tego wyrasta. Nie śmiejesz się, kiedy patrzysz wstecz, ale nie zabierasz śmiertelnej żądzy zemsty do grobu.

No, nie wiem. Stantnorowie wydawali się porządnie skrzywieni moralnie. Jeśli to samo dotyczyło ich własnego kręgu, ktoś taki może chować po grób urazę o coś, co normalni ludzie uznaliby za pecha,

- No to powiedz mi, kto go nawiedza?

Przerwała pracę, spojrzała na mnie. Przypomniała sobie o czymś, o czym nie myślała od lat. Przez chwilę wahala się, bliska wyjawienia mi wszystkiego, ale potrząsnęła głową.

- Nie. To nie było tak - mruknęła.

- Co nie było?

- Nic. Okrutne plotki. Nic, co miałyby z nami jakiś związek.

- Lepiej mi powiedz. Może jednak to miało jakiś wpływ.

- Nie powtarzam kłamstw o nikim. I tak to nie ma nic wspólnego z nami, w żadnym razie.

Podniosłem trzeci gar z gorącą wodą. Ależ ze mnie pracuś. Założę się, że nie mieli tylu czystych naczyń od lat. Wreszcie jestem w czymś dobry. Nie potrafię powstrzymać ludzi, żeby się nie zabijali wzajemnie, ale zmywam jak szatan. Może już czas rozważyć zmianę zawodu.

Po chwili powiedziała:

- Co się ma stać, to się stanie. Zakochał się w pannie Eleanor. Była jego boginią.

Wszyscy chcemy tego, czego nam nie wolno mieć. Chrząknąłem zachęcająco. Kiedy to nie pomogło, zadałem pytanie wprost.

- I tak już za dużo powiedziałam - odparła. - Chyba naopowiadałam mnóstwo rzeczy, których nie powinnam opowiadać obcemu.

Wątpię. Podejrzewam, że obracała w myślach każde słowo po trzy razy i powiedziała mi dokładnie to, co chciała, żebym wiedział. Kiedy uzna, że będę gotowy, uhonoruje mnie kolejną porcją. A ja już byłem gotów.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz. Założę się, że w twojej głowie jest jeszcze mnóstwo rzeczy, które mogłyby uratować niejedno życie.

Może tym razem przycisnąłem ją za bardzo. Nie musiałem jej mówić tego, co i tak już wiedziała. Obraziła się. Obrzuciła mnie ponurym spojrzeniem i zasznurowała usta do samej kolacji a i wtedy tylko burczała i rozkazywała.

Garret 04 Stare cynowe smutki

XXXIII

P

o kolacji udało nam się wreszcie wyprowadzić doktora i Saucerheada do domu. Morley i ja ruszyliśmy do mojego apartamentu.

- Stary Dellwood chyba zmęczył się czekaniem - zauważyłem.

Zgodnie ze słowami woźnicy, Dellwood pozostawił powóz kilka godzin temu. Woźnica zresztą też nie był zadowolony, bo nikomu z nas nie przyszło do głowy zaprosić go do środka.

Morley czknął.

- Ta kobieta próbowała mnie otruć. Żarcie nie nadawało się nawet dla świń.

Zachichotałem. Wygłosił tylko jedną, odrobinę niepochlebną uwagę i od razu dostał propozycję, żeby gotował sobie sam.

Jego obecność nie zachwyciła tubylców. Rozpalony do białości urok osobisty Morleya nie zrobił na Jennifer cienia wrażenia, a jego uczucia zostały zranione do głębi. Nie był przyzwyczajony do tego, że ktoś patrzy nań jak na coś paskudnego, co akurat wypełzło spod kamienia.

Nie wiedzieli ani kim, ani czym jest, tyle tylko że wtargnął w ich spokojną, choć dziwaczną egzystencję. Cóż, ja nie jestem tak wrażliwy.

- Co za urocza gromadka, Garrett. Naprawdę urocza. Ta dziewczyna mogłaby pracować w chłodni. Gdzieś ty ich wynalazł?

- To oni znaleźli mnie. Ludzie, którzy są normalni, z reguły mnie nie potrzebują.

Odchrząknął. Sporo tego było, jak na jeden raz.

- Potrafię to zrozumieć.

Podejrzewam, że jego klienci są jeszcze dziwniejsi niż moi. Tyle tylko że on nie musi z nimi tak długo przebywać.

Sprawdziłem pułapki na drzwiach. Tym razem nie miałem nieproszonych gości. Weszliśmy do środka.

- Prześpię się trochę - oznajmiłem. - Miałem paskudną noc. Nie strasz już dzisiaj.

- Nie tym razem. - Uśmiechnął się kwaśno i zaczął rozplątywać kawał sznura, który zwinął, kiedy pomagałem kucharce sprzątać talerze po kolacji.

- A to po co?

- Będę mierzył. Mówisz, że ktoś tu wchodzi i wychodzi, nie używając drzwi, więc musi być inna droga. - Odmierzył stopę sznura, zawiązał supeł, złożył sznur, zawiązał następny supeł. Niej była to doskonała miarka, ale wystarczy.

- Sam miałem to zrobić. W wolnej chwili.

- Nigdy nie masz czasu na szczegóły, Garrett. Zbyt jesteś zajęty miotaniem się wokół własnej osi i wymuszaniem zdarzeń. Czego się dziś spodziewasz?

Dałem mu do zrozumienia, że możemy się spodziewać pewnych wrażeń.

- Przypuszczam, że jeden upiórzec może wrócić. Nie wiadomo co jeszcze. Porobiło się tak, że właściwie wszystko może się zdarzyć. Kiedy już się tu pętasz, pomyśl, jak zmusić Chaina, żeby się zdradził.

- Tego z gębą jak kloaka?

- Właśnie.
- To on jest naszym brzydkim chłopcem?
- Tylko on miał okazję załatwić Hawkesa i Bradona, i tylko on mógł próbować mnie załatwić.
- Bądź przynętą. Złap go za rękę.
- Dzięki serdeczne. Spieprzył już trzy razy, może cztery. Ile mam mu jeszcze dać okazji?
- Dobra, idź spać. Jesteś bezpieczny, Morley czuwa.
- Nie jest to taka pociecha, jak ci się zdaje. - Powlokłem się do sypialni, zrzuciłem ubranie i wsunąłem się pod kołdrę. Jest coś grzesznego w leżeniu nago w takim luksusie.

Jakieś trzydzieści sekund słuchałem stukania, pomruków i monologów Morleya. Deszcz stukał i pukał w szyby. A potem zgasły światła.

I już się nie zapaliły.

Noc można jeszcze rozjaśnić ogniem. I tak istniało zagrożenie pożarem.

Kiedy się obudziłem, nie byłem sam. Wróciła moja jasnowłosa przyjaciółka. Sprawdziła moje czoło, dotknęła policzka i tak dalej.

Tym razem nie była aż taka szybka. Pochylała się nade mną, a ja nie myślałem, dopóki nie wyciągnąłem ręki. Chwyciłem ją za przegub i pociągnąłem do siebie. Upadła na mnie.

Panowała ciemność. Gdyby była ubraną na czarno brunetką, pewnie bym jej nie widział. Ale z odległości kilku centymetrów jej twarz była doskonale widoczna. Dostrzegłem na niej coś w rodzaju uśmiechu, jakby chciała się wydawać radosna i rozigrana, ale reszta ciała nie potrafiła tak kłaniać. Dygotała ze strachu.

- Mów coś - szepnąłem. - Powiedz, kim jesteś.

Objąłem ją ramieniem, pogładziłem po karku. Włosy dziewczyny były delikatne i jedwabiste jak pajęczyna, lekkie jak puch. Zrobiłem to tylko dlatego, żeby mi nie uciekła, ale już po czterech sekundach zacząłem mieć kłopoty z koncentracją. Zamiast odpowiedzieć, pocałowała mnie. Ludzie kochani! Ten pocałunek miał kopa jak czysty spirytus. Zacząłem powtarzać mantry tylko po to, żeby pamiętać, jak się nazywam.

Drżała, jakby biegła nago w burzy śnieżnej, ale mnie rozgrzała do białości. Wśliznęła się pod kołdrę. O, tego właśnie było trzeba staremu, żeby go rozgrzać. Ależ mógłby zaoszczędzić

na drewnie. A potem zgubiłem mantre i odpowiedziałem jej pocałunkiem. W jakieś dwadzieścia sekund później zapomniała o drzeniu.

Morley walił w drzwi.

- Hej, Garrett! Będiesz kimał całą noc?

Usiadłem tak szybko, że zakręciło mi się w głowie. Pomacałem wokół siebie. Tylko Garrett, całkiem sam. Co? Mam bujną wyobraźnię i nieraz śnią mi się różne dziwne rzeczy, ale...

- Przynieś tu lampę. :

- A co z pułapką?

A co ma być?

- Nie zastawiłem.

Morley zastał mnie na krawędzi łóżka, odzianego w prześcieradło. Miałem nietęgą minę, a czułem się cztery razy bardziej nietęgo, niż wyglądałem.

- Co się stało?

- Nigdy w to nie uwierzysz... Nie uwierzył.

- Nie wychodziłem z drugiego pokoju. Chyba tylko na chwilę, na siusiu. Nikt nie mógł się prześliznąć. Coś ci się śniło.

Może. Ale, do licha!

- Przydałoby mi się więcej takich snów, jeśli to był sen. Nie sądzę. Nigdy takiego nie miałem.

- Człowiek się starzeje i zaczyna przeżywać przygody w marzeniach. - Wyszczерzył wspaniały garnitur spiczastych elfich zębów.

- Nie zaczynaj; Jestem zbyt oszołomiony, żeby odpowiednio reagować. Znalazłeś coś? Która godzina?

- Tak. Twoja szafa jest o dwie trzecie głębokości za duża. Jest po pomocy. To godzina czarów.

- Pewnie mógłbym się obejść bez takich alarmów - mruknąłem i wstałem, wlokąc za sobą prześcieradło.

Morley zrobił dziwną minę, podszedł bliżej i podniósł coś z podłogi.

Był to czerwony pasek, który moja blondynka zawsze miała na sobie, nawet na portrecie wykonanym przez Snake'a.

Spojrzał na mnie. Ja spojrzałem na niego. Chyba się słabo uśmiechnąłem.

- To nie moje - oznajmiłem.

- Może naprawdę powinniśmy się stąd wynosić, Garrett.

Ubierałem się powoli. Nie wiedziałem, co mam mu odpowiedzieć. W zasadzie zgadzałem się z nim. Wreszcie mruknąłem pod nosem:

- A ty kiedyś wycofałeś się z roboty, na którą już się zgodziłeś? Znow przybrał dziwny wyraz twarzy.

- Tak. Raz.

Nie mogłem sobie tego wyobrazić. To nie w stylu Morleya Dotesa. Zawsze się wywiązywał z zadania. Nie cofnął się nawet przed kacykiem, ani przed gniazdem wampirów. Widziałem to na własne oczy.

- Nie wierzę. Co to było? Stado gromojaszczurów?

- Niezupełnie.

Nie lubił rozmawiać o swojej pracy. A ja nie pytałem dalej.

- Chodź, obejrzymy tę szafę.

Wydawało się jednak, że bardziej był przerażony sytuacją, niż to okazywał.

- Facet wynajął mnie, nie mówiąc, kto ma być celem, tylko gdzie będzie o danej godzinie. Kiedy tam poszedłem, spotkała mnie największa niespodzianka w życiu.

Otwarłem drzwi szafy.

- No dobrze, wierzę.

- Tym celem byłeś ty.

Obejrzałem się powoli. Przez jakieś dziesięć sekund nie miałem pojęcia, co się ze mną dzieje. Czyżby przyszła wreszcie ta chwila, o którą się modliłem, by nigdy nie nastąpiła?

- Spoko. To było pół roku temu. Zapomnij o tym, nawet nie chciałem ci nic mówić.

Nie wspominałby, gdyby nim coś naprawdę nie wstrząsnęło tak, że się prawie załamał. Próbowałem sobie przypomnieć, nad czym wtedy pracowałem. Nic ważnego. Jakaś zaginiona osoba. Sprawa była śmierzcząca od pierwszej chwili, ale syf rozlał się dopiero wtedy, gdy znalazłem trupa zaginionego.

- Jestem twoim dłużnikiem.

- Zapomnij. Nie powinienem był o tym mówić.

- To ty zapomnij. No, sprawdźmy, gdzie się podziało brakujące miejsce. - Chyba wiem, o co chodziło. Ta sprawa z zaginionym cuchnęła, gdyż podejrzewałem, że kryło się pod nią coś więcej, niż chciała przyznać klientka. Wyglądała na bardzo mściwą, choć nic w jej opowieści nie wskazywało na przyczynę. Szukała gościa, który był, według niej, współnikiem zmarłego męża.

Teraz dopiero wszystkie klocki układanki znalazły się na swoim miejscu. Facet, którego szukała, szantażował ją z powodu śmierci męża. Przestała mnie potrzebować, gdy okazało się, że gość nie żyje.

A on mógł wynająć Morleya, gdy się dowiedział, że to ja go szukam.

Do diabła z tym. Woda do morza. Nic wspólnego z obecną, sprawą.

Ale miałem dług wobec Morleya. Taki, który z nawiązką równoważył numer z trumną pełną wampira.

- Z tej strony - mruknął Morley.

To było oczywiste, jeśli wiedziałeś, że tam jest. Po prawej szafa była o pół metra płytsza, niż powinna.

-Przyjrzałem się wewnętrznej ścianie. Nic niezwykłego. Żadnych drzwi, nic do otwierania ani do odsuwania.

- Musi być gdzieś na zewnątrz.

Wyszedłem, sprawdziłem ścianę, szukając sprytnie ukrytego urządzenia, takiego, jakie już nieraz widziałem. Nie znalazłem bestii.

- Mam! - syknął Morley.

Przechylił półmetrowy odcinek boazerii na zewnątrz, jak kuchenny pojemnik na mąkę. Bam. Kiedy fragment znalazł się na swoim miejscu, zniknął bez śladu.

- Sprytnie - mruknął. - Każdy tajny wichajster zostawia ślady na podłodze, jeśli się go często używa.

Fragment nie całkiem dotykał podłogi, gdyż skórzana taśma powstrzymywała go przed opadnięciem. Zezem spojrzeliśmy po sobie.

- No i co? - spytałem. Uśmiechnął się.

- Możemy albo tu stać i gapić się, albo coś zrobić. Głosuję za tym drugim.

- Za tobą, mój panie.

- Och, nie. Ja jestem tylko wynajętym pomocnikiem. Podaję lancę rycerzowi, gdy jest już gotów uderzyć na Czarnego Barona. A kiedy czuję ogromną potrzebę pomagania, poleruję zardzewiałe płamy na jego zbroi. Nie włączę jednak za niego w pułapki.

- Ja też cię kocham, stary. - Miał rację, To była moja partia do rozegrania.

Nie zaszkodzi spróbować.

Wziąłem drugą lampę, upewniłem się, że obie są pełne, i zacząłem wpełzać do środka.

- Bądź blisko mnie.

- Tuż za tobą, szefie. Przez cały czas.

- Czekaj. - Cofnąłem się.

- Co znowu?

- Sprzęt. - To była chyba dobra pora, żeby się uzbroić. Na wszelki wypadek.

Morley obserwował, jak upycham sprzęt po kieszeniach. Uśmiechnął się, gdy ujrzał kolorowe fiołki.

- Ciekaw byłem, czy jeszcze je masz.

- Mądry człowiek niczego nie wyrzuca. Nigdy nie wiadomo, kiedy co się może przydać.

Uzbrojony jak na gromojaszczura, zawróciłem do przejścia. Tym razem posuwałem się naprzód do samego końca. Morley miał mniej kłopotu, bo był niższy i pół tony lżejszy. Ja ciągle objąłem sobie głowę. Przejście ciągnęło się jakieś pięć metrów, aż pod półkę w garderobie.

Wychynęliśmy w szerokiej na pół metra niszy za sypialnią i garderobą. Można było dostać klaustrofobii. Kurz, pajęczyny i nic ciekawego do obejrzenia, poza kołkami, wiórami i tynkiem.

Ściana za moimi plecami wyglądała identycznie. Należała do sąsiedniego apartamentu.

Oczywiście, były tam wizjery. Oczywiście. Kilka w garderobie i trzy w sypialni. Sama myśl, że ktoś mógł mnie podglądać, sprawiała, że czułem się cholernie niepewnie.

- A tędy się wychodzi - szepnął Morley.

Na końcu niszy, pod ścianą korytarza, znajdowała się dziura w podłodze. Do kołków przybito gwoździami drewniane szczeble.

Kichnąłem potężnie. Katar plus kurz sprzysięgły się przeciwko mnie.

Głowa bolała mnie od ciosu. Oparzenia piekły jak diabli. Nie miałem powodu się cieszyć, ale i tak zachichotałem.

- Co?

- Tym razem cię nie wyminę, nie ma miejsca. Musisz iść pierwszy.

- Tak sądzisz? — Usunął się do przejścia z mojego salonu. - Za tobą, mój panie.

- Jesteś taki śliski, że zaraz wyślizniesz się z własnych portek. - Na próbę stanąłem na stopniu.

Chyba był mocny.

Szliście kiedy po pionowej drabinie, niosąc żywy ogień? Na szczęście jestem mistrzem koordynacji.

Trzecie piętro było takie samo jak czwarte, z wyjątkiem pokrywy osłaniającej zejście na drugie piętro.

- Tam, w dole, jest duży magazyn - wyjaśniłem Morleyowi i kichnąłem tak mocno, że omal nie zgasiłem lampy. Nasłuchiwałem ruchu na dole. Cisza. Uniosłem pokrywę. Podniosła się na zawiasach.

Jak zejdziemy na dół? Badając magazyn, nie widziałem żadnych szczebli.

Cwani budowniczy. Tuż pod otworem znajdował się regał. Wsporniki półek stanowiły fantastyczne szczeble.

Zeskoczyłem na podłogę. Wiedząc, czego szukam, zlokalizowałem klapy wiodące do każdego pokoju w tym skrzydle.

- Dostyc proste - zauważył Morley. - Jak sądzisz, to do szpiegowania czy do ucieczki?

- Sądzę, że to zależy, co będzie lepsze dla Stantnorów. Zastanawiam się, jak to działa we wschodnim skrzydle. Tam jest trochę inny rozkład.

- Sprawdziłeś już to skrzydło, co?

- Z wyjątkiem piwnic.

- Nie znalazłeś miejsca, gdzie mogłaby się ukrywać ta twoja dziewczuszka?

-Nie.

- Pytałeś kucharkę o braki w spizami?

- Nie. - A powinienem. Przecież musi coś jeść. Pomyślałem o jej portrecie. Lepiej dziś w nocy przyniosę te obrazy do domu.

- To trzeba robić metodycznie. Najpierw piwnica, potem drugie skrzydło. Prawdopodobnie przejścia rozpoczynają się właśnie od piwnicy.

- Aha. - O ile dobrze pamiętałem, ściany znajdowały się jedna nad drugą, od pierwszego piętra po sam dach.

Nasłuchując, cichutko zesliśmy do jadalni. Nic. Do piwnicy.

Była to typowa piwnica z klepiskiem, wyższa od mojej, gdzie muszę się schylać, ale obszerna, ciemna i zakurzona, jak dżungla kamiennych filarów podpierających belki, które z kolei pod-pierały legary. Z początku wydawała się głównie pusta, zakurzona i sucha... choć ta suchość nie była dla mnie zaskoczeniem. Dom znajdował się na szczycie wzgórza. Budowniczy na pewno przygotowali

właściwy system odwadniający.

Kierując się na wschód, znaleźliśmy dowody na to, że w lepszych czasach była tu bogata kolekcja win. Teraz pozostały tylko regały.

- Niezłe miejsce, żeby pozbywać się trupów - zauważył Morley.

- Mają swój cmentarz.

- E, ktoś utopił dwóch czy trzech gości w bagnie. Racja.

Obeszliśmy wschodnią część, ale znaleźliśmy tylko regały na wino, zepsute meble, a w pobliżu stopni kielbasy i inne zapasy, zwisające z powały tak, by nie dosięgły ich myszy. Kichałem niemal bez przerwy.

- To ta łatwiejsza połowa - stwierdził Morley. Zaczęliśmy obchód zachodniego końca.

Ten fragment był o wiele mniej interesujący i fascynujący, z wyjątkiem wsporników i rur pod fontanną. Na pewno byłyby ciekawe dla inżyniera albo hydraulika. Żadnych wejść do ukrytych pasażów.

- Właśnie zmarnowaliśmy trzy kwadransy - zauważyłem

I kichnąłem.

- Nic nie jest stracone, jeśli coś znalazłeś. Nawet, jeśli to jest nic.

- To moja kwestia. A ty masz burczeć o straconym czasie.

Zachichotał.

- Pewnie się wzajemnie zarażamy. Wyjdźmy stąd, zanim pająki nas dopadną.

Chrząknąłem, kichnąłem. Ciekawe. Piwnica była niemal wolna od robactwa. Poza pajakami było tu dość mało zwierzyny. Spodziewałbym się raczej hordy myszy.

A potem przypomniałem sobie koty.

- Czujesz coś? Ogłuchłem na nos.

- A co mam czuć?

- Kocie gównno.

-Co?

- Nie ma myszy. A jeśli nie ma myszy, to w robocie muszą być koty. Jedyne koty, jakie widziałem, były w stodole. Jeśli przychodzą aż tu, musi być jakieś wejście do piwnicy z zewnątrz.

- Ooo! - Oczy mu się odrobinę powiększyły. Zaczął uważniej przyglądać się promieniom światła. A jeszcze gdzieś w pobliżu wciąż kręcił się upiórzec.

- Tu na pewno nic nie znajdziemy - stwierdził stanowczo. Spróbujmy w zachodnim skrzydle.

Kręcił się jakoś dziwnie. Zwykle jest spokojny jak skała. Taki ponury dom naprawdę działa na ludzi.

Byłem już w pół drogi na pierwsze piętro, kiedy usłyszałem ostatnie echa wrzasku:

- O niech cię! A to co?!

Nigdy nie próbujcie biegać po nieznanym terenie w ciemności, nawet z lampą. Zanim dotarliśmy do głównego holu, prawie się wzajemnie pozabijaliśmy z pół tuzina razy.

Garret 04 Stare cynowe smutki

XXXIV

W

padliśmy do holu, gdzie Stantnorowie nie oszczędzali na iluminacji.

- Co to było? - Nic się nie trzęsło.

- Zdaje się, że dochodził stąd - mruknął Morley. - Wygląda na to, że jesteśmy tu pierwsi.

- O, cholera. Niezupełnie. Niech to jasny, pieprzony, cholerny szlag!

Chain był szybszy. Zabójca smoków i jego ofiara w pierwszej chwili ukryli go przed naszymi oczami. Leżał na podłodze, skulony, w dziwnej pozycji, w jakiej żaden człowiek nie powinien leżeć. Chyba raz podskoczył o kilkanaście centymetrów i pozostawił za sobą wielką, czerwoną smugę. Wciąż krwawił.

- Chyba spadł z balkonu - zauważył ze spokojem Morley. - Próbował wylądować na nogach i nie bardzo mu się to udało. - Uniósł głowę. - Nie skoczył. I gdybym był hazardzistą, założył-bym się z tobą, że nie przeleciał przez poręcz.

- Nie założyłbym się o tysiąc do jednego. - Wysokość była mniejsza niż dziesięć metrów, Chainowi pewnie wydawało się, że z tysiąc.

Dziesięć metrów to paskudna wysokość na upadek, ale ludzie już nie z takich uchodzili z życiem, jeśli potrafili spadać lub mieli dużo szczęścia. Chain nie należał ani do tych, ani do tych.

Kątem oka pochwyciłem ruch na przeciwległym balkonie i okręciłem się na pięcie. Spodziewałem się zobaczyć moją tajemniczą blondynkę. Zamiast niej ujrzałem Jennifer w koszuli nocnej. Stała przy barierce w moim końcu korytarza. Spoglądała w dół jak w transie. Była śmiertelnie blada.

W chwilę potem tuż nad nią pojawił się Peters.

- Co jest?! - ryknął i galopem zbiegł na dół.

- Zostań z nim - poleciłem Morleyowi. - Idę na górę.

Wskazałem palcem Jennifer.

Czarny Pietrek galopował w stronę Morleya, a ja dreptałem w drugą stronę. Peters wykrzykiwał pytania na wszystkie strony zbyt szybko, żeby ktokolwiek z boku zdążył mu odpowiedzieć.

Kiedy dotarłem do Jennifer, byłem gotów wypluć płuca i przysięgałem sobie, że kiedy to wszystko się skończy, codziennie będę się gimnastykował. Oczywiście, dopiero po tygodniu spania.

Była teraz zaróżowiona, nie tak czerwona, żeby wyglądała, jakby przebiegła półtora kilometra.

- Gdzieś ty był? - prychnęła. - Próbuję cię obudzić od dziesięciu minut!

Wbiła wzrok w podłogę, drżąc na całym ciele.

- Powiedziałeś... Myślałam, że chciałeś, żebym...

Psiakrew, zapomniałem. Całe cholerne szczęście, że nie przyszła wcześniej. A szczególnie cholerne szczęście, że nie dałem jej klucza.

A teraz stała tu, zawstydzona, zarumieniona i taka delikatna w tej swojej koszulce, która niewiele pozostawiała wyobraźni widzowi. Była naprawdę tak cudownym kawałkiem kobiety, że wreszcie zareagowałem. W sekundę gotów byłem wyć do księżyca. Jedyne trajkotanie Petersa na parterze pozwalało mi skupić myśli na pracy. I to tylko bardzo małą część.

- Co wiesz na ten temat? - Kciukiem wskazałem na Chaina. Zrobiła duże oczy.

- Daj spokój. Musiałaś coś słyszeć lub widzieć.

- No dobrze. Nie krzycz. - Przysunęła się ciut bliżej. Ciągle drżała. Robota, chłopie, skup się na robocie.

- Wymknęłam się z pokoju jakieś pół godziny temu. Kiedy doszłam do końca korytarza, Peters i Chain stali na dole, przy fontannie. Po prostu siedzieli. Jakby czekali na coś lub na kogoś. Nie mogłam wejść na schody, żeby mnie nie zobaczyli, więc czekałam. Im dłużej tam stałam, tym większy był mój strach. Miałam już stchórzyć, kiedy Peters powiedział coś do Chaina i zaczął wchodzić na górę. Chain odwrócił się plecami, pobiegłam więc na czwarte piętro, żeby mnie nie zobaczył Peters...

Chain musiał mnie dostrzec, gdy skradałam się w stronę schodów na stryszek. Krzyknął. Wbiegłam na stopnie i popędziłam na drugą stronę. A gdy znalazłam się po twojej stronie, on już był na czwartym piętrze i wchodził do korytarza, gdzie znajduje się apartament mojego ojca. Pobiegłam korytarzem do twoich drzwi i próbowałam cię obudzić. Nie odpowiedziałeś. Próbowałam dalej i wtedy usłyszałam ten krzyk. Nie wiedziałam, co robić. Bałam się. Chciałam ukryć się w cieniu i wtedy usłyszałam twój głos.

- Nie widziałaś nikogo oprócz Petersa i Chaina?

- Nie, już ci mówiłam.

- Hm. - Zamyśliłem się. - Wracaj lepiej do siebie, zanim wszyscy wyjdą ze swoich pokoi. Pytania Petersa będą i tak dość kłopotliwe.

-Och!

- Właśnie. Idziemy. - Odprowadziłem ją na schody, potem na stryszek i na drugą stronę. Panująca tam ciemność nie przerażała jej ani trochę. Rozstaliśmy się u szczytu schodów na balkon trzeciego piętra.

- Przyjdę porozmawiać z tobą, jak tylko pozałatwiam tu wszystkie sprawy.

- Dobrze - piszczała jak myszka. Bała się jak cholera. Nie miałem jej tego za złe. Sam też się bałem.

Chain nie żyje. Ale mi pomógł. Mój ukochany przestępca. Mój prawie pewniak morderca. Nie ma go. Zszedł ze sceny. To znaczy że chciałem zawiesić na ścianie nie tę skórę. O ile nie chciał załatwić kolejnego spadkobiercy i nie trafił na ostrzejszą od jego ataku samoobronę.

Przeszedłem się wzdłuż balkonu, do miejsca gdzie, jak sądziłem, przeleciał przez balustradę. Morley i Peters zamilkli, przyglądając mi się w napięciu.

- Ma na sobie wełniane spodnie? - zapytałem.

- Tak - odpowiedział Morley.

Na poręczy znalazłem wełniane nitki. Były tam jeszcze zadrapania i kawałki skóry, jakby próbował się czegoś chwycić spadając. Drobnutkie ślady, ale mnie mówiły, że sam się nie wyrzucił. Wyobraziłem sobie, jak stoi tu i patrzy w dół, może z kimś rozmawia, i nagle dostaje cios w plecy. Nie za mocny, może nawet trzeba mu było jeszcze trochę pomóc, nim zaczął spadać.

Nieraz zbyt mocno współczuję ludziom, którzy zeszedli gwałtowną i przedwczesną śmiercią. Wyobrażam sobie wszystko, przywołując uczucia, które ich ogarniały, gdy zdali sobie sprawę z tego, co się dzieje. Spadanie przeraża mnie wyjątkowo, więc dla Chaina czułem coś więcej niż tylko normalną dozę współczucia.

Co to znaczy ta sekunda spadania? Pełna strachu, dzikiej rozpacz i daremnej nadziei, prób zmiany pozycji, aby przyjąć upadek i może, och, może przeżyć?

Zadrzałem. Ta śmierć będzie mnie prześladować.

Staralem się z całych sił, by przestać o tym myśleć. Powlokłem się na parter. Wszystko mnie

bolało. Nie miałem najlepszego humoru.

- I jaką bajeczkę mi opowiesz, sierżancie?

Był zaskoczony moją gwałtownością, ale mi wybaczył.

- Czekaliśmy na upiorca - wyjaśnił. Wokół fontanny leżała cała kolekcja narzędzi do zadawania śmierci. Wcześniej ich nie zauważyłem. - Kaid i Wayne mieli pełnić następną wartę, za mniej więcej godzinę. Musiałem się odpryskać. Nie chciałem iść na dwór, więc poszedłem do mojego pokoju.

- Długo ci zajęło to pryskanie.

- Kiedy już tam byłem, stwierdziłem, że mam coś więcej dcm zrobienia. Chcesz sprawdzić? Jest jeszcze ciepłe.

- Uwierz mi na słowo, Garrett. - Morley nie jest detektywem waszych marzeń, gotów grzebać w pełnych nocnikach, szukając kawałka koronnego dowodu. Sam nie jestem taki gorliwy. I tak wierzyłem Petersowi. Gdyby miał zrzucić kogoś z balkonu, wymyśliłby mniej głupie alibi.

I oto zostałem bez podejrzanych.

Co oznacza, że musiałem zacząć wszystko od początku i znowu wszystkich podejrzewać. Nawet tych nieprawdopodobnych.

Dole spadku były już warte ponad sześćset tysięcy. Jeśli oczywiście wartość posiadłości nie spadała szybciej, niż morderca powiększał swoją działkę.

Peters, kucharka, Wayne? Kto? Z jakichś niewyjaśnionych powodów dawałem Wayne'owi pierwsze miejsce. I kucharka zaczęła mi coraz lepiej wyglądać, pomimo wszystkich dobrych alibi. Ale alibi to nie wszystko.

- Podejrzewam, że morderca wie o istnieniu kopii testamentu - powiedziałem Petersowi. - To znaczy, że generał może być podwójnie zagrożony.

-Co?

- Po ostatniej nocy morderca pewnie się martwi, czy inne kopie też nie zostaną zniszczone. W takim przypadku całe ryzyko na nic. Więc może będzie chciał, żeby stary kopnął w kalendarz przed zniszczeniem ostatniej kopii. Lepiej sprawdźmy dokładnie, ile ich było i gdzie są teraz. - Pomacałem się po koszuli, żeby sprawdzić, czy nie zgubiłem swojej.

Co nie znaczy, że u mnie była bardziej bezpieczna niż gdzie indziej. Nie jestem ani trochę bardziej nieśmiertelny niż Chain, Hawkes czy Bradon.

Przypomniał mi się Snake, a zaraz za nim jego obrazy. Muszę wnieść je do domu.

Ale lało jak z cebra. Może być jeszcze gorzej, bo od czasu do czasu widziałem błyskawice.

- Zaczynamy mieć pogodę, która pasuje do tego miejsca - mruknąłem. - Trzeba nam już tylko tajemniczego wycia i upiornych świateł krążących pod oknami.

- Musisz się zadowolić czymś nieco mniej efektownym - sarknął Peters. - Nędzny upiórecz.

Pokazał palcem.

Stało tam to cholerstwo, znowu próbując dostać się do domu tylnymi drzwiami. Błyskawica podświetliła go od tyłu i po raz pierwszy przyjrzałem mu się dokładnie. Był znacznie bardziej przegniły niż pozostałe. Peters wybrał ze sterty oręża przy fontannie kilka ostrych narzędzi.

- Zajmiemy się nim?

- To mój stary sierżant, Morley. Chłodny w obliczu wroga.

- Uhm. - Sam przejrzał arsenał. Na pewno znajdzie tam coś dla siebie.

- W porządku, zaopiekujemy się tą sierotą. Z drogi. — Sprawdziłem, co mi zostawili. Już przebrali wszystko co najlepsze. - Do diabła z tym.

Podszedłem i rozbroiłem kolejnego emerytowanego rycerza

Chyba zbliżam się do końca. Nie zostało mi już wiele zbroi do rozbrojenia.

Garret 04 Stare cynowe smutki

XXXV

M

orley siedział na cembrowinie fontanny, obejmując ramionami połamane żebra. Peters leżał na podłodze w kałuży wymiocin, trzymając się za krocze. Robił wszystko, co w męskiej mocy, by nie piszczeć. Ja miałem szczęście. Wyszedłem z opresji z siniakiem na udzie i paskudnie zdeptaną stopą. Na szczęście nie na tej samej nodze.

- Może następnym razem zaoszczędzę sobie trochę cierpienia i pozwolę się zabić temu, kto się pierwszy nawinie.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że facet był specem od walki wręcz, kiedy żył? - wyrzeźił Morley.

- Nie patrz tak na mnie! Nic o nim nie wiedziałem, nawet nie znałem człowieka!

Kawałki upiorca porozrzucane były po całej podłodze. Niektóre jeszcze się ruszały.

- I co teraz?

-Eh?

- Tamte dwa spaliliście, tak?

- Wiem o jednym.

- Ooba -jęknął Peters. Podniósł się na kolana, z czołem opartym o posadzkę. Kostki u dłoni zbiełały mu z bólu. Musiał nieźle oberwać. - Tego drugiego wrzucili do płonącej stajni, kiedy zobaczyli, że nie ugaszą ognia.

Nie powiedział tego w jednym kawałku, ale w serii krótkich westchnień. Wysiłek kosztował go kolejny atak torsji.

Współczułem mu, choć nie tak, jak powinienem. Sam byłem cały poobijany.

Wstałem.

- Lepiej zrobić, co jest do zrobienia. - Paskudztwo wyglądało tak, jakby zamierzało pozbierać się do kupy. Wszystkie kawałki pełżyły w kierunku jednego, centralnego punktu. Pokuśtykałem, odkopując jak najdalej leżące luźno członki.

- A co tu się dzieje? Podniosłem wzrok.

Wayne i Kaid pojawili się przy balustradzie na trzecim piętrze, gotowi przejąć wartę.

- Zejdźcie na dół. Nie będziemy w stanie sami go wykończyć. Wayne był na dole szybciej niż Kaid. Spojrzał na to, co zostało z Chaina, na kawałki przegniłego ścierwa i znów na Chaina.

- Chłopie. Chłopie, och, chłopie. Chłopie - powtarzał to w kółko, aż wreszcie spytał: - Co się stało?

Opowiedziałem mu. Kaid zdążył podejść, by usłyszeć historię w całości.

- Chłopie. Chłopie, och, chłopie. - Wayne miał pietra. Po raz pierwszy, odkąd się tu zjawiłem, ujrzałem, że jeden z tych ludzi wreszcie dał się przekonać o własnej śmiertelności.

- Cholera, jesteście znowu bogatsi o sto tysięcy.

- Chłopie, a co mnie to obchodzi. Nie potrzebuję ich. Nie są tego warte. Wynoszę się, jak tylko będzie na tyle jasno, żeby nic na mnie nie skoczyło.

- Ale...

- Forsa to nie wszystko. Nie możesz jej wydać, jeśli nie żyjesz. Spadam. - Facet był bliski

histerii.

Spojrzałem na Petersa. Był zajęty sobą, choć udało mu się dotrzeć do fontanny. Podciągnął się na cembrowinę i usiadł ostrożnie. Nie wystarczyło mu uwagi na nic innego.

Morley nie był w stanie mi pomóc. I tak nic by to nie dało. Nie znał ludzi.

Spojrzałem na Kaida. Był tak blady, jak tylko może być człowiek równie wstrząśnięty jak Wayne i tak samo stojący oko w oko ze śmiercią. Kolej na nich. Pole rażenia zawęziło się na tyle, że każdy mógł być następny.

Przełknął ślinę ze trzy razy, wreszcie wykrztusił.

- Generał. Ktoś musi się zająć generałem.

- Niech się sukinsyn sam sobą zajmie - warknął Wayne. - Wynoszę się stąd. Nie tęsknię ani za jego forszą, ani za nim.

Ból trochę człowieka rozprasza, ale mój nie był tak wszechogarniający, abym mógł zastanowić się, co do licha będzie dalej. Usiłowałem zgadnąć, który z nich trzech gra i skąd u niego ten talent

Myślałem trochę o kucharce, o Jennifer, nawet o starym; zastanawiałem się, jak którekolwiek z nich podciągnąć pod mordercę. A może nie jedno, a dwoje? Nigdy jeszcze nie rozpatrywałem sprawy pod tym kątem. Może było ich więcej. To by wyjaśniało żelazne alibi.

I moja śmietankowa kochanka. Co z nią? Tajemnicza kobieta wydała mi się nagle główną kandydatką na mordercę.

Kimże ona była, u diabła?

Opadłem na cembrowinę fontanny, mniej więcej tak zgrabnie jak sparaliżowany karzeł. Kaid i Wayne otrząsnęli się z szoku na tyle, że zaczęli myśleć i działać. Kaid poszedł do kuchni i przyniósł kilka jutowych worków. Wraz z Wayneem załadowali do nich kawałki upiorca i dokładnie zawiązali. Myślałem, że się porzygają od tego smrodu. W tej chwili uważałem swój katar za błogosławieństwo. Nie musiałem wachać drania.

Morley był o metr ode mnie.

- Jak się czujesz? - zapytałem.

- Rano będę gnał z wiatrem w zawody. - Skrzywił się, splunął na podłogę i znów skrzywił, kiedy się pochylił, żeby popatrzeć na plwocinę.

- Co robisz?

- Patrzę, czy nie pluję krwią.

- Przestań się wygłupiać.

Posłał mi szelmowski uśmiech. Udawał, niech mnie szlag. Chciał, żeby wszyscy myśleli, że jest bardziej ranny, niż był w rzeczywistości. Może mu się to kiedyś przydać.

Zamknąłem się.

- I co teraz, Garrett? - wyrzęził Peters.

- Nie wiem.

- Jak mamy to zatrzymać, zanim zginiemy wszyscy?

- Tego też nie wiem. Może się rozproszymy?

- W tym przypadku morderca zwycięży walkowerem. Wayne odchodzi jutro. Wychodzi na to samo, jakby zginął.

- To ci tylko ułatwi życie, Garrett - zadrwił Morley i znów się skrzywił. Trochę drań przesadził z tym udawaniem.

- Hej? - Byłem znowu w szczytowej formie.

- Lista krótsza o kolejne nazwisko.

- Garrett, jak go wreszcie złapiesz? - jęknął Czarny Pietrek. Jego? Oj, nie byłbym tego taki

pevien. Jeśli Wayne odejdzie, a Peters jest czysty, tłumek zmaleje do tego stopnia, że musiał-bym zlinczować Kaida. Ale uznałem, że Kaid jest za stary i za słaby, żeby dokonać tego wszystkiego, co zrobił morderca.

- Nie mam zielonego pojęcia, sierzancie. Nie naciskaj mnie. Wy się znacie lepiej, niż ja znam was. Ty mi powiedz, kto to jest.

- Cholera. Nikt z nas. Logicznie rzecz biorąc. Możesz wykluczyć wszystkich w ten czy inny sposób. Może z wyjątkiem tej widmowej blondynki, którą widzisz tylko ty.

- Ja też ją widziałem - wtrącił Morley. Spojrzałem na niego, zaskoczony. Czyżby udzielał mi moralnego wsparcia?

Czy nie wspominał mi wczoraj, że ją widział? A może to był tamten drugi Morley?

Zapomniałem o tym. O tym czymś, co może być kimś innym. Pewnie to ten duch, o którym mówił doktor, że na pewno tu jest.

Co mi wcale nie ułatwiało sprawy.

- Twój obraz - szepnął Morley. Zmarszczyłem brwi.

- Przynieś go i dowiedz się, kto to taki, jeśli nie liczyć gorącej kocicy.

Może ma rację. Może. Chciałem już powiedzieć, że do diabła z tym. Na chwilę wyszliśmy na prostą. Upiorzec został załatwiony. Morderca nie powinien nikogo zamordować w najbliższym czasie. Wszystko mnie bolało. Chciałem tylko wśliznąć się na górę i dokończyć to, co zacząłem, zanim mi przerwali.

Ale nie, odłożyłem spotkanie z Bradonem na kilka minut i patrzcie, czym się to skończyło. Nie tylko Snake, ale i Chain. Nie wspominając o stajni, obrazach i iluś tam koniach, które poszły sobie w siną dal, bo nie miał ich kto wyłapać.

Wstałem.

- Peters, macie tu coś od deszczu?

Morley też wstał. Był zgarbiony i przyciskał dłoń do lewego boku.

- Od deszczu? A po jaką cholereę wybierasz się na dwór?

- Muszę coś zabrać, póki jeszcze tam jest.

Spojrzał na mnie, jakby sądził, że oszalałem. Pewnie ma rację.

- Po lewej, w tamtym rogu, pod tą arkadą. Stara toaleta dla gości - wciąż mówił seriami spazmatycznych westchnień.

Razem z Morleyem poszliśmy pod arkadę, która okazała się szeroka na zaledwie półtora metra. Prowadziły do niej drzwi-szczelina, które wychodziły na niewielką alkowę, dwa i pół metra na dwa i pół. Jedne drzwi znajdowały się na wprost, drugie po lewej.

- Sprawdź je - poleciłem Morleyowi, a sam otworzyłem te na wprost.

Trafiłem na damską toaletę i była to jedyna muszla klozetowa, jaką widziałem w całym domu. Na dole nie widziałem rur, może już je usunęli. Ubikacja nie była używana, służyła tylko jako składzik.

Nie było tu żadnych płaszczy przeciwdeszczowych.

Poszedłem sprawdzić, co u Morleya.

Jego ubikacja była męska. Kto by pomyślał? Jedna ściana wyłożona marmurem i przechodząca w kanał. Kran do spłukiwania, którym kiedyś spływała woda - na poziomie oczu - zardzewiał zupełnie. Zauważyłem nieprzemakalne płaszcze, ale gdzie się podział Morley? - Gdzie jesteś?

- Tutaj — jego głos dochodził z kąta po lewej, spod sterty szczotek, szmat i różnych innych dziwnych rzeczy. Znalazł kolejny ruchomy panel i już był w połowie wąskich schodów.

- Możemy to sprawdzić później. - Pośród śmieci w marmurowym kanale zauważyłem lampę. Śmierdziała, jakby jej używano jeszcze w tej erze. Właśnie ją zapalałem, kiedy zjawił się Morley.

- Gdyby się tu nie kręcili ludzie, można by pomyśleć, że dom świeci pustkami od dwudziestu lat.

- Nooo. - Włożyłem płaszcz z naoliwionej tkaniny, tak wielki, że włókł się za mną, - Może być.

Morley próbował znaleźć coś mniejszego niż namiot cyrkowy, a ja wybrałem jeszcze kilka płaszczy, żeby owinać nim płótna Bradona. Włożyliśmy czapki i wybiegliśmy na deszcz.

No, może pokuśtykaliśmy. Nie czułem się aż tak dobrze, Morley też nie. Większość energii strawiłem na pilnowaniu, by wiatr nie zgasił lampy.

A wiatr był ostry, miotający baryłkami wody. Wiał ze wszystkich stron, z wyjątkiem góry. Gromy waliły jeden za drugim. Błyskawice nad miastem wyglądały jak walka między hordami strażników burz. Pomimo to dotarliśmy do. stodoły.

- Dzięki niebiosom, że znaleźliśmy coś od deszczu - mruknął Morley. - Moglibyśmy zmoknąć.

Sarkastyczny sukinsyn. Byłem mokry jak pies. Przekopałem miejsce, gdzie ukryłem obrazy.

- Niech to szlag. W końcu coś się udało.

- Co?

- Są tu jeszcze.

- No to spodziewaj się pułapki.

Prawie wziąłem to na serio. Takie już mam zafajdane szczęście. Strząsnąłem wodę z dodatkowych płaszczy. Morley trzymał latarnię, odganiając i przeklinając nietoperze.

- Te szmaty nie wystarczą. Niech no sprawdzę... - Pobiegnął w mrok. Byłem prawie pewien, że już go nigdy nie zobaczę.

Wrócił z kilkoma ciężkimi brezentowymi płachtami. Zawinęliśmy obrazy, robiąc z nich dwie paczki. Wzięliśmy po jednej i z powrotem zanurzyliśmy się w burzy. Znowu przemokłem do nitki. Zanim doszliśmy do domu, byłem ubłocony po kolana, ale obrazy dotarły suche.

Zdjęliśmy z siebie cały rynsztunek.

- Weźmy je lepiej do pokoju - zaproponowałem Morleyowi, który gapił się na obrazy. - Co o tym myślisz?

- Ten facet nie miał wszystkich w domu.

- Ale był dobry. A oto ona.

- Już się zakochałem. - Gapił się na portret, jakby chciał w niego wskoczyć.

- Pooglądamy je na górze.

Aby dostać się na schody, musieliśmy przejść koło Kaida, Wayne'a i Petersa.

- Co to? - zapytał Czarny Pietrek. Nie było powodu, by kłamać.

- Kilka obrazów Bradona. Uratowałem je z ognia.

Chcieli obejrzeć. Nigdy wcześniej nie widzieli prac Bradona. Facet nigdy ich nie pokazywał.

- Ja cię...! — szepnął Kaid po ujrzeniu kilku scen batalistycznych. - To ohydne.

- Ale dobre - odparł Wayne. - Właśnie takie miało się wrażenie.

- Ale to nie wygląda...

- Chłopie - szepnął Peters. - On chyba musiał nie bardzo lubić Jennifer, co?

Jakimś cudem ocalałem aż cztery portrety: jeden blondynki i trzy Jennifer. Może i lepiej, że nie uratowałem chłopców. Chyba by ich nie docenili. A te trzy Jennifer wziąłem przez przypadek, bo pod koniec już mi się bardzo spieszyło.

Peters ustawił portrety koło fontanny. Tego trzeciego, prawdopodobnie najnowszego Jennifer nie widziałem. Był najbrzydszy. Dziewczyna promieniała urodą, ale było w niej coś potwornego, co kazało wątpić w zdrowe zmysły artysty.

- On był bardziej szalony, niż sądziliśmy - szepnął Kaid. - Garrett, nigdy ich nie pokazuj pannie Jennifer. To byłoby zbyt okrutne.

- Nie pokażę. Wziąłem je bardziej przypadkiem niż celowo. Łapałem, co popadło. Ale patrzcie na blondynkę. Ten portret wziąłem celowo. Właśnie tę kobietę widuję. Kim ona jest?

Spojrzeli na mnie, potem na obraz i znowu na mnie. Dziwny spokój na ich twarzach mówił mi, że chyba zaczynają wątpić w moje zdrowie psychiczne. Pewnie uznali, że pozwoliłem, by wyobraźnia zaczęła za mnie interpretować fakty.

Peters potraktował sprawę bezpośrednio:

- Nie wiem, Garrett. Nigdy przedtem jej nie widziałem. A wy, chłopaki? Pokręcili głowami. Wayne mruknął:

- Chyba jest w niej coś znajomego.

Teraz i Kaidowi jakby się coś odblokowało w głowie. Zmarszczył brwi, podszedł o krok bliżej.

- Wiesz coś na ten temat, Kaid?

- Nie. Przez chwilę... ale nie, to tylko wyobraźnia.

Nie miałem zamiaru się kłócić, dopóki nie uda mi się znaleźć dowodu rzeczowego.

- Chodź, Morley, spakujemy je.

Zacząłem zbierać obrazy. Teraz Peters ze zmarszczonymi brwiami przyglądał się blondynce, jakby coś zaczynało mu świtać. Był trochę blady i bardzo zadumany.

Mimo to nic nie powiedział. Zebraliśmy obrazy i poszliśmy na górę.

Może to intuicja. Gdy dotarłem na czwarte piętro, podszedłem do balustrady. Peters i Kaid siedzieli, prawie stykając się głowami, i kłapali paszczkami jak złoto. Mówili cicho, ale byli podekscytowani.

Morley ma lepszy słuch niż ja.

- O czymkolwiek mówią, są zdecydowani przekonać się wzajemnie, że to niemożliwe -szepnął.

- Rozpoznali ją?

- Uważają, że wygląda jak ktoś, kim nie może być. Przynajmniej tak mi się zdaje.

Ani trochę mi się to nie podobało.

Garret 04 Stare cynowe smutki

XXXVI

M

orley ustawił portret tajemniczej kobiety na kominku w salonie i przyglądał mu się z uwagą. Chyba źle zrozumiałem jego zainteresowanie. Rzadko mi się to zdarza, bo zainteresowanie Morleya płcią ładniejszą z reguły jest jednostronne.

- Nie możesz jej mieć, stary. Zajęta.

- Zamknij się - zaproponował. - Siadaj i patrz na obraz.

Nie byłby taki miły, gdyby nie chodziło o coś ważnego. Rozsiadłem się i wlepiłem gały w portret.

I natychmiast poczułem się tak, jakbym był częścią sceny.

Morley wstał i zdmuchnął kilka lamp, zmniejszając natężenie oświetlenia o połowę. Potem rozsunął kotary, pewnie po to, żebyśmy mogli w pełni skorzystać z uroków burzy. Usiadł i gapił się dalej.

Kobieta nabierała z każdą chwilą życia, zagarniając Coraz więcej i więcej mojej duszy. Miałem wrażenie, że jeśli wyciągnę ręce, będę w stanie ściągnąć ją z obrazu, by znalazła się z dala od tego czegoś, co ją ścigało.

Burza za oknem przydawała mocy temu, co działo się w tle obrazu. Ten cholerny Snake Bradon był czarodziejem. Obraz wywierał silniejsze wrażenie niż pejzaż z wisielcem, jeśli patrzyłeś na niego wystarczająco długo. Był tylko trochę subtelniejszy. Prawie słyszałam, jak błaga mnie o pomoc.

- Niech ją szlag - wymamrotał Morley. - Jest zbyt intensywna. Musze ją zablokować.

- Co?

- Tam coś jest, ale kobieta odwraca twoją uwagę.

Zamieszał mi w głowie. Dla mnie reszta obrazu była tylko dekoracją lub pękiem strzałek wskazujących na główny element obrazu.

Morley wziął z mojego biurka papier i przez dziesięć minut, za pomocą scyzoryka, przycinał go tak, żeby dokładnie zakrywał postać blondynki.

- Uszkodź ją choć trochę, to ciebie potnę - ostrzegłem. Już miałem pomysł, gdzie można powiesić obraz. Jest takie wielkie, puste miejsce na ścianie mojego gabinetu.

- Sam bym sobie najpierw poderznął gardło, Garrett. Ten facet był szalony, ale to geniusz.

Ciekawe, nazwał Bradona szalonym, choć nawet nie miał okazji go poznać.

Morley zgasił kolejną lampę. Powiesił wycinanki na płótnie.

- Niech mnie szlag trafi! - Obraz był niemal równie intensywny bez kobiety, ale teraz oko mogło po nim błędzić.

- Oczyszczyć umysł - mruknął Morley. - Pozwól, żeby obraz przyszedł do ciebie.

Próbowałem.

Za oknami nadal szalała burza. Pioruny waliły, błyskawice przecinały niebo, wywijając kończynami. Igrały z błyskami na obrazie. Cienie zdawały się poruszać, jak narastająca chmura burzowa.

- Co?

Było tam, przez sekundę. Nie mogłem przywołać tego z powrotem. Za bardzo się starałem.

- Widziałeś tę twarz? - zapytał Morley. - Tam, w cieniu?

- Taak. Przez sekundę. Nie mogę przywołać jej z powrotem.

- Ja też nie. - Zdjął ścinki, usiadł znowu. - Ona ucieka przed kimś, a nie przed czymś.

- Wyciąga do kogoś ręce. Myślisz; że Bradon miał na myśli kogoś konkretnego?

- Ucieka od kogoś do kogoś innego? - zastanawiał się.

- Może.

-Od niego?

- Może. - Wzruszyłem ramionami.

- Ty? Ty jesteś tym, kto...

- Mówiłeś, że ją widziałeś.

- Widziałem kogoś. Przelotnie. Im więcej o tym myślę, tym bardziej mi się wydaje, że to ta druga.

- Jennifer?

- Tak. Są bardzo podobne.

Tego akurat nie zauważyłem. Próbowałem zobaczyć Jennifer z jasnymi włosami.

- Bo ja wiem? W Jennifer jest dużo ze Stantnorów, a w tej nie.

Chyba zaskrzeczałem.

- Co się dzieje? - zapytał.

- Ta twarz w tle... W niej też było dużo cech Stantnorów.

- Jennifer? Bradon chyba jej nie lubił.

- Nie sędzę. Mam wrażenie, że to była męska twarz.

- Około trzydziestki i w literalnym ataku szału.

Błyskawice na zewnątrz dostały epilepsji. Zadrzałem, poderwałem się na nogi i zacząłem zapalać lampy. Nie mogłem pozbyć się zimna.

- Chyba się boję - wyznałem.

- Tak. Im dłużej patrzę, tym jest straszniejszy.

Wciąż było mi zimno. Ciekawe, czy ktoś nas podglądał.

- Chyba rozpalę ogień.

- Hej! Coś ty powiedział?

- Rozpalę ogień. Tyłek mi odmarza...

- Jesteś geniuszem, Garrett.

- Miło, że to zauważyłeś. - Co w tym było genialnego? Jakoś nie załapałem.

- Pożar w stajni. Dobrze to wykombinowałeś. Nie chodziło wcale o ciebie, tylko o coś, co Bradon ukrył. Co znalazłeś ukrytego? Obrazy. - Wskazał na blondynkę. - Ten obraz.

- Nie wiem...

- A ja tak. Co było na innych? Szaleństwa. Ale znani nam ludzie i widoczki z Kantardu.

Spojrzałem na obraz jeszcze raz.

- Oto klucz do twojego zabójcy - mówił dalej Morley. - Dlatego zginął Bradon. Dlatego spłonęła stajnia. Oto twój morderca. - Roześmiał się. Dziwny to był dźwięk. Do diabła! W tym miejscu wszystko było dziwne. - A ty się z nią przespałeś. - Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale się zreflektował. - Och, chłopie. - Podszedł i położył mi dłoń na ramieniu.

On mógł przespać się z seryjną morderczynią i nawet by go to nie obeszło. Może tylko by się uśmiechnął i nad ranem poderznął jej gardło. Ogólnie rzecz biorąc, to sympatyczny łajdak, ale głęboko w nim drzemie ukryty zimnokrwisty łotr.

Wiedział, jak to na mnie zadziała, jeszcze zanim zadziało. Stał obok mnie, gdy zacząłem się

trząść.

Nie było aż tak źle, ale sama myśl mocno mną targnęła.

- Muszę się przejść.

Pozwolił mi wstać i zrzucić to z siebie, spacerując w kółko. Przerażające hałasy za oknem też nie pomagały. Grzmoty szarpały mi nerwy jak kocie miauki o pomocy.

A potem przypomniałem sobie obietnicę złożoną Jennifer, że zobaczymy się później. Mój cholerny umysł uczeplił się tej myśli, podpowiadając, że w ten sposób załatwię wszystko za jednym zamachem.

- Dokąd idziesz? - zapytał Morley.

- Mam coś do załatwienia. Obiecałem. Prawie zapomniałem. - Wyskoczyłem z pokoju, zanim zaczął się dopytywać. Nie byłem pewien, czy znów nie rozumię pochopnie.

Garret 04 Stare cynowe smutki

XXXVII

S

pojrzałem w dół. Kaid i Wayne siedzieli po przeciwległej stronie fontanny, milcząc zawzięcie. Sprzątnęli już Chaina. Peters zniknął. Zastanawiałem się, co ich to jeszcze obchodzi. Może nie mogą spać. Ja też nie zmrużyłbym oka, choć wszystko mnie bolało i byłem doszczętnie wykończony.

Dotarłem do stryszku, minąłem go, ześliznąłem się na trzecie piętro, nie ściągając niczyjej uwagi. Doskonały dom do skradania się. Podszedłem na paluszkach do drzwi Jennifer. Zastukałem. Nie odpowiedziała. Właściwie nawet nie powinienem był oczekiwać, że odpowie. Poruszyłem klamkę. Były zamknięte na klucz.

Jedyna rozsądna rzecz. Każdy dureń by o to zadbał. Zastukałem jeszcze raz i znów nie uzyskałem odpowiedzi.

- To by było wszystko - mruknąłem i ruszyłem w stronę pokoju. Nagle przystanąłem. Nie rozumiejąc za bardzo własnych pobudek, zawróciłem i zająłem się zamkiem. Włamanie zajęło mi kilka sekund.

Jennifer nie lubiła ciemności. W salonie, identycznym jak jej ojca, płonęło z pół tuzina lamp. Nie znałem rozkładu tych apartamentów, ale stwierdziłem, że najłatwiej będzie mi ją znaleźć, zaczynając od tych drzwi, w których zawsze pojawiał się generał. Zamknąłem drzwi do korytarza i ruszyłem w tamtą stronę.

Nie wiem, jak nazwać pokój, który znajdował się za nimi. Nie była to sypialnia, lecz raczej mały, nieoficjalny salonik, tylko z kilkoma meblami i wielkim oknem wychodzącym na zachód. Był pograżony w półmroku, oświetlony pojedynczą świecą. Jennifer siedziała w fotelu ustawionym przodem do okna. Zasłony były rozsunięte. Pewnie zasnęła ze zmęczenia, pomimo szaleństwa żywiołów na zewnątrz. Nie wiem, czy usłyszałyby moje pukanie, nawet gdyby nie spała.

No i co, radosny chłoptasiu? Jeden niewłaściwy ruch i przerobią cię na eunucha.

Cholera, przecież nieraz już próbowali. Potrząsnąłem nią lekko.

- Jenny, zbudź się.

Wrzasnęła, skoczyła na równe nogi, przewróciła się i... Bogowie mi sprzyjali. Potężny grzmot zagłuszył wszelkie dźwięki. Rozpoznała mnie i opanowała się trochę...

Przycisnęła dłonie do serca i wydyszała:

- Ależ mnie przestraszyłeś. Co ty tu robisz? Naciągnąłem nieco prawdę.

- Powiedziałem przecież, że przyjdę. Pukałem. Nie odpowiadałaś. Zaniepokoiłem się i włamałem tu, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Wydawałaś się taka blada, że chciałem tylko dotknąć twojego ramienia. Nie chciałem cię przerazić.

Czy brzmiało to szczerze? Wyrzuciłem z siebie ten potok słów jednym tchem. Dobrze udaję szczerłość. Pilnie studiowałem techniki Morleya. Rozluźniła się troszeczkę i przysunęła bliżej.

- Bogowie, mam nadzieję, że tym wrzaskiem nie zbudziłam całego domu.

Przeprosiłem jeszcze raz, i jeszcze raz. A potem pozostało mi tylko przytulić ją i dalej pocieszać. W minutę później, kiedy już przestała się tak okropnie trząść, wydobyła z siebie cichutki, dziewczęcy szepcik:

- A teraz na pewno mnie zniewolisz?

Uznałem, że był to doskonały komentarz, znakomicie pasujący do sytuacji, i parsknąłem śmiechem. Czuję, jak opuszcza mnie napięcie. Omal nie posunąłem się za daleko z tym rozładowywaniem stresu, bo tylko z wielkim trudem opanowałem wesołość.

- Co w tym jest takiego cholernie śmiesznego?

Zraniłem jej uczucia.

- Nie, Jenny, skarbie. Nie śmieję się z ciebie. Śmieję się z siebie. Naprawdę. Wierz mi. Nie. Nie przyszedłem cię zniewolić. Nie tym stanie, w jakim jestem teraz, nie byłbym w stanie zniewolić nawet wiewiórki. Dostałem w łeb, zostałem przysmażony skopany prawie na śmierć. Wszystko mnie boli. I cholernie zdenerwowałem się Chainem. Jeśli czegokolwiek mógłbym teraz chcieć od kobiety, to tylko tego, żeby mnie pocieszyła, a nie, żebym ją zniwalał.

Ty śliski krętaczu. Uważaj. Mów tak dalej, to idę o zakład osiem do pięciu, że nawet dziewicawestalka będzie chętna, żeby cię pocieszać. Bądź dalej taki bezradny, nieszkodliwy, spragniony uczuć macierzyńskich i wylewaj z siebie potok szczerości. No cóż, od jednego do drugiego, wpakowałem się wprost w kabałę, jakiej nawet nie planowałem. W ciągu kwadransa znaleźliśmy się w jej łóżku. W ciągu kolejnego kwadransa robiłem wszystko, aby pozostać tym bezradnym, nieszkodliwym i złaknionym pociechy.

Jest coś krzepiącego w tym, że leżysz sobie przytulony do drugiej osoby w chwilę po tym, jak zostałeś posiniaczony, pobity i potraktowany tak, jak wilk traktuje lisa, który ma nie dość pary w łapach. Ale w tym, że pociesza cię osoba zbudowana tak jak i Jennifer, jest i coś takiego, że zapominasz, jak kilka godzin temu przepuścili cię przez maszynkę do mięsa wraz ze skórą, rogami i kopytami.

Szeptaliśmy w mroku, głównie rozmawiając o tym i o owym, dość niewinnie, ale dziewczę nie potrafiło uleżeć spokojnie. Właściwie teraz była już spokojna i odprężona, no, może nie całkiem. Przynęła się jeszcze bliżej, drgnęła, zaskoczona.

- Czy to jest to, co myślę? - zapytała.

Nacisk jej ciała nie pozostawiał wątpliwości, co ma na myśli.

- Nooo... tak. Nic na to nie poradzę... Może lepiej sobie pójdę. - Ale nie zrobiłem nawet najmniejszego ruchu, żeby wstać, Nie, to nie w moim stylu.

- Nie wierze. Nie. To niemożliwe. To wcale nie było niemożliwe.

Przez chwilę zapomniałem o obrazie, o burzy, o wszystkich bólach i bólikach. Nawet chyba udało mi się trochę zasnąć, choć były to raczej krótkie drzemki pomiędzy kolejnymi testami ludzkiej wytrzymałości.

Wiedziałem, że rano będę się nienawidził.

Ale rano tylko moje ciało okazywało mi nienawiść. Wydawało się, że ma ze dwieście lat. Z głową wszystko było w porządku, jeśli nie liczyć kataru. Pocałowałem Jennifer w czoło, nos i podbródek, po czym ruszyłem w stronę własnej kwatery, póki pora była wczesna.

Wayne i Kaid wciąż trzymali straż. Mniej więcej. Kaid drzemał na siedząco. Wayne rozłożył się na murku i chrapał w najlepsze. Kucharka klęła w kuchni, aż niosło się po całym domu. Słyszałem ją nawet na czwartym piętrze. Ciekawe, co ją tak poruszyło. Na szczęście byłem pewien, że wszyscy się tego wkrótce dowiemy. Zwłaszcza przy jej milczącej, stoickiej postawie.

Wszedłem na górę przez stryszek. Wchodząc w mój korytarz, spojrzałem na drugą stronę. Z korytarza wiodącego do apartamentów generała gapiała się na mnie moja blondynka. Zamachałem jej ręką. Nie odpowiedziała.

- O rany. - Ruszyłem w stronę moich drzwi.

Przez sekundę myślałam, że zdążyła tu wejść przede mną. Ale nie, to tylko obraz. Wydał mi się

tak ponury, że odwróciłem go do ściany.

- Dobrze się bawiłeś?

Morley leżał w dużym, wyściełanym fotelu. Wyglądało na to, że się zdrzemnął.

- Straszliwie.

- Aha, i dlatego masz taką zadowoloną gębę. Będę o tym pamiętał. Idź się umyć. Zaraz będzie śniadanie.

Odkąd to było mu tak spieszo na śniadanie przygotowane przez naszą kucharkę?

- Dam sobie spokój i chyba trochę się zdrzemnę.

- Pracujesz, Garrett. Chyba nie będziesz teraz kładł się spać?

- To cały urok bycia swoim własnym szefem - odparłem. Jednak Morley miał rację. Miał więcej racji, niż sądził. Pewnie, mogę się teraz iść przespać. I jeśli ktoś w tym czasie zejdzie z tego świata w przyspieszonym tempie, będę się tym cieszył do końca życia.

- No dobra. Niech będzie.

Teraz on wyglądał na zadowolonego. Sukinsyn. Wiedział dokładnie, gdzie mnie szturchnąć. Poszedłem do garderoby, prysnąłem sobie w twarz wodą, zamieszałem trochę mydła, siekąc i tnąc.

Morley udrapował się w przejściu. Przez chwilę obserwował przedstawienie, po czym stwierdził:

- Lepiej szybko pójdę i zaopiekuję się kucharką, zanim przelecisz wszystkie kobiety w zamku.

- Nie masz szczęścia. Ona była pierwsza. Parsknął pod nosem.

- Musiałem się spieszyć, bo wiedziałem, że lecisz na nią jak ćma do światła. - Wytarłem twarz. - Z drugiej strony, chyba nie będę wam wchodził w drogę. Jest naprawdę w twoim typie, będę tańczył na waszym weselu.

- Nie sądz, że sprowokujesz mnie do pojedynku na inteligencję z bezbronnym.

- Hm.

- Wiem, że to dieta przez ciebie przemawia. Może powinienem pogadać o tym z kucharką. Zmiany w diecie pomogłyby generałowi bardziej niż szwadrony lekarzy i czarownic.

- Już cię niesie?

- Co?

- To twoje ostatnie argumenty, koleś. Wtedy zaczynasz mówić o czerwonym mięsie, soku z selera i gotowanych chwastach.

- Gotowane chwasty? Czyś ty kiedykolwiek kupił u mnie jakieś jedzenie? To znaczy, czy zapłaciłeś za nie z własnej kieszeni?

Byłem zbyt zmęczony, żeby pamiętać, jak świetnie udaje szczerłość, i popełniłem błąd, udzielając uczciwej odpowiedzi:

- Nie przypominam sobie. Zawsze to było na koszt firmy.

- Jak możesz skarżyć się na darmowe posiłki? Wiesz, ile kosztuje zebranie tych „chwastów”? Są rzadkie. Rosną dziko. Nie są uprawiane na handel. - Ależ był szczerzy. Do bólu. Nie miałem pewności, czy sobie robi jaja, czy nie. Wiem, że żarcie u niego jest cholernie drogie, ale zawsze myślałem, że to należy do stylu. Sprawia, że klienci uważają się za arystokracje.

- Zaczynamy rozmawiać zbyt poważnie - odparłem, unikając możliwych rozwinięć tematu. - Chodź, zobaczymy, czym nas dzisiaj otruje.

- Nieszczególny dobór słów, Garrett, ale niech będzie.

Garret 04 Stare cynowe smutki

XXXVIII

M

niej więcej sto lat temu kucharka przygotowała ogromne śniadanie i od tamtego dnia już tylko odgrzewa resztki. To samo stare, tłuste mięsiwo, te same suchary, sos i w ogóle, tak ciężkie, że zatopiłoby galeon. Podstawowe wiejskie śniadanie. Morley cierpiał.

Skoncentrował się na sucharach, mrużąc:

- Chociaż burza przeszła.

Na zewnątrz panowała cisza. Deszcz zmienił się w siąpiącą mżawkę. Wiatr ucichł. Było coraz zimniej, czego nie uznałem za dobry omen. To chyba oznacza, że śnieg jeszcze wróci.

Jennifer nie pokazała się na śniadaniu, co mnie nie zdziwiło.

Nikt inny też nie skomentował tego faktu, więc chyba nie było to nic nadzwyczajnego. Ale Wayne również był nieobecny, a on nie należał do tych, którzy opuszczają posiłki.

- Gdzie Wayne? - zapytałem Petersa, który wyglądał na oszołomionego, połamanego i wciąż obolałego.

Udzielił mi odpowiedzi, której bałem się usłyszeć.

- Wyniósł się. Jak tylko zaczęło świtać, tak jak mówił. Kaid powiedział, że już miał wszystkie rzeczy spakowane przy frontowych drzwiach. Aż się palił, żeby być jak najdalej stąd.

- Spojrzałem na Kaida. Wyglądał tak, jak ja się czułem. Skinął głową, co zdawało się pochłaniać całą jego energię. - I zostało ich trzech - mruknąłem.

- Ja też nie potrafię się zmusić do pozostania - wyznał Peters.

- O czym wy znowu, gadacie, chłopcy? - zahuczała kucharka. Dotarło do mnie, że pewnie o niczym nie wie. Opowiedziałem jej o Chainie. A kiedy o nim pomyślałem, od razu tego pożałowałem, ponieważ kopacz grobów Wayne odjechał, a to oznaczało, że albo ja, albo Peters, albo obaj razem będziemy musieli udać się na cmentarz i grzebać się w błocie tak długo, aż zasadzimy Arta Chaina. Wiedziałem, że Morley nam nie pomoże. „Nie zostałem do tego wynajęty”, powie z tym swoim gówniarskim uśmieszkiem i będzie mi kibicował, komentując mój styl kopania.

Osiemset kilkadziesiąt tysięcy na łeb. Wszyscy, którzy przeżyli, są podejrzeni i nie do ruszenia.

Pomyślałem o spaleniu mojej kopii testamentu, i to natychmiast. Ale co to da, jeśli ta kopia nie jest ostatnią? A potem przyszła mi do głowy okropna myśl.

- A co, jeśli testament był rejestrowany u notariusza?

Istnieje taka możliwość, jeśli chce się zapobiec swarom pomiędzy spadkobiercami. Oznaczało to, że kopię dokumentu przechowuje notariusz. A wtedy morderca może mieć w nosie kopię spaloną przez generała lub moją.

Popatrzyli po sobie, wzruszyli ramionami.

Musimy zapytać generała.

Już miałem powiedzieć, że chce się z nim widzieć, gdy łomot do drzwi frontowych zamknął mi usta. Wydawało mi się, że odwiedził nas oddział ciężkiej jazdy.

- Co się dzieje? - wymamrotał Kaid. Zlął ze stołka, ruszył w stronę drzwi, jakby miał o czterdzieści lat więcej niż te jego siedemdziesiąt coś tam. Wszyscy, oprócz kucharki, ruszyli za nim. Kucharka nie opuszcza swojego królestwa bez powodu.

Wyroiliśmy się na ganek.

- A to co za cholerny karnawał? - zapytał Peters. - Wygląda jak pieprzony wóz cyrkowy.

Faktycznie. Tłum zgromadzony wokół wesołego powozu składał się ze wszystkich możliwych gatunków istot.

Żaden z pojazdów nie był ciągniony przez konie, woły lub choćby słonie, które czasem widuje się w karnawale. Wszystkie zaprzęgi składały się z grolli - a grolle to pół-olbrzymy, pół-trolle, zielone, wzrostu od dwunastu do osiemnastu metrów u dorosłych osobników. Są dość silne, by wrywać drzewa z korzeniami... DUŻE drzewa.

Para tych właśnie grolli nagle zaczęła krzyczeć i machać łapami. Chwilę trwało, zanim sobie przypomniałem.

- Doris i Marsha! - zawołałem. - Dawno ich nie widziałem.

Po schodach wbiegł kurcgalopkiem chudy człowieczek. Jego nie widziałem jeszcze dłużej.

- Dojango Roze. Jak ci leci, do diabła?

- Właściwie to szczęście mnie trochę opuściło. - Wyszczrzył zęby. Dziwny, mały mieszaniec, który twierdził, że on, Doris i Marsha są trojaczkami zrodzonymi z różnych matek. Przestałem już nawet próbować sobie to wyobrazić.

- A co się tu dzieje, Dojango? - zapytał Morley. Nigdy nie dowiedziałem się tego na pewno, ale podejrzewam, że Dojango jest jakimś jego dalekim krewnym.

- Przedstawienie, karnawał. Doktor Doom, medycyna i usługi odduszania domów, w rzeczywistości. Kumpel doktora powiedział, że macie tu złego ducha, którego trzeba załatwić. - Wyszczrzył zęby od ucha do ucha. Jego bracia Doris i Marsha zahuczeli wesoło. Kompletnie ich nie obchodziło, że nie rozumiem ani słowa w ich języku. Oni i inne grolle oraz wszystkie dziwadła, które im towarzyszyły, zaczęły rozbijać obóz na głównym skwerze. Obejrzałem się na Petersa i Kaida, którzy tylko wytrzeszczali oczy.

- Morley? - Uniosłem brew. - Czy to z polecenia twojego kumpla doktora?

- Chyba tak. - Jego uśmiech wypadł jakoś trochę blado

- Hej! - zawołał Dojango, czując mój brak entuzjazmu. - W rzeczywistości doktor Doom istnieje naprawdę. Prawdziwy poskramiacz duchów. Egzorcysta. Demonolog. Ducholog. Wszystkie te rzeczy. Nawet trochę nekromancji, w rzeczywistości. Ale teraz nie ma zapotrzebowania na takie usługi, w rzeczywistości. Nie wtedy, kiedy nie jesteś człowiekiem. Jak sądzisz, ilu ludzi wezwie nieczłowieka, żeby pogadał z wujciem Fredem i wydusił z niego, gdzie schował sreberko, zanim strzelił kopytami? Kapujesz? No więc doktor musiał sobie tu i tam radzić innymi sposobami. Głównie handluje miksturami, w rzeczywistości. Hej, może po niego pójde, to sami zobaczycie i będziecie mogli osądzić. - Okręcił się na pięcie i ruszył w stronę powozu, który do tej pory nie wypuł jeszcze żadnych pasażerów. Zanim dobiegł do połowy schodów, mruknąłem:

- Nie wierzę w to. Stary narobi w majtki, jak to zobaczy. Morley stęknął cicho. Wzrok miał szklany.

Roze już był z powrotem.

- Och, doktor Doom jest może trochę dziwnym gościem, w rzeczywistości. Musisz dać mu trochę przestrzeni i okazać trochę cierpliwości. Jeśli wiecie, o co mi chodzi.

- Nie wiem - odparłem. - Lepiej niech nie będzie za bardzo dziwny. Mam tu już dość dziwnych rzeczy i moja cierpliwość też jest na wyczerpaniu.

Dojango wyszczrzył zęby i udało mu się odejść, nie używając swego ulubionego powiedzonka. W rzeczywistości. Ruszył w kierunku tego idiotycznego powozu, który był pomalowany na kolor tak jaskrawy, że w słoneczny dzień pewnie oślepiał. Wokół powozu uwijały się wszelkiego rodzaju

stwory. Kilka z nich wznosiło ogromny baldachim. Inny przywłókł przenośne schodki, jeszcze inny rozwinął płócienny dywan, od tychże schodków po sam próg domu.

Znów spojrzeliśmy po sobie z Morleyem.

Dojango otworzył drzwi powozu i skłonił się nisko.

Grolle tymczasem urządziły cyrk na trawniku.

- Słyszałeś kiedy o tym gościu? - zapytałem Morleya.

- W rzeczywistości, tak. - Uśmiechnął się. - Powiadają, że to autentyk. Tak jak mówi Dojango.

- W rzeczywistości?

Kaid splunął i wszedł z powrotem do domu.

Z powozu wysiadła postać, wysoka może na dwa metry i szeroka na trzysta kilogramów. Nie od razu mogłem stwierdzić, co to takiego. Była owinięta w taką ilość czarnej tkaniny, że wyglądała jak chodzący namiot. Namiot pokryty był srebrnymi mistycznymi symbolami. Wyłoniła się z niego olbrzymia dłoń i gestem błogosławieństwa wzniosła się nad oddziałkiem. Jeden z wyższych stworów przytargał coś z powozu i umieścił to coś na głowie doktora, dodając mu jeszcze z metr wzrostu. Takie dekoracyjne kapelusze powinni nosić wyłącznie duchowni..

. Postać ruszyła w naszą stronę, niczym gwiazda procesji koronacyjnej.

- Ty jesteś Doc Doom? - zapytałem, kiedy podszedł bliżej.

-Daj mi jakiś dobry powód, żebym wziął cię na poważnie po tym cyrkowym przedstawieniu.

Dojango, który tańczył wokół niczym szczeniak, był śmiertelnie zgorszony.

- Hej, Garrett, nie możesz takim tonem odzywać się do doktora Dooma.

- Takim tonem rozmawiam i z królami, i z czarownikami. Dlaczego mam robić wyjątek dla klauna? Lepiej spakuj swoje namioty i zwijaj się stąd. Ten półgłówek, który cię tu przysłał, musiał się chyba pomylić.

- Garrett, nie podniecaj się - wtrącił Morley. - Ten facet jest prawdziwy, ale lubi dramatyczne wejścia i ma może trochę zbyt nadęte mniemanie o własnej ważności.

- Też tak sędzę.

Doom jeszcze nie przemówił. Teraz też milczał. Stwór obok niego, samica - mniej więcej metr dwadzieścia - która wyglądała tak, jakby miała w sobie dużo z karła i trochę z wilkołaka (ależ ona była paskudna) powiedział:

- Doktor mówi, że tym razem wybacza ci impertynencję, ponieważ nie wiedziałeś, kim jest. Ale teraz, kiedy już wiesz...

- Spadaj. - Odwróciłem się plecami. - Sierzancie, Morley, mamy robotę. Sierzancie, idź, zobacz, czy nie znajdziesz gdzieś jakiegoś konia. Może trzeba będzie wezwać garnizon.

- W Karencie niełatwo o prawo, ale tacy jak generał zawsze mają gdzieś jakieś chody. Jeśli ktoś ich zirytuje, w każdej chwili mogą sobie pożyczyć garstkę lub dwie chłopców z armii. Dojango dostał ataku szału. Dogonił nas w holu, gdzie zapomniał języka w gębie, kiedy zobaczył te wszystkie obrazy, zbroje i sceny wojenne wytopione ze szkła.

- On desperacko szuka roboty, w rzeczywistości - wymamrotał pod nosem.

Na scenie zjawiła się kucharka, wspaniała jak słoń wojenny. Teraz wiedziałem, dokąd poszedł Kaid. Omal nie rozdeptała Roze'a.

- Nie sędzę, żeby nam była potrzebna armia - mruknąłem.

- Za twardy jesteś, Garrett - wtrącił Morley. - Powtarzam ci jeszcze raz: Ten facet naprawdę jest dobry.

- No. Jasne. - Zawróciłem do drzwi, żeby zobaczyć kucharkę w akcji.

Akcja właściwie już dobiegła końca. Kucharka stała przed cudownym doktorem, opierając pięści

na szerokich biodrach, i wyglądała, jakby za chwilę miała zionąć ogniem. On tymczasem już zdjął swój wspaniały kapelusz i właśnie uwalniał się od namiotu.

Tak jak sądziłem, gość w środku ważył więcej kamieni, niż mogłem policzyć na palcach rąk i nóg, ale i tak musiałem zrewidować swoją opinię odnośnie jego tonażu. W ubraniu roboczym nie miał więcej niż metr czterdzieści wzrostu.

Było w nim coś z trolla i trzech lub czterech innych gatunków. Teraz, kiedy zdjął kostium, trzeba było przyznać, że, nosząc go, chyba miał rację. Dzięki temu jego mały pyszczek wyglądał imponująco.

- Panie Garrett, dam sobie spokój z pokazami. Jak zapewnił pana mój dobry przyjaciel Dojango, jestem autentycznym towarem. - Jego głos był o głębokość studni poniżej basu. Gdzieś kiedyś ktoś chyba przyłożył mu w jabłko Adama, co nadawało jego głosowi warkliwy, chropowaty odcień i utrudniało zrozumienie słów. Wiedział o tym i mówił powoli. - Powiedziano mi, że macie kłopoty ze złośliwym duchem. Jeśli nie jest klasy drugiej lub wyższej, poradzę sobie z nim.

- He? - Nie znałem tego żargonu. Staram się nie wchodzić w konszachty z czarownikami. To bywa niebezpieczne dla zdrowia.

- Czy zmieni pan zdanie i pozwoli rozejrzeć się trochę po domu?

Dlaczego by nie? Jestem spokojnym facetem, jeśli ludzie nie łążą mi po głowie.

- Jeśli tylko strząśniesz z butów końskie bobki i nie zamoczysz nam dywanów.

Był tak brzydki, że nie potrafiłem zinterpretować wyrazu jego twarzy, ale chyba nie docenił dowcipu.

- Czego ci trzeba z naszej strony? - zapytałem.

- Niczego, mam własny sprzęt. Może kogoś, kto oprowadziłby mnie po miejscach, gdzie najczęściej pojawia się duch.

- Nie pojawia się. W każdym razie nie wtedy, kiedy ktoś patrzy. Jedynym dowodem, jaki mamy, jest opinia doktora.

- Ciekawe. Duch tego rodzaju, o jakim on mówił, powinien pojawiać się dość często. Dojango. Mój zestaw.

- Czy on może wydawać się kimś znajomym? - zapytał.

- Wyjaśnij swoje pytanie, proszę.

Opowiedziałem mu o Morleyu, którego niby widziałem.

- Tak. Właśnie tak. Jeśli chce, może spowodować w ten sposób ogromne zamieszanie.

Roze poczłapał do powozu doktora. Tymczasem Doom wyjaśniał:

- Może powinienem przeprosić za ten denerwujący sposób przybycia. Ludzie, którzy mnie zwykle angażują, nie uwierzyliby, gdybym im nie zrobił takiego przedstawienia. Doskonale to rozumiałem. Nieraz też spotykałem się z tym problemem we własnej działalności. Potencjalni klienci przyglądają mi się i zastanawiają, zwłaszcza kiedy katalogują blizny na mojej twarzy. Muszę im podpowiadać, że powinni zobaczyć innych z tej profesji.

Dojango wgramolił się na schody, targając cztery potężne skrzynie. Razem wzięte były chyba cięższe od niego. Twarz mu zamarła w grymasie, który miał być uśmiechem. Kucharka uznała, że wszystko jest już w porządku, bo ruszyła do domu. Nie odezwała się do mnie ani słowem. Poczulem się urażony.

Ale nie za bardzo.

Dojango dyszał, jakby przebiegł trzydzieści kilometrów.

- No to co, zaczynamy? - zapytał doktor Doom.

Garret 04 Stare cynowe smutki

XXXIX

G

dy tylko doktor przestał się wygłupiać, zaczął sprawiać wrażenie profesjonalisty.

Rozpoczął od fontanny, na temat której rzucił kilka trafnych uwag, sugerując, że jest to jedno z większych dzieł sztuki rzeźbiarskiej nowoczesnej ery. Zapytał, czy może byłaby na sprzedaż w najbliższej przyszłości.

Peters i ja wymieniliśmy wymowne spojrzenia. Peters był zdecydowanie zagubiony, gdyż nagle zetknął się ze światem, o którym do tej pory wyłącznie słyszał.

- Nie sądzę, doktorze - odparł. - Nie sądzę.

- Szkoda. Wielka szkoda. Chciałbym ją mieć. Byłaby wspaniałym rekwizytem. - Grzebał w swoich skrzyniach, kolejno otwieranych przez Dojango, powyciągał to i owo... a nikt inny nie wiedział, co to takiego. O ile zdołałem stwierdzić, były to rekwizyty przeznaczone do robienia wrażenia na wieśniakach i nie miały żadnego innego zastosowania.

W trzy minuty później oznajmił:

- W tym domu miało miejsce wiele traumatycznych wydarzeń. - Spojrzał na coś, co trzymał w dłoni, i podszedł do miejsca, w którym Chain opuścił ten padół łez. Chłopcy posprząтали bardzo dokładnie. Prawdopodobnie Chain będzie odpoczywał teraz w chłodni, do momentu zasadzenia.

- Niedawno umarł tu człowiek. Gwałtowna śmierć. - Doom podniósł wzrok. - Podejrzewam, że został skądś zepchnięty.

- Dokładnie - przyznał. - Może w godzinę po północy dziś rano.

Krążył po holu.

- Chodziły tu trupy. Zombi... Nie! Gorzej. Poza kontrolą. Upiorce...

Spojrzałem na Morleya.

- Zna się na rzeczy albo ma tu kumpla.

- Bardzo jesteś podejrzliwy.

- Zboczenie zawodowe.

Łowca duchów spędził kolejne piętnaście minut, stojąc przy fontannie, z przymkniętymi oczami i jakimiś urządzeniami przyciśniętymi do uszu. Już się zastanawiałem, czy przypadkiem sam nie jest nawiedzony, kiedy wrócił stamtąd, gdzie był.

- To krwawy dom. Same kamienie wibrują wspomnieniami wielkich krzywd wyrządzonych komuś. — Zadrzał, przymknął oczy na kolejne trzy minuty i zwrócił się do mnie: — Czy to ty jesteś człowiekiem, który potrzebuje mojej pomocy?

- Jestem facetem, którego generał wynajął do wyczyszczenia sprawy, która z każdą minutą staje się coraz bardziej pokrętna.

Skinał głową.

- Powiedz, czego się dowiedziałeś. Wyrządzono tu tyle krzywd, że nie sposób je od siebie oddzielić.

- To zajmie trochę czasu. Może usiądziemy gdzieś wygodnie? - Zaprowadziłem go do jednego z pokoi na pierwszym piętrze zachodniego skrzydła, które za lepszych czasów prawdopodobnie służyły zarządcom posiadłości. Usiedliśmy. Peters poszedł urabiać kucharkę, aby poczęstowała nas czymś

jak najlepszym do picia, co było trudnym zadaniem w domu, gdzie panuje prohibicja.

- Rzeczywiście, upiorne miejsce - mruknął Doom, kiedy o tym usłyszał. Uznałem, że może jednak nie jest aż taki zły.

Opowiedziałem mu wszystko, co wiedziałem, to znaczy nie tak wiele, jakby to zsumować. Głównie katalog zbrodni.

Dopóki nie skończyłem, nie zadawał pytań.

- Z tego wynika, że duch zadowala się niszczeniem waszego pryncypała? Pozostałe zabójstwa zostały dokonane innymi rękami?

- Cholera, nie wiem. Im dłużej tu jestem, tym bardziej dostaje pomieszania. Za każdym razem, kiedy ktoś umiera lub emigruje, lista podejrzanych staje się coraz bardziej nieprawdopodobna. - Opowiedziałem mu, jak już miałem Chaina na muszce, kiedy morderca... kiedy spadł ze schodów.

Rozwazał to przez chwile. Dumał. Nie spieszył się. Nie należał do gości, którzy wszędzie się spieszą.

- Nie jestem ekspertem w twojej dziedzinie, Garrett, ale jako nie zainteresowany laik, powiedziałbym, że prawdopodobnie idziesz fałszywym tropem, ponieważ wychodzisz z błędnych założeń.

- Co takiego?

- Uważasz, że ścigasz kogoś, kto pragnie większej części majątku. A rozważyłeś może jakiś inny motyw? Spadkobiercy wciąż demonstrują, jak mało im zależy na spadku. Może istnieje całkiem inna przyczyna tych morderstw.

- Może. - Nie jestem całkowicie tępy. Już to brałem pod uwagę. Ale nie udało mi się powiązać tych ludzi ze sobą w żaden inny sposób. Tylko spadek daje jakieś wytłumaczalne podstawy do rozlewu krwi. Wyjaśniłem mu to.

- Jestem otwarty na sugestie. Całkowicie. Znów dumał przez dłuższą chwilę.

- Jak bardzo się różnią te śledztwa?

Wyjaśniłem mu to tak, jak sam to widziałem. Morley aż skakał, bo uważał, że patrzę na nie ze zbyt wąskiej perspektywy.

- Wielkie nieba!

- Co?

Doom spoglądał mi przez ramię, bo byłem zwrócony tyłem do drzwi. Obejrzałem się. W drzwiach stała Jennifer.

- Wielkie nieba - powtórzyłem. Wyglądała jak lekko podgrzana śmierć.

- Chodź tu, dziecko - rozkazał Doom. - Natychmiast. Wstałem, objąłem ją ramieniem. Była właściwie zbyt słaba, żeby iść. Nie miała nawet sił, żeby się ubrać.

- Garrett... — szepnęła. W oczach miała łzy.

Tylko tyle. Podprowadziłem ją do krzesła, na którym sam przed chwilą siedziałem. Tu światło było lepsze, ale to, co ukazywało, wyglądało znacznie gorzej. Miała taki sam koloryt twarzy jak stary.

- Ją też dopadł - wychrypiałem. - Duch.

Doom przyglądał jej się przez długą chwilę, nim wreszcie skinął głową.

- Tak.

Morley też przyglądał jej się przez chwilę. Potem spojrzął na mnie.

- Garrett, chodź się przejść. Doc, sprawdź, co możesz dla niej i. zrobić. Zaraz wrócimy.

Milczałem, oszołomiony, dopóki Morley nie pociągnął mnie na schody.

- Co robimy?

- Ten sam duch podżera starego już od ponad roku, prawda? Do tej pory nikogo innego nie dotykał. Zgadza się?

- Tak. - Kierowaliśmy się do mojego pokoju.

- Coś między wczorajszym wieczorem a dzisiejszym rankiem spowodowało, że sytuacja uległa zmianie.

Dotarliśmy na czwarte piętro. Jak zwykle zasapałem się i przysięgałem w duchu, że wrócę do formy.

- Chyba. Ale co?

Otworzył drzwi moim kluczem, przytrzymał je przede mną. Kiedy znaleźliśmy się w środku, zdjął portret mojej tajemniczej blondynki.

- Gdzie spędziłeś noc, Garrett?

Spojrzałem na nią, potem na niego. Przypomniałem sobie, że widziałem ją, idąc rano do pokoju.

- Och - wykrztusiłem. To wszystko, na co było mnie stać. Za ciężki orzech do zgryzienia.

Morley wrócił na korytarz, ciągnąc mnie za sobą.

- Czas zasięgnąć opinii pozostałych - mruknął.

- Morley, to niemożliwe.

- Może nie. Mam nadzieję, że nie. - Czasem nie ma litości. Jego ton był jak rozżarzone ostrze noża.

Wróciliśmy do pokoju, gdzie siedzieli Doom i Jennifer. Doom był zaniepokojony, ale Jennifer wyglądała już znacznie lepiej. Zrobił z nią coś. Miała teraz siłę i była w stanie trochę poprawić swój strój. Morley postawił portret na najbliższym stole, odwrócił go tyłem.

- Peters, czy możesz wezwać tu wszystkich? Garrett ma wam coś do pokazania.

Peters pochylał się nad Jennifer. Spojrzał na mnie.

- Proszę - szepnąłem.

- Generała też?

- Bez niego na razie możemy się obejść.

Nie było go dłużej, niż się spodziewałem. Dlaczego, dowiedziałem się dopiero, kiedy wrócił.

- Kucharka i Kaid karmili generała. Garrett, jego już prawie nie ma. Nie może nawet usiąść. Nie może mówić. Tak jak wtedy, gdy miał atak. Coś wyssało z niego życie, prawie do ostatniej uncji.

Doom słuchał, ale nie odzywał się ani słowem.

- Za ile tu będą?

- Kiedy go umyją. Po raz pierwszy zrobił pod siebie. Wcześniej nigdy tego nie było. Zawsze zdążył zawołać Kaida albo Dellwooda. W większości przypadków jednak miał dość sił, żeby dojść do nocnika.

Po tych słowach niewiele już zostało do powiedzenia. Przyglądałem się, jak Doom tańczy dookoła Jennifer, a Jennifer wreszcie zaczyna przychodzić do siebie. Próbowałem nie myśleć o tym, co powiedział Morley między wierszami.

Są pewne sprawy, w które właściwie nie chce się uwierzyć.

Kaid i kucharka zjawili się wreszcie. Kucharka burczała monotonnym tonem, że burzą jej cały rozkład dnia.

- Garrett, usiądź, dobrze? - zaproponował Morley.

Wiedziałem, co muszę zrobić. Nie chciałem, ale z jakiegoś powodu nie miałem na to wpływu. Garrett jednak ma siłę woli. Spojrzałem na Jennifer. Szkoda, że Garrett ma siłę woli wszędzie, tylko nie w spodniach.

- Snake Bradon był niezwykłym artystą, ale chyba nikomu nie pokazywał swoich prac. To

cholerny grzech. Potrafił uchwycić kwintesencję tego, co czuł, na przykład w Kantardzie. Ludzi też malował, ale widział ich w bardzo krzywym zwierciadle. Oto jeden z jego portretów. Uratowałem go z pożaru w stajni. Może być kluczem do wszystkiego. Proszę, spójrzcie na niego i powiedzcie mi, co czujecie.

Morley zbliżył lampę, żeby było więcej światła. Podniosłem i portret.

Niech mnie diabli! Jennifer jęknęła i padła zemdlona. A kucharka, która nawet nie raczyła usiąść, padła w sekundę później.

- Cholerne wrażenie - zauważyłem.

Doktor Doom wpatrywał się w blondynkę. Miał ten sam wyraz twarzy co wczoraj Morley. Wreszcie otrząsnął się i mruknął.

- Odłóż go, proszę. - Kiedy to zrobiłem, dodał: - Ten człowiek, który go malował, jednym okiem widział tamten świat.

- Teraz widzi go już dwójkiem. Został zamordowany przedwczoraj w nocy.

Machnął ręką na znak, że to mało ważne.

- Widzisz, co tam jest w tle? - szepnął Morley.

- Podejrzewam, że lepiej niż inni. Ten obraz opowiada całą historię. Paskudną historię.

- Tak?! - zawołałem. - O co chodzi?

- Kim jest ta kobieta?

- Tego usiłuję się dowiedzieć, odkąd tu przybyłem. Widzę ją tylko ja. Pozostali mówią, że ona po prostu nie istnieje.

- Istnieje. Jestem zaskoczony twoją sensytywnością... Nie. Wiem, że powinna się manifestować bardzo często. Nieraz lubią się tak przywiązać do jakiejś nie zainteresowanej strony, stopniowo próbując się usprawiedliwiać, niczym przed bezstronnym sądem.

-Co?

- Mam - wtrącił Morley. - Myliłem się, Garrett. To nie ona zabija. Ona jest twoim duchem. Nie potrzebuje tajemnych przejsć, żeby wchodzić i wychodzić.

- Morleyu, Morleyu! Wiesz doskonale, cholernie doskonale, że to niemożliwe. Mówiłem ci przecież... - W moje zmieszanie wkradło się nagle trochę zdrowego rozsądku. Byłem w centrum uwagi tłumu. Czy mam być na tyle głupi, żeby przyznać się przed nimi wszystkimi, że brykałem w łóżku z duchem?

Czy mam być na tyle głupi, aby uwierzyć w to samemu?

- To ona jest duchem - zgodził się Doom. - Nie ma wątpliwości. Ten obraz wyjaśnia wszystko. Została zamordowana. Była to kulminacja zdrady tak ohydnej, tak niewiarygodnej, że została tutaj.

Wreszcie pojąłem.

- To Stantnor ją zamordował. To jego pierwsza żona. Ta, której się pozbył. Podobno kupił jej milczenie i odesłał. A to nieprawda: on ją zamordował. Morleyu, może w piwnicy jednak leży gdzieś jej ciało...

- Nie.

- Co?

To powiedziała kucharka, która właśnie zbierała się z podłogi.

- To panienka Eleanor, Garrett.

- Matka Jennifer?

- Tak.

Podeszła do stołu. Podniosła obraz i zapatrzyła się w niego. Byłem pewien, że widzi wszystko, co Snake Bradon tam umieścił, może nawet to, co przeoczyliśmy z Morleyem.

- No. On to zrobił. Sam. Przez te wszystkie lata żył w kłamstwie, bo nie może się do tego przyznać. To nie był ciamajdowaty lekarz. To ten wszawy bękart.

- Czekaj no chwilę. Czekaj jedną, cholerną chwilę...!

- Ta historia jest tutaj, panie Garrett - szepnął Doom. - Była torturowana, potem ją zamordował. Szaleniec.

- Dlaczego? - mój głos zawierał się w gamie określanej mianem żalostnego pisku. Wcale nie mogłem się uspokoić. Nie umiałem wybić sobie z głowy ostatniej nocy. To przecież nie był za-den duch... a jeśli tak, to był to najbardziej ciepłutki, figlarny i najbardziej namacalny duszek, jakiego znałem. - Doktorze, muszę z tobą pogadać prywatnie. To cholernie ważne.

Wyszliśmy na korytarz. Powiedziałem mu. Popadł w jedną ze swoich chwil zadumy. W tydzień później otrząsnął się i wymruczał:

- To zaczyna mieć sens. A to dziecko, Jennifer? Czy i z nią spałeś?

No cóż, do diabła... Mówią, że spowiedź jest dobra dla duszy.

- Taak... ale to był chyba raczej jej pomysł... - Garrett, przestań się tłumaczyć.

Uśmiechnął się. Ależ to był lubieżny wyszczerz. : - No to wszystko się świetnie składa. Stary, twój pryncypał, z którego ona z wolna wysysała życie, wysyłając go do piekiel, gdzie jest jego miejsce, dziś rano całkowicie opadł z sił. Musiała to zrobić, aby przyjąć dla ciebie namacalny kształt. A potem ta inna... jej własna córka!... rani ją, wciągając cię do własnego łóżka. Ciebie, tego, którego wybrała na własnego sędziego. Zostałeś splamiony. To nie mogło jej ująć bezkarnie. - Znów się zadumał.

- Ależ to szaleństwo.

- Nie mamy do czynienia z normalnymi ludźmi. Ani żywymi, ani martwymi. Myślałem, że już to zrozumiałeś.

- Wiedzieć a wiedzieć to dwie różne rzeczy.

- Musimy porozmawiać z tą kobietą-trollem. Mądrzej będzie zapoznać się z okolicznościami dotyczącymi tamtych dni, zanim podejmiemy jakiegokolwiek kroki. To nie jest słabiutki duszek. Wróciliśmy do pokoju. Doom zwrócił się do kucharki:

- Jaki powód miał generał Stantnor, żeby uczynić to, co uczynił? Z tego, co mi powiedział pan Garrett, ona bała się właściwie wszystkiego, prawie nie miała własnej woli. Jak wielkiej krzywdy trzeba było, żeby poruszyć ją tak mocno, by doprowadzić do sytuacji, jaką mamy teraz?

- Nie opowiadam historii...

- Kochana, wsadź to sobie! - przerwałem jej. - Generał jest skończony. Zamordował Eleanor, prawdopodobnie w niezwykle okrutny sposób. A teraz ona się na nim odgrywa. To mnie raczej mało obchodzi. Właściwie nawet mi się podoba taki pomysł odkupienia grzechów. Ale teraz dobrała się do Jennifer, i to mi się nie podoba. Więc może wydusisz z siebie choć jedną normalną odpowiedź?

Kucharka spojrzała na Jennifer, która jeszcze nie całkiem doszła do siebie.

- Już chyba o tym mówiłam, ale pewnie nie dość wyraźnie. Generał... no, więc on był opętany przez panienkę Eleanor. Jak ci mówiłam. To go jednak nigdy nie zatrzymało przed ganiem jak królik za kieckami. Przeleciał każdą babę, byle tylko się za mocno nie rzucała, kiedy ją przewrócił na plecy. I wcale się z tym nie krył. Panienska Eleanor, chociaż naiwna, szybko się połapała. Nie wiem, co do niego czuła, bo nie była skora do gadania i wiele po sobie nie pokazywała. Ale musiała być jego żoną. Nie miała dokąd iść. Jej rodzice nie żyli. Król ją ściagał.

Bardzo cierpiała z tego powodu. Naprawdę bardzo. Może dlatego, że była taka, jak była, ale cierpiała o wiele bardziej niż normalna kobieta. W każdym razie raz mu powiedziała, że jeśli się nie uspokoi, to ona sprawdzi, czy to co dobre dla niego, będzie też dobre dla niej. O, nigdy by tego nie

zrobiła, nawet za milion lat. Nie miała dość odwagi. Ale to go wcale nie obeszło. Myślał, że wszyscy mają w głowie to samo co on. Zbił ją prawie na śmierć. Może by ją i zabił, ale weszłam pomiędzy nich. W każdym razie on potem całkiem zwariował. Biedne dziecko. Tylko jeden raz mu się sprzeciwiła...

Chciałem, żeby nieco się streszczała, ale może nie warto było jej przerywać, kiedy już wywaląca całą prawdę na stół.

- Biedne dziecko, była w ciąży z panienką Jennifer. Jeszcze nie wiedziała. Naiwna mała. A kiedy się zorientowała, było o jeden dzień za późno. Mogłam mu głowę rozwalić, ale on nie wierzył, że jest ojcem. Nie wierzył, póki nie umarła. Myślał, że to biedne dziecko jest takie puszczałskie jak on. A z kim niby? Pytałam go. Był tu kto w domu? Nie, do wszystkich diabłów! Tylko on! A ta biedaczka nigdy stąd nie wychodziła! Prawie nie wychodziła z pokoju, biedulka. Ale spróbujcie szaleńca przekonać logiką.

Sprawił jej prawdziwe piekło. Czyste piekło. Dręczył ją. Chyba nawet torturował. Była cała posiniaczona. Chciał z niej wybić nazwisko tamtego. Robiłam, co mogłam. Ale to nigdy nie wystarczało. Tylko był jeszcze bardziej zły, kiedy nie patrzyłam. A już po śmierci starego generała...

- Kucharka spojrzała na mnie. Miała w oczach łzy wielkości przepiórczego jaja. - Ale przysięgam, nigdy nie myślałam, że ją zabije. Nigdy nie wierzyłam, kiedy szeptali po kątach. Gdybym to wtedy wiedziała, powyrywałabym mu palce u rąk i nóg, jakbym skubała kurczaka z piór, wykręciłabym mu rękę! Jak on mógł ją zabić?

- Nie wiem. Ale zapytam. - Spojrzałem na doktora Dooma.

- Masz zamiar stanąć przed nim?

- O, tak, na pewno. - Wyszczrzyłem zęby jak wilkołak. - Wynajął mnie, żeby rozwiązać jego problemy, choćby nawet mu się nie podobało to, co usłyszy. Zafunduję mu apopleksję.

- Spokojnie, stary - uspokajał mnie Morley. - Nie doprowadzaj się do stanu, w którym nie będziesz mógł normalnie myśleć.

Dobra rada. Wszyscy wiedzą, że kiedy jestem podniecony, biegam w kółko jak kura z obciętym łbem, czyniąc więcej szkody sobie niż czarnym charakterom.

- Muszę się opanować. - Spojrzałem na Jennifer. Odzyskiwała przytomność, gdy kucharka zaczęła swoją opowieść, teraz z nieco niemądrą miną wpatrywała się w portret matki. Wyglądała na zdumioną i zatroskaną.

- To moja mama - wymamrotała. - To kobieta z obrazu w sypialni ojca.

Spojrzałem na Petersa.

- Dlaczego mi wczoraj o tym nie powiedziałaś?

- Nie wierzyłem własnym oczom. Podejrzywałem, ale ten obraz wygląda zupełnie inaczej niż tamten. Myślałem, że się mylę, że to tylko zbieg okoliczności. Przecież Snake nigdy jej nie widział.

- To prawda - odparła kucharka.

- Zgadza się - przytaknąłem. - Ale pochodził z majątku, prawda? Powinienem być o tym pomyśleć. Czy on ją w ogóle znał?

Kucharka pokręciła głową.

- Nawet wtedy nigdy nie przychodził do domu. Ona nigdy nie wychodziła. Ale pewnie widział ją z daleka.

Peters po prostu odwrócił głowę.

- Nie wierzę w to.

Przypomniałem sobie, jak kłócili się z Kaidem po wyjściu moim i Morleya. Pewnie próbowali się zdecydować.

- No to co robimy z duchem, doktorze? - W tej chwili byłem po jej stronie, niezależnie od tego, co zrobiła z Jennifer.

Nietrudno to zrozumieć. Ostatniej nocy, do wszystkich kar, jakie już nałożyła na Stantnora, dodała niewierność. W dwadzieścia lat po tym, jak ją oskarżył o ten grzech. A potem Jennifer i ja... Ale dlaczego nie uważała Jennifer za moją ofiarę, tak samo jak ona była ofiarą Stantnora? Czy było w tym jeszcze coś, o czym nie wiedziałem? Podejrzewam, że Doom mógłby mi to wyjaśnić, ale wolałem nie pytać.

Wzruszyłem ramionami. Spróbuj domyślić się motywu i zwariujesz. W moim zawodzie lepiej zająć się wynikami. To o wiele prostsze.

- Należy ją uspokoić - powiedział Doom. - Przecież nie może tu zostać i błąkać się po nocach. To zbyt okrutne. Zbyt ciężka to kara i niezasłużona. Ona powinna spocząć w spokoju. -Urwał, wyraźnie spodziewając się komentarzy. W obliczu ich braku ciągnął dalej: - Nie jestem tu po to, by osądzać. Podejrzewam, że ten, który ją zabił, zasłużył na to wszystko, co dostał, a nawet na jeszcze więcej. Ale moja własna etyka nie pozwala mi pozostawić tej sprawy bez zakończenia.

Zaczynał mi wyglądać na właściwego faceta, pomimo tego całego cyrku. W większości przypadków sam stosuję te same zasady. W większości przypadków... Nieraz zdarzało mi się jednak zaangażować w coś osobiście i w konsekwencji uwikłać w jakąś sprawiedliwość domowej roboty...

- Właściwie zgadzam się z tym. I co dalej?

Doom wykrzywił swoją brzydką twarz w coś w rodzaju uśmiechu.

- Teraz nałożę na nią ograniczenie, które nie pozwoli jej już więcej czerpać sił witalnych z żywych istot. Pryncypał zacznie natychmiast wracać do zdrowia. A kiedy odzyska nieco siły... to tylko sugestia... chciałbym ją wywołać w celu konfrontacji. Sądzę, że dzięki bezpośredniej konfrontacji będzie bardziej skłonna, by wrócić na spoczynek. Mam też wrażenie, że egzorcyzm przeciwko wrogowi duchowi byłby tu bardzo trudny do przeprowadzenia.

- Nooo. - Miałem nadzieję, że wie, co mówi. A pomysł z konfrontacją bardzo mi się spodobał.

- Nie możecie tego zrobić - zaprotestowała Jennifer. - To go może zabić. Może dostać ataku.

Chyba już nikogo to nie obchodziło. W tej chwili Stantnor najwyraźniej nie był ulubieńcem publiczności. Kucharka miała taką minę, jakby rozważała, w jaki sposób by mu tu pomoc przedostać się na drugi brzeg. Wychowała go jak syna, ale raczej nie była z niego dumna.

- Muszę wracać do roboty - oznajmiła wreszcie. - Lancz już i tak jest spóźniony.

Wymaszerowała z pokoju.

- Pilnuj jej, sierżancie - podsunąłem. - Wygląda na dość wściekłą.

- Racja.

Garret 04 Stare cynowe smutki

XL

D

oom nie potrzebował pomocy przy nakładaniu ograniczenia. Właściwie chyba nawet wolał zostać sam.

- Z tymi istotami zawsze jest jakieś ryzyko. Mam skłonność do nie doceniania duchów. Dla wszystkich będzie bezpieczniej, jeśli postarają się trzymać z daleka, dopóki nie skończę.

- Słyszeliście? - rzuciłem.

Zebrani rozeszli się po kątach. Niewiele było rozmów na odchodnym. Wszyscy pracownicy myśleli.

Peters poszedł do kuchni pilnować kucharki. Kaid udał się na górę, aby zająć się starym, ale pewnie miał bardzo mieszane uczucia. Sam też je miałem. Trudno było pogodzić generała Stantnora z wojny w Kantardzie ze złośliwym potworem, jakiego tu odkryliśmy.

Morley wyszedł na zewnątrz, pogadać o starych czasach z Dojango i jego wielkimi zielonymi braćmi, a ja zaprowadziłem Jennifer do jej apartamentu i położyłem do łóżka, ale tym razem samą, żeby odpoczęła. Była tak wstrząśnięta, że wydawała się gotowa zwinąć w kłębek i odciąć od świata.

Nie miałem jej tego za złe. Sam też tak bym się czuł, gdybym odkrył, że mój ojciec zamordował matkę.

Nie powiedziałem jej, dlaczego tak źle się czuje fizycznie. I bez tego miała dość problemów. A ja sam nie byłem pewien, dlaczego nie potrafię tego zaakceptować.

Nie miałem wiele do roboty, dopóki Doom nie skończy. Włożyłem płaszcz i udałem się na cmentarz Stantnorów. Przez chwilę stałem przy grobie Eleanor, próbując pogodzić się z samym sobą, ale mi nie wyszło. Zauważyłem, że o ogrodzenie oparta była łopata. Wayne ją zostawił, jakby wiedział, że będzie jeszcze więcej trupów do grzebania, więc po co się szamotać z narzędziami w tę i z powrotem? Znalazłem miejsce i zacząłem kopać, próbując zająć sobie głowę przygotowywaniem dołu dla Chaina.

To mi też nie wychodziło.

A już zupełnie przestało mi wychodzić, kiedy po wykopaniu dołu głębokiego na jakiś metr, zobaczyłem Eleanor. Stała przy swoim kamieniu nagrobnym i obserwowała mnie. Przestałem kopać, próbując wyczytać coś z rysów, które w dziennym świetle nie były zbyt wyraźne.

Ostatniej nocy była bardzo namacalna, ale to dlatego, że wyssała tyle życia ze Stantnora. Ciekawe, czy przywdziewała ciało również przy innych okazjach, by go atakować, eliminując służbę? Duch może zabijać, czyniąc z morderstw całkiem naturalnie wyglądające wypadki, na przykład rozwścieczając byka lub może nawet powodując atak serca.

- Przepraszam, Eleanor - szepnąłem. - Naprawdę nie chciałem cię zranić.

Nie odpowiedziała. Nigdy nic nie mówiła, z wyjątkiem tego jednego razu, gdy znalazła mnie przed pokojem Petersa.

Zaczęła jakby przybierać bardziej materialną strukturę. Czemu Doom tak długo marudzi? A może sprawia mu więcej kłopotów, niż się spodziewał? Próbowałem o tym myśleć, o grobie, który kopałem, o lanczu, o mordercy, którego jeszcze trzeba złapać, o wszystkim, byle nie o krótkim, smutnym i bezsensownym życiu tej kobiety.

Nie wyszło.

Siedziałem na brzegu dołu, w błocie, i ją oplakiwałem.

I oto znowu była przede mną, stała po drugiej stronie, z tym samym wyrazem zatroskania na twarzy co wtedy, gdy znalazła mnie rannego. Nie miała dość sił, by stracić przejrzystość.

- Chciałbym, żeby to wszystko potoczyło się inaczej dla ciebie - szepnąłem. - Chciałbym, żebyś żyła w moich czasach. Albo ja w twoich.

Mówiłem to szczerze.

Wyciągnęła rękę. Jej dotknięcie było niczym muśnięcie łabędziego puchu. Uśmiechnęła się smutno, leciutko, jakby dawała do zrozumienia, że mi przebacza. Próbowałem odpowiedzieć jej uśmiechem, ale nie mogłem.

Na tym świecie panuje tyle zła. I jest to całkowicie normalne, wynika z natury rzeczy, choć długo trzeba walczyć, aby to zaakceptować. To, co niezasłużenie przeżyła Eleanor Stantnor, było złem wykraczającym poza normalne granice złych uczynków. Takie zło wykracza poza ludzkie pojęcie i spoczywa ciężarem wprost na barkach bogów. Właśnie z powodu takiego zła jestem w zasadzie bezbożnikiem. Nie potrafię okazywać szacunku tym niebieskim bestiom, jeśli pozwalają, by niewinni tak cierpieli.

Generał Stantnor też będzie cierpiał, ale wina leży nie tylko po jego stronie. Nie są też winni rodzice Eleanor. Matka próbowała ją ochronić. I cały świat także nie ponosi winy. Jeśli w ogóle są jacyś bogowie, zasługują oni na taki sam ból.

Podniosłem wzrok. Doom chyba kończył już robotę. Może uzyskiwał przewagę, ponieważ odwracałem jej uwagę? Była już całkiem niematerialna. Ale znikając, uśmiechała się. Do mnie. Może byłem dla niej najlepszy na tym świecie. Możecie sobie wyobrazić, jak niewielką było to dla mnie pociechą.

- Spoczywaj w pokoju, Eleanor - szepnąłem. Zniknęła.

Zacząłem kopać z furją, jakbym chciał otworzyć drogę do piekieł i wcisnąć do tej dziury całe zło świata. Opamiętałem się dopiero wtedy, gdy grób był już o pół metra głębszy niż trzeba. Podciągnąłem się na górę i ruszyłem w kierunku domu. Byłem tak oblepiony błotem, że obawiałem się, by ktoś nie wziął mnie za upiorca.

Garret 04 Stare cynowe smutki

XLI

Z

atrzymałem się, żeby przez chwilę pogadać z Dojango i chłopcami, ale jakoś nie miałem do tego serca. Po dziesięciu minutach dałem sobie spokój i poszedłem do domu. Morley spoglądał z troską w ślad za mną. Kiedy dotarłem do schodów, powiedział coś do Dojango i ruszył za mną. Dojango wydał z siebie jedno z tych szczególnych westchnień, które mówiły, jak mocno jest wkurzony, podciągnął spodnie i pobiegł w stronę podjazdu.

Co się dzieje?

Wszedłem do środka. Mijając portrety Stantnorów, wygarnąłem im, co myślę o nich i ich metodach; zwłaszcza zaś ostatniego z rodu. Morley dogonił mnie, gdy byłem już w połowie tyrady.

- Nic ci nie jest, Garrett?

- Nie. Czuję się tak nijako, jak tylko można się czuć i jeszcze oddychać. Ale wszystko mi przejdzie. Jestem po prostu sfrustrowany bezmyślną podłością tego świata. Przyjdę do siebie.

- Och. Garrett w czystej postaci. Żałuję, że nie jest trojczkami, żeby mógł naprawić trzy razy tyle zła.

Uśmiechnąłem się blado. - Coś w tym stylu.

- Nie możesz brać wszystkiego na swoje barki.

Nie mogę, nie. Ale to trudna lekcja. Kiedy już się jej nauczysz, to nie będzie znaczyło, że przestaniesz reagować.

Z głównego holu dobiegł nagle okropny metaliczny trzask, zakończony wrzaskiem, niczym ostatni krzyk mordowanego królika. Pobiegliśmy tam, potykając się o siebie.

Kaid leżał o sześć stóp od miejsca, gdzie zginął Chain, przygnieciony ciężką zbroją. Żył jeszcze. Jeszcze. Przypominał mi rozgniecionego robaka. Jego członki wciąż drgały lekko.

Przestały, gdy dźwignęliśmy zbroje. Ukląłem przy nim, ale jego oczy już przygasaly.

- I został tylko jeden - wymruczał Morley.

- A ja teraz wiem kto. - Nienawidziłem samego siebie. Powinienem zorientować się wcześniej. Wszystko było w zasięgu ręki. Doktor Doom miał racje. Przez cały czas widziałem wszystko pod niewłaściwym kątem. Ale cóż, zawsze przeoczmy to, czego nie chcemy widzieć. Zbyt mocno koncentrowałem się na motywie, oślepiony tym jednym, który widziałem. A czasem motyw nie ma sensu dla człowieka przy zdrowych zmysłach.

- Ano cóż. - Morley też już na to wpadł. Teraz to było takie oczywiste. Ale nic nie powiedział na ten temat. - Nic dla niego nie zrobimy. Ty też teraz nic dla niego nie zrobisz. Idź się oczyścić.

- A po co? Zaraz będę musiał kopać kolejny grób.

- To może poczekać. Musisz się umyć. Ja się wszystkim zajmę.

Może i miał rację. Może zna mnie tak cholernie dobrze. Kapiel pewnie mi nie pomoże, ale będzie miała wymowę symboliczną. Poszedłem do kuchni. Kucharka i Peters prawie skończyli przygotowywać lancz. Dziwna rzecz - nie usłyszeli huku. Nie powiedziałem im, co się stało. Porwałem tylko całą gorącą wodę i ruszyłem do mojego pokoju. Nie zadawali żadnych pytań. Chyba miałem zbyt wściekłą minę.

Kiedy schodziłem na dół, czysty i przebrany, nie czułem się ani trochę lepiej. Pewnych rzeczy nie

da się zmyć.

- Coś nowego? - zapytał Morleya. Pokręcił głową.

- Nic, tylko Doom chce się z tobą widzieć.

Poszedłem do pokoju, w którym zostawiłem doktora. Słyszał już, ale i tak podskoczył na mój widok.

- Źle wyglądasz. Powiedziałem mu.

- Tak sądziłem - odparł. - No, zrobiłem tu, co mogłem dopóki nie sprowadzimy jej znowu, żeby stała przed swoim mężem.

Opowiedziałem mu o swoim rozstaniu z Eleanor. Pod tą paskudną powierzchownością był w sumie dobrą duszą.

- Wiem, co czujesz. Też to parę razy przechodziłem. I twój, i mój biznes ma swoje przykre strony. Będziesz miał jeszcze jedną szansę, żeby się pożegnać.

- Zróbmy to.

- Jeszcze nie. Nie jesteś gotów. Musisz się uspokoić. W tej chwili jesteś zbyt podekscytowany.

- Chciałem się sprzeczać.

- Ja cię nie uczę twojego zawodu, to ty mnie nie ucz mojego. Nie myślę o tobie. Nie możemy działać normalnie, jeśli wokół jest zbyt dużo wolnych emocji. I tak główni bohaterowie będą mieli sporo do roboty.

Miał rację. Muszę nauczyć się bardziej oddzielać pracę od życia prywatnego.

- No dobrze. Postaram się kontrolować.

Do pokoju wetknął głowę Morley:

- Lancz! Garrett, lepiej zjedz coś i nie spiesz się nigdzie.

Fajnie. Wszyscy tak cholernie troszczą się o zdrowie psychiczne Garretta. Miałem ochotę wrzeszczeć i wyć, i nie przestawać.

- Zaraz przyjdę - powiedziałem spokojnie.

Teraz chyba Wyglądałem już mniej drapieżnie. Czarny Pietrek obserwował, jak skubię to, co mam na talerzu. Cokolwiek to było, bo nie czułem ani smaku, ani zapachu.

- Czy coś się stało? - zapytał.

- Noo. Stało się. Stalowa zbroja skoczyła z czwartego piętra Kaidowi na plecy i zgmiotła go. Na śmierć.

- Co takiego? - Zmarszczył brwi. Spojrzał na kucharkę. Ona na niego. Każdemu z nich zajęło to około pięciu sekund. Potem ona zaczęła cicho płakać.

- Jak tylko tu skończymy, musimy zamknąć wreszcie całą sprawę - powiedziałem. - Pójdziemy na górę i pogadamy ze starym.

Peters mruknął:

- Właściwie nie bardzo jest już po co. I prawie mi przykro, że się do ciebie zwróciłem.

- Mnie na pewno jest przykro z tego powodu. - Skończyłem wypychać sobie brzuch, choć nie wiedziałem, co zjadłem. Nikomu chyba bardziej się nie spieszyło. Morley przyglądał mi się, jakby w obawie, że wybuchnę.

- Spokojnie, wszystko pod kontrolą - uspokoiłem go. - Garrett-lodowiec, Garrett-ogórek.

Wewnątrz już wszystko powylączałem, tylko jeszcze nie było tego widać z zewnątrz. Tak, jak ciepło uchodzi z trupa, tak wściekłość i frustracja musiały wypromieniowywać ze mnie powoli.

Jedli coraz wolniej i wolniej, jak dzieci, które wiedzą, że po kolacji czeka ich kara.

- Idę do pokoju - poinformowałem Morleya. - Za minutkę wracam.

Zapomniałem o czymś. O jeszcze jednym obrazie Snake'a.

Kiedy wróciłem, wszyscy właśnie skończyli. Doktor Doom już czekał ze swymi narzędziami i arcydziełem Snake'a pod pachą. Był gotów. Obejrzał sobie wszystkich po kolei i uznał widocznie moją samokontrolę za zadowalającą.

- Zawołasz dziewczynę? — zapytał. — Jasne. Morley, weź to.

Ruszyliśmy korytarzem, mijając Kaida. Odwróciliśmy wzrok. Wspięliśmy się na schody. Na trzecim piętrze odłączyłem się i poszedłem do pokoju Jennifer. Drzwi znów były zamknięte na klucz, ale tym razem miałem wytrych. Minąłem duży salon w drodze do małego buduaru, w którym zastałem ją wczoraj. Dziś też tam siedziała, w tym samym fotelu, wpatrzona w to samo okno. Spała. Jej twarz była spokojna jak twarz dziecka.

- Zbudź się, Jennifer. - Dotknąłem jej ramienia. Podskoczyła.

- Co? - Natychmiast się uspokoiła i powtórzyła. - Co?

- Idziemy zobaczyć się z twoim ojcem. Chodź.

- Nie chcę iść. Będziecie... to go zabije. Nie chcę tam być. Nie dam rady.

- Myślę, że dasz. I musisz tam być. Nie uda się, jeśli ciebie tam nie będzie.

Wziąłem ją za rękę, pociągnąłem za sobą. Ociągała się, pozwoliła wlec, ale nie stawiała oporu.

Pozostali siedzieli już i czekali w salonie Stantnora. Gdy tylko weszliśmy, Peters poprowadził nas dalej. Następny pokój był takim samym prywatnym salonikiem jak ten u Jennifer. Podrep-taliśmy rządkiem do sypialni.

Garret 04 Stare cynowe smutki

XLII

S

tary wyglądał jak mumia, do której nie dotarło, że jest mumią, i dalej oddycha. Oczy miał przymknięte, wargi uchylone. Z ust wydobywał mu się śluz, czy też ślina, i bulgocząc, spływał na podbródek. Co trzeci oddech brzmiał jak rżenie konającego.

Wzięliśmy się do roboty. Pozbierałem obrazy, Morley ustawił się koło drzwi. Peters obudził generała i posadził. Kucharka zaczęła podsycać ogień.

Stary wyglądał jak śmierć na urlopie, ale oczy błyszczały mu inteligencją. Umysł jeszcze go nie opuścił. Ujrzał, jakie wszyscy mają ponure miny, i dotarło do niego, że nadszedł czas mojego ostatniego raportu.

- Nie musi pan tracić sił na rozmowy - powiedziałem. - Ani na sprzeciwy. Nadszedł czas raportu końcowego. To nie potrwa długo, ale ostrzegam, jest gorzej, niż pan sobie wyobrażał. Nie będę dawał żadnych zaleceń. Po prostu opowiem wszystko, a pan zrobi z tym co zechce.

Jego oczy ciskały gniewne iskry.

- Ten człowiek, którego pan nie rozpoznaje, to doktor Doom. Jest specjalistą od zjawisk paranormalnych i już bardzo nam pomógł. Wayne'a pan nie widzi, bo sobie poszedł. Wyjechał dziś rano. Chain i Kaid są nieobecni, ponieważ zapadli na nagłą śmierć. Jak Hawkes i Bradon. Z tej samej ręki. Doktorze?

Doom zaczął wykonywać swoją część. Dałem mu trochę czasu, żeby się rozkręcił. Usta zacisnął w bezbarwną śliwkę. Stantnor obserwował, wodził oczami. A kiedy spojrział na mnie, w jego wzroku nie było wdzięczności. Jednak pod błyszczącym w nim gniewem kryło się coś jeszcze. Generał się bał.

- Najpierw porozmawiamy o tym, kto chce pana zabić - oznajmiłem.

Doom zawył. Wszyscy podskoczyli. Pokój rozjaśnił błysk. Nie jestem ekspertem, ale to nie wyglądało dobrze.

- W porządku? - zapytałem.

- Opiera się - wydyszał. - Ale ściągnę ją tu. Odsuńcie się i nie przeszkadzajcie.

Zabrało mu to jeszcze kilka minut.

Eleanor zmaterializowała się u stóp łóżka Stantnora. Ale nie jako Eleanor. Nie od razu. Najpierw była Snakem Bradonem, potem nieco mniej wiarygodnym Cutterem Hawkesem, aż wreszcie uległa woli Dooma. Porównałem ją z portretem, na który podobno generał gapił się przez cały czas. Nawet nie była podobna do tej kobiety, a jeszcze mniej do tej z obrazu Bradona.

Oczy Stantnora zrobiły się wielkie i okrągłe. Usiadł wyprostowany jak struna.

- Nie! - wyrzęził. Uniósł ramię, by zasłonić oczy. - Nie! Weńcie ją! - Zaczął szlochać jak bite dziecko. - Zabierzcie ją stąd!

- Powiedział pan, że moim zadaniem jest przedstawić panu prawdę, choćby nawet była nieprzyjemna, generale. To jedna z prawd, które odkryłem, i z przyjemnością ją panu zaprezentuję. Kobieta, którą pan torturował i wreszcie zamordował...

- On ją zabił?! - wrzasnęła Jennifer. - Moją matkę? To nie lekarz?

Zatoczyła się i omal nie upadła.

- Pilnuj jej, Morley - poleciałem. Morley opuścił miejsce przy drzwiach, podszedł, żeby ją podtrzymać. Zaczęła bełkotać. Słowa lały się strumieniem, ale bez wielkiego sensu.

Stantnor zabalgotał. Ślina spływała mu po podbródku. Nie mógł mówić. Był zbyt wstrząśnięty. Wyglądał tak, jakby zaraz miał dostać udaru, który przewidywała Jennifer.

Spojrzałem Eleanor w twarz.

- Odejdź teraz. Odpocznij. Już dość zrobiłaś. To ci nie pasuje. Nie obciążaj już więcej własnej duszy. - Nasze oczy się spotkały. Patrzyliśmy na siebie tak długo, że inni zaczęli się denerwować.

- Proszę - szepnąłem, nie wiedząc właściwie, o co mi chodzi.

- Będzie odpoczywać w pokoju, panie Garrett - miękko szepnął Doom. - Obiecuję.

- Więc uwolnij ją. Nie potrzebuje już... - Ugryzłem się w język, zanim powiedziałem coś, co mogłoby wywołać więcej kłopotów, niż jestem w stanie opanować. Zamknąłem oczy. Kiedy znów spojrzałem, była zaledwie widmem.

Uśmiechnęła się do mnie. Żegnaj.

- Żegnaj.

Potrzebowałem jeszcze minuty, żeby stanąć przed starym. Dyszał i świstał, ale chyba był mniej zrozpaczony.

- Przyniosłem drobny upominek, żeby ją panu lepiej przypominał, generale. Spodoba się panu. - Ściągnąłem ze ściany bohomasz z Eleanor, odstawiłem na bok i na tym samym miejscu po-wiesiłem arcydzieło Bradona.

Stantnor wytrzeszczył oczy. Im dłużej patrzył na obraz, tym bardziej był przerażony.

Wreszcie wrzasnął.

Spojrzałem na portret.

I także omal nie wrzasnąłem.

Nie potrafię powiedzieć, co to było. Portret nie zmienił się w żaden widoczny sposób, a jednak się zmienił. Nie można było na niego spojrzeć, żeby nie czuć się przytłoczonym bólem i lękiem kobiety przed ścigającą ją marą, tym obłąkanym cieniem, który miał twarz młodego Stantnora.

Odwróciłem oczy chwilę przedtem, nim Doom uczynił to za mnie.

- Masz coś do zrobienia. - Jego głos był miękki i łagodny, i sięgał w głąb mojej duszy, podobnie jak głos Truposza, uspokajając tę część mej istoty, która była bliska przekroczenia granicy.

- Co robisz? - zapytał.

- Chcę, żeby wiedział, że będzie musiał spędzić resztę swego życia, patrząc na ten obraz.

- Nie teraz. Musimy skończyć.

- Masz oczywiście rację. Peters, oderwij go na minutę od portretu.

Peters obrócił głowę starego. Obserwowałem, jak z oczu Stantnora odpływa szaleństwo... nie, nie szaleństwo. Nie do końca. Był po prostu skupiony na czymś odległym, co tylko on mógł zobaczyć. Na swej własnej wizji piekła. Ale już wrócił. Przynajmniej na kilka minut.

- Mam dla ciebie jeszcze jeden prezent - oznajmiłem. - Ten też ci się spodoba.

Aby upewnić się, że słucha tego, co mówię, odwróciłem portret Eleanor twarzą do ściany. Na jej miejscu postawiłem ostatni portret Jennifer wykonany przez Snake'a.

- Oto twoja śliczna córka, tak podobna do ojca.

Jennifer krzyknęła. Rzuciła się w przód. Morley chwycił ją, ścisnął boleśnie. Pewnie nawet nie poczuła bólu.

Kucharka przestała dokładać do ognia, łokciem odepchnęła Morleya na bok, objęła Jennifer i delikatnie wyjęła jej nóż z ręki, uspokoiła ją, przytuliła i zapłakała, mrużąc:

-Moje maleństwo, moje maleństwo... Moje biedne, chore maleństwo.

Nikt więcej się nie odezwał. Wszyscy wiedzieli. Nawet generał wiedział.

- Dlatego spłonęła twoja stajnia. Ten obraz... Jennifer kilkakrotnie pozowała Bradonowi, ale Snake miał wzrok, który potrafił dojrzeć prawdziwą duszę. Pewnie dlatego odsunął się od rzeczywistego świata. Człowiek obdarzony jego zdolnością widzenia mógł dostrzec wiele potwornych prawd. Szukałem prawdy, bo tym razem nie spostrzegłem jej wystarczająco wcześnie. Może nie chciałem. Była zbyt pięknie opakowana, jak to często bywa najmroczniejszym złem. Może to portret Eleanor zbyt mocno zajmował moją uwagę. Może powinienem się dokładnie przyjrzeć temu właśnie...

Stantnor przerwał mi gestem.

- Osiem morderstw, generale. Twoje maleństwo zabiło ośmiu ogólnie porządnym ludzi. Czterech zwabiła na bagna w posesji Melchiora. — Gdy tylko przyjąłem do wiadomości, że to Jennifer była zbrodniarką, wszystkie elementy natychmiast same powskakiwały na swoje miejsce. - Długo się zastanawiałem, co mieli ze sobą wspólnego. Wszyscy byli dziwkami, a ona udawała, że jest do wzięcia. Wywabiała ich, a później zabijała i zostawiała. Dzięki temu ciągle waliłem łbem w mur, kiedy się zastanawiałem, czy ona mogła to zrobić. Jak przenosiła ciała? Przegapiłem oczywistą odpowiedź: potrafiła ich nakłonić, żeby sami za nią poszli. Najbardziej musiała się napracować, żeby wypchnąć Chaina z balkonu czwartego piętra, i potem drugi raz, gdy zepchnęła zbroję na Kaida.

Może dlatego reagowałem tak powoli, że morderstwa nie wyglądały, jakby popełniła je kobieta. Nie potrafiłem uzmysłwić sobie, że w domu pełnym Marines każdy może myśleć jak oni i każdy może być równie bezpośredni i krwiożerczy. Kto by wpadł na to, że kobieta mogłaby tak śmiało ruszyć z garotą Kef sidhe na wyszkolonego komandosa?

Popatrzyłem na Jennifer, przypomniałem sobie nasz spacer po cmentarzu. Chciała mnie wtedy zabić, teraz to zrozumiałem. Ofiarowałem jej nieoczekiwaną chwilę dobroci, i to uratowało mi życie, a jej odebrało szansę bezkarności.

- Wiem kto i jak, ale wciąż nie mam pojęcia po co.

Pękła. Śmiała się, płakała i gadała z szybkością stu słów na sekundę bez cienia sensu. Chyba miało to coś wspólnego ze strachem, że jeśli będzie więcej spadkobierców niż ona i kucharka, majątek zostanie rozprzedany, a wtedy nie pozostanie jej nic innego, jak tylko wyjechać do tego przerażającego świata, który odwiedziła tylko raz, mając czternaście lat.

Myliliem się. Nie popełniła ośmiu morderstw, tylko jedenaście. Załatwiła również tych trzech, których śmierć wydawała się całkowicie naturalna i przypadkowa. Przyznała się. Zachłystywała się pychą. Wyśmiewała wszystkich, bo aż do tej pory udawało jej się wszystkich wykiwać.

Stantnor, oszołomiony, gapił się na nią przez cały czas. Wiedziałem, o czym myśli. Co takiego zrobił, że na to zasłużył?

Właśnie miałem mu to wyjaśnić, gdy Morley wziął mnie za ramię.

- Garrett!

- Co?

- Czas na nas. Robota skończona.

Doom już wyszedł. Zakończył swoją pracę, Eleanor spoczywała w spokoju. Kucharka próbowała pocieszyć i ugłaskać Jennifer, jednocześnie usiłując wypracować układ pokojowy z samą sobą. Dziewczyna nie była jej dzieckiem, ale... Stantnor zatopił wzrok w portrecie córki, zagłębując się głębiej niż ktokolwiek, z wyjątkiem samego Bradona. Może ujrzał własny udział, jaki miał w stworzeniu tego potwora. Nie czułem dla niego cienia litości, choć bardzo starałem się znaleźć ją w sobie. Po prostu jej tam nie było.

A potem dostał ataku.

Który, trwał i trwał, i trwał.

- Garrett czas iść

Stary umierał. Kiepsko. Morley nie chciał zostać na imprezie.

Peters stał jak skamieniały i tępo wpatrywał się w generała. Nie wiedziałem co robić. Było mi go żal.

Otrząsnąłem się z emocji jakie mnie opanowały.

- Stantnor jest mi coś winien – warknąłem do Morleya – Całe honorarium i jeszcze trochę wydałem na dokopywanie się odpowiedzi na jego pytania. Nie wydaje mi się żeby zechciał zaczekać na rachunek.

Spojrzał na mnie dziwnie. Taka uwaga nie pasowała do mojego charakteru.

- Nie - Poprosił, choć nie wiedział co mam zamiar zrobić: - Zostaw to. Zapomnij o wszystkim. Nie będziesz mi musiał płacić.

- Nie - Porwałem obraz przedstawiający Eleanor. - Oto moje honorarium. Oryginalny Bradon.

Generał nic nie powiedział, pochłonięty umieraniem. Spojrzałem na Petersa. Wzruszył ramionami. Co go to obchodzi.

- Garrett - krzyknął Morley. Był chyba przekonany, że mam zamiar zrobić coś, czego będę później żałował.

- Czekać jeszcze jedną cholerną minutę! – Wciąż miałem tu jeszcze coś do zrobienia – Kucharko, co masz teraz zamiar zrobić?

Spojrzała na mnie, jakbym zadał jej najgłupsze pytanie świata.

- To, co robiłam zawsze, chłopcze. Będę dbać o dom.

- Daj mi znać, gdybym mógł pomóc. - Teraz poszedłem za Morleyem. O starym nawet nie pomyślałem. Gdyby za drzwiami znajdował się lekarz, zdolny mu jeszcze pomóc, chyba nawet nie przysłoby mi do głowy, żeby mu wspomnieć o kłopotach generała.

Razem z Morleyem zeszliśmy na dół, niosąc obrazy i moje rzeczy. Peters stał w drzwiach westybuli. Spoglądał na wielki hol takim wzrokiem, jakim ja spoglądałem na obraz Bradona przedstawiający bagno i wisielca. Sierżant trzymał w dłoni szpadel. Miał kilka grobów do wykopania. Ciekaw byłem, czy ktoś postawi Stantnorowi choćby kamień nagrobny.

- Nie wiem, czy potrafię ci podziękować, Garrett. Przyszedłeś, kiedy cię wezwałem, ale nie wiem, czybym cię wezwał, gdybym wiedział...

- Nie przyszedłbym, gdybym wiedział. Jesteśmy kwita. Co teraz zrobisz?

- Pogrzebie zmarłych i gdzieś sobie pójdę. Może wrócę do Korpusu? Teraz, kiedy Mooncalled dostał amoku, biorą nawet weteranów. I tak nie umiem nic innego.

- Jasne. Powodzenia. Do zobaczenia kiedyś, sierżancie.

- Pewnie. - Obaj wiedzieliśmy, że już nigdy w życiu się nie spotkamy.

Nagle z góry dobiegł nas okropny krzyk. Trwał i trwał, aż wydało mi się, że nie może pochodzić z ludzkiego gardła. Unieśliśmy głowy. Peters mruknął:

- Zdaje się, że umarł. Powiedział to bez cienia uczucia.

Krzyk rozległ się znowu. Teraz wyrażał dziką wściekłość.

- Panno Jenny, proszę tu natychmiast wrócić! - zahuczała kucharka.

Dziewczynie odbiło doszczętnie. Wyprysnęła z korytarza na czwartym piętrze, wymachując sztyletem i wrzeszcząc jak obłąkana.

Byłem wstrząśnięty, kiedy odkryłem, że wykrzykuje moje nazwisko.

- Ruszaj stąd, Garrett - szepnął Morley. Już wcześniej widział takich opętańców. Nawet kobieta tak delikatnej budowy jak ona mogłaby rozerwać mnie na strzępy.

Utraciła przytomność tak dalece, że nie wiedziała, gdzie jest. Kiedy się zorientowała, było już za późno. Całym impetem uderzyła w barierkę balkonu.

Bohaterski rycerz podtrzymał ją kolanem. Strzaskana, spłynęła mu z uda i opadła obok jednej ze smoczyczych łap. Wyglądała jakby to smok ją zabił, a bohater o sekundę spóźnił się z ratunkiem.

Ale ten bohater w ogóle się spóźnił i nie miał szans uratować nikogo.

Odwrociłem się i odszedłem. Morley osłaniał moje tyły, na wypadek gdyby coś głupiego strzeliło mi do głowy i gdybym miał zamiar wrócić.

Nie rozmawialiśmy wiele w drodze do domu. Raz przybąknąłem coś na temat zmiany roboty, a on odpowiedział, że bym nie był takim cholernym dupkiem. Zapytałem, czy napełnił kieszenie już teraz, czy zamierza wrócić o północy. Zwykle, kiedy pytałem o coś takiego, spogląda na mnie, jakby nie miał cienia zielonego pojęcia, o czym mówię.

- Nawet gdybyś mi dopłacił, Garrett, nie wziąłbym nic z tego przeklętego miejsca. Nawet, gdybyś mnie błagał. Tam nawet kamienie są chore, nawet przedmioty.

Nie rozmawialiśmy więcej, dopóki nie doszliśmy do mojego domu przy Macunado. Wtedy powiedział:

-Właz do środka i urznij się na perłowo. Zalej się w trupa, w drobny mak.

-To najlepszy twój pomysł w ostatnim stuleciu.

Garret 04 Stare cynowe smutki

XLIII

W

puścił mnie Dean. Wyglądał na starszego i chudszego, choć minęło tylko kilka dni.

- Pan Garrett! Baliśmy się o pana, nie mieliśmy żadnych wieści.

- My? - warknąłem. Nie lubiłem, kiedy się tak nade mną rozczulał.

- On. - Kiwnął głową w stronę pokoju Truposza. - Nie śpi, odkąd pan wyjechał. Czeka, że pan poprosi o pomoc.

- Tym razem poradziłem sobie sam. - No. Ale sobie poradziłem!

- Och. - Pochwycił chyba cień mojego nastroju. - Chyba panu naleję.

- Może wypiję nawet całą beczkę.

- Aż tak źle?

- Gorzej. Znajdź mi przy okazji jakiś młotek. - Wszedłem do biura i sprawdziłem miejsce, gdzie miała zawisnąć Eleanor.

Dean wyszedł. Poruszał się z prędkością, którą powinienem sobie zapamiętać i przypomnieć mu, gdy będzie znów włókł się jak chory ślimak. Po niespełna minucie był z powrotem z piwem, młotkiem i puszką gwoździ. Wysączyłem kufel do dna.

- Jeszcze.

- Zaraz zrobię coś do jedzenia. Wygląda pan na wygłodzonego. Stary cwaniak. Chce mi wcisnąć coś w żołądek, zanim zacznę pić na poważnie. .

- Brakowało mi twojego gotowania tam gdzie byłem. - Wbiłem gwóźdź w ścianę. Dean przyniósł piwne wsparcie, zanim jeszcze odwinałem Eleanor.

Tym razem przyniósł nie tylko kufel, ale i dzbanek.

Odwinałem damę i powiesiłem. Odstąpiłem kilka kroków.

Obraz nie był już taki jak przedtem.

Nie, właściwie był. Ale coś się jednak zmieniło. Intensywność, namiętność, przerażenie zniknęły. Poza tym wyglądał tak samo. Tylko Eleanor sprawiała wrażenie, że się uśmiecha. Wydawało mi się, że biegnie do kogoś, a nie ucieka.

Nie, jednak był taki sam. Nic się nie zmieniło oprócz mnie. Odwróciłem się plecami. Snake Bradon nie był aż tak wielkim malarzem.

Obejrzałem się przez ramię. Eleanor uśmiechała się do mnie.

Załatwiłem kolejny kufel.

Dean pognał ugotować coś, zanim wleje w siebie tyle, że stracę przytomność.

Truposz zawlókł mnie do swojego pokoju niemal przemocą i tą samą metodą wydobył ze mnie całą historię. Nie krytykował, co samo w sobie było niezwykle. Mimo moich szczerych wysiłków nie zdołaliśmy się pokłócić. Zamiast wiercić mi dziurę w głowie za moje błędy i za to, że nie od razu poznałem się na Jennifer, Wydawał w moim umyśle ciche, pełne zadumy westchnienia. A gdy skończyłem spokojnie zafundował mi rozszerzony przegląd najnowszych wiadomości z Kantardu.

Wbrew sobie pozwoliłem się zainteresować.

Glory Mooncalled zaatakował Full Harbor. Zbyt długa się puszył i hałasował. Teraz musiał udowodnić, że nie rzuca słów na wiatr. Wyłaził ze skóry, przypuszczając ataki z wody i z powietrza,

wysyłając do walki kantardzkie potwory. Próbował przejąć bramy miasta, żeby wprowadzić piechotę, i dostał po tyłku, ile wlezie. Dokładnie tak jak przewidywałem...

- I tak się kończy mit o niezwyciężonym bohaterze - odparłem Truposzowi.

Odpowiedział mi potężnym myślowym chichotem.

Wcale nie. Teraz będą go gonić, żeby wykończyć. W jego własnym kraju.

- Och.

No. Jeśli da im w skórę na własnym podwórku, będzie za mało obrońców do obrony miasta, kiedy zaatakują po raz kolejny. Może. A nasi chłopcy na pewno pogonią mu kota. Cała banda. Nie mamy dość kompetentnych dowódców. Ostatni facet zdolny do czegoś odszedł na emeryturę trzy lata temu.

Ciekaw jestem, Garrett, dlaczego ta kobieta uderzyła cię w głowę w pokoju sierżanta? Przecież byłeś nietykalny, uwiodłeś ją swym nieopierzonym wdziękiem.

Nie mógł się powstrzymać, żeby nie wbić mi choćby najcieńszej szpilki.

- Chyba nie chciała mnie wtedy zabić. Chciała tylko dorwać się do kopii testamentu przede mną.

Po co?

Czułem, że sam już na to wpadł, tylko sprawdza, czy i ja wiem.

- Z powodów wręcz przeciwnych do tych, które sobie wymyśliłem. Chciała go zniszczyć. Jeśliby pozbyła się kopii, nie musiałyby zabijać ludzi. Bez dowodów na istnienie innych spadkobierców prawnie cały majątek przypadłby jej. A wtedy nie byłoby podziału i nie musiałyby wyjeżdżać.

A skąd wiedziała, gdzie znajdzie kopię?

- Myślę, że siedziała za ścianą i podsłuchiwała naszą rozmowę z Petersem. Podejrzewam, że przez większość czasu, który pozornie spędzała w swoim pokoju, krążyła za ścianami i podsłuchiwała. Słuchaj, ja naprawdę mam dość mówienia o tym... Ale mam coś dla ciebie. Dlaczego Eleanor udawała, że jest Morleyem? I jak ona to zrobiła, że się w ogóle na tym nie poznałem?

Zrobiła to, bo chciała więcej się dowiedzieć o tobie. Znów twój fatalny urok. Wpadłeś jej w oko. Jakież to proste. Zwłaszcza dla kogoś z jej rodowodem. Otworzyła twój umysł i zrobiła z siebie odbicie. Nie musiała nic wiedzieć o panu Dotesie, ale chciała, żebyś myślał, że coś wie. A ty zrobiłeś resztę. To prawie jak sen.

Doszedłem do pewnego wniosku, który wcale mi się nie spodobał. Jeśli Eleanor była w mojej głowie, wiedziała, po co i dlaczego tam jestem. Pewnie w każdej chwili mogła mi powiedzieć o Jennifer. Mogła ocalić... Nie, nie chciałem o tym myśleć.

- Trudna żaba do przełknięcia. Patrz.

I nagle te ćwierć tony zdechłego miecha zniknęło, a na jego miejscu siedział gość nazwiskiem Danny Tate, który był tak cholernie realny, że zaczęliśmy gadać o sprawach, o których Truposz w żadnym razie nie mógł wiedzieć.

Niezbity dowód. Niewzruszony jak skała. Danny Tate nie żył od ponad roku. Dobrze wybrał ten Truposz. Nie mogłem mówić, że to trik. Zresztą nie był to ktoś, kto może zniknąć w okamgnieniu. A Danny był jednym z niewielu ważnych dla mnie ludzi, którzy zmarli przedwcześnie, lecz nie z ręki zbrodniarza. Ten głupi wór spadł z konia i skręcił sobie kark.

- Dobra, Kupo Gnatów. Już ci wierzę.

Danny Tate zniknął. Omal go nie poprosiłem, żeby się zmienił w Eleanor.

Ludzie, ależ ten gość mógłby zarobić, gdyby zaczął bawić się w wywoływanie przedwcześnie zmarłych.

Może pomyśl o czymś innym?

- Chciałbym, Chichotku, ale to wcale nie takie proste. - Do licha, nic nie potrafię zrobić

porządnie. Nawet się urżnąć. Ledwie kręciło mi się w głowie.

Potrzebujesz się trochę rozerwać.

- Pewnie. - Wymyśl dla mnie jakiś cud, Kupo Gnatów. Ktoś zaczął walić do drzwi frontowych.

Truposz był martwy. Przynajmniej cieleśnie. Ale przysięgam, że wyglądał, jakby się uśmiechał.

- Może pan otworzyć, panie Garrett? - zawołał Dean. - Nie mogę się ruszyć, mam obie ręce zajęte.

Mamrocząc, poczłapałem do holu i szarpnąłem drzwi, nie troszcząc się nawet o to, żeby przedtem popatrzeć przez wizjer.

- Maya?

- Cześć, Garrett. - Promienna, radosna, jakby nigdy nigdzie sobie nie poszła, najwyżej za róg.

Weszła, jakby to był jej dom.

Zamykając drzwi, kątem oka pochwyciłem cień uśmiechniętego Morleya Dotesa, który podpierał ścianę po przeciwnej stronie ulicy.

Śliski bękart. Wysłał Dojango, żeby wszystko załatwił. Założę się, że przez cały czas wiedział, gdzie jest Maya. Może oni wszyscy wiedzieli.

- Witamy w domu, panienko Mayu - zawołał z kuchni Dean. - Kolacja będzie za minutkę.

Przecież drań nawet nie spojrzał, kto przyszedł.

Ależ mnie wszyscy wystawili do wiatru.

Maya wzięła mnie za rękę i poprowadziła do pokoju. Przez chwilę byłem zły na cały świat, że mnie tak wrobili, ale nie miałem zamiaru spędzić na tym wieczoru. W końcu Maya była ze mną.

I miałem rozrywkę.

Cykl Prywatny Detektyw Garrett, obejmuje tomy:

1. Słodki Srebrny Blues
2. Gorzkie Złote serca
3. Zimne Miedziane Łzy
4. Stare Cynowe Smutki
5. Groźne Mosiężne Cienie
6. Gorące Żelazne Noce
7.